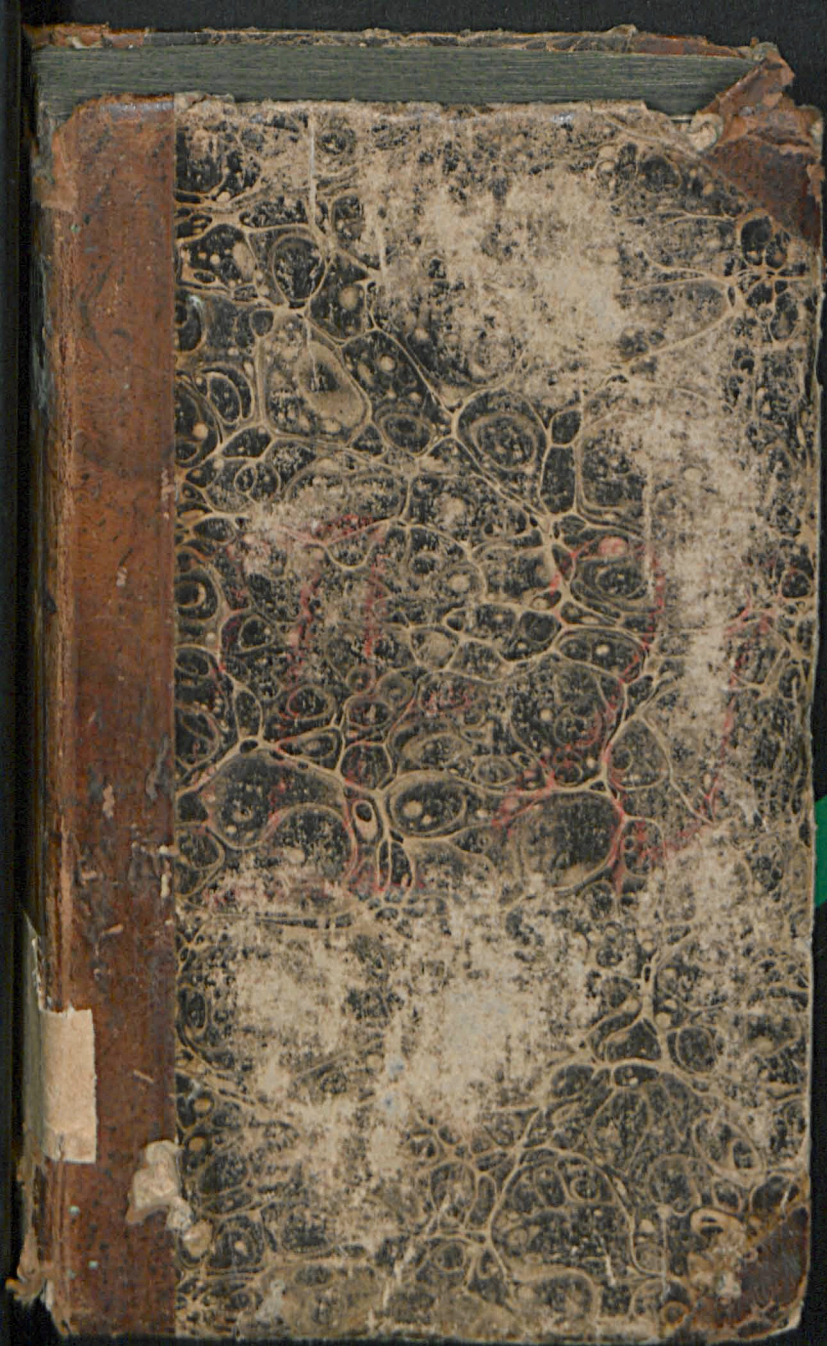




POWIESCI

MORALNE

P. MARMONTELA.

Z FRANCUSKIEGO NA POLSKI JEZYK WYŁOŻONE

przez

KAJETANA WĘGIERSKIEGO.

TOM III.

CZĘŚĆ I.

Edycja nowa.

z Biblioteki Szkoły Wale

C. o. 8 Gruz - 1824

W WARSZAWIE,

w Drukarni Wdowy TOMASZA LE BRUN.

1805.



WSZYSTKOWIEDZ

POWIEŚĆ MORALNA.

CELIKUR, w piętnastym roku, był iak mówią, małym cudem świata. Pięknje pisał miłośne wierszyki. Nie było w sąsiedztwie piękney kobiety, któreyby on nie śpiewał pochwał, i któraby nie upatrywała więcej ognia w oczach, aniżeli wierszach iego. Szkoda było tyle talentów zakopywać w małym miasteczku; *Paryż* powinien był być dla nich teatrem, i tyle czyniono, iż nakłoniono oycę iego, żeby go tam posłał. Oyciec ów był człowiek uczciwy, lubiący mądrych, lubo sam nim nie był, i dziwiący się temu wszystkiemu, co z kapitalnego miasta wychodziło, nie umie-

iąc powiedzieć dla czego? miewał nawet ztamtąd mądre korespondencye, i w liczbie korespondentów jego, był nieiaki Wszystkowiedz nazwany JPan *Fintak*. Jemu tedy *Celikur* był naypartykularniey polecony.

Fintak przyjął syna przyjaciela swojego z ową dobrocią, która protekcyi postać brać zwykła. Słyszałem, rzekł do niego, o WPanu, wiem, że ci się w Prowincyi udawało, ale w Prowincyach wierzay mi, nauki i sztuki są jeszcze w dzieciństwie swoim. Bez gustu, rozum i dowcip niekształtne tylko rzeczy tworzyć może, a gustu nie masz gdzieindziey tylko w *Paryżu*. Od tego zacznij, żebyś sobie wyperswadował, iż się dopiero rodzić zaczynasz, i trzeba ci zapomnieć tego wszystkiego, czegoś się nauczył. Czegożbym nie zapomniał, rzekł *Celikur*, rzuciwszy oczyma na synownicę Wszystkowiedza około ośmnaście lat mającą! Tak Mei Panie, dnia dzisieyszego żyć zaczynam. Nie wiem, co za wdzięki słodkie odetchnienie na tym mi tu sprawują miejscu, rozwia-

ią się iakoweś we mnie dyspozycye dotychczas mi nieznane: zdaje mi się, że dopiero teraz nowych nabył zmysłów, i duszy nowey. Dobrze, zawołał *Fintak*, oto entuzyzm; jest urodzonym Poetą, i po tym znaku, stawiam wszystko że jest nim. Nie masz tu w tym Poezyi, odpowiedział *Celikur*, jest to tylko szczerza i prosta natura.—Tym lepiej: to jest co się talentem nazwać powinno. W którymże roku czuć zacząłeś ten niebieski ogień? — Ach! Mei Panie, miałem go iakieś iskiarki w Prowincyi, ale nigdy tak żywey i nagley nie doznawał gorącości, iak w tym momencie. Powietrze *Paryża* to sprawuje, rzekł *Fintak*; powietrze domu WPana, odpowiedział *Celikur*. Jestem w Muz kościele. Wszystkowiedz znalazł w owym młodziku dobre dyspozycye.

Agata, śliczne owo miłości rękami utworzone cacko, iednego z całego owego dyskursu nie uroniła słowa, i pewne weyrzenie z pod skromności, pewne uśmiechy, wdzięki iey ustom przydalące, dały do zrozumienia *Celikurowi*,

że się na obojętnym znaczeniu odpowiedzi tego dobrze poznała. Mam obowiązkiem oycu twojemu, rzekł Wszystkowiedz, że cię przysłał w tych latach, w których natura jest dosyć skłonna do przyjęcia dobrych impressyi, chroń się złych. Znajdziesz w *Paryżu* więcej fałszywych Wszystkowiedzów, niż prawdziwych sędziów. Nie wszystkich się radź, i trzymaj się oświecenia człowieka, który się w niczym nigdy nie omylił. Nie rozumiejąc *Celikur* żeby się sam człowiek mógł tak otwarcie chwalić, spytał się w prostocie, który to był ów człowiek nieomylny. Ja jestem sam, odpowiedział *Fintak* zaufanym tonem, ja, który przepędziłem życie moje w tym, co nauki i sztuki naysznakomitszego mieć mogą, ja, który od czterdziestu lat pracuję, ażebym wygórował w tym co imaginacja i gust naydelikatniejszego mieć może, żebym rozeznał piękności trwałe od upływających; piękności modne, od piękności przyjętych za powszechną narodów zgodą. Mówię to, ponieważ o tym wszyscy wiedzą, i

nie masz próżności w przyznaniu sobie tego, na co się wszyscy zgadzają.

Lubo ten cały dyskurs był osobliwszego gatunku, *Celikur* jednak mało co go uważał: daleko interessowańszy zaprzątał go obiekt. Kiedy niekiedy *Agata* raczyła weyrzec na niego, i zdawało mu się, iż iey oczy mówiły do niego sposobem w świecie nymocniey uymującym za serce: ale ichże to naturalney żywości, czyli też ukontentowaniu zapatrywania się na swój własny tryumf, przypisać należało, w tym się upewnić potrzeba było. Prosił więc *Celikur* Wszystkowiedza, ażeby mu pozwolił honoru widywania go częściej, i *Fintak* go sam zapraszał.

Oddając drugą wizytę, ów młodzieniec, obligowany był czekać póki Wszystkowiedz widziany nie będzie, i przepędzić czas nieiaki sam na sam z miłą jego synowicą; proszono go, żeby wybaczył, lecz on się bynajmniej nie gniewał. Niezmiernie się *WPan* stryżowi mojemu podobał. — Mam to sobie za wielkie szczęście, alebym sobie in-

nego bardziey winszował. — Mój stryż upewnia, iż się W Panu we wszystkim powiedzie. — Ach! czemuż WPanna nie iedno z nim myślisz? — Dosyć często iedno myślę, ze stryżem moim. — Dopuszcz mi więc WPanna do ziednania dobroci serca iego. — Zdaie mi się, iż W Pan nie potrzebuiesz pomocy. — Daruy mi WPanna, wiem iż wielcy ludzie, mają swoje osobliwości, a częstokroć i słabości. Zeby podchlebić ich gustowi, ich opiniom, ich charakterowi, potrzeba ie znać, żeby ie poznać, potrzeba ich się uczyć, i żebyś chciała śliczna *Agato*, mogłabyś skrócić troskliwość moję. O cóż to tu idzie? oto o ziednanie sobie łaski stryża twoiego, wszakże to 'nayniewinnieysza rzecz w świecie. — Tenże to zwyczaj w Prowincyach, iż potrzeba mieć porozumienie z synowicami, ażeby bydl w dobrym u stryżów położeniu? Nie iest to nietrefną rzeczą. — Nic tu więcej nad prostotę nie widzę. — Ale ieżeli stryż mój ma swoje osobliwości i słabości iak W Pan mówisz, potrzebaż W Pana prze-

strzedz o nich? — Czemuż nie? Rozumiesz WPanna, iż tego na złe użyję? — Nie; ale synowica. — I cóż, synowica? powinna się starać, ażeby się stryżowi przypodobać. Przeszedł iuż te lata, w których go poprawić było można, w tym wieku tylko mu iuż dogadzać potrzeba. — Nie można lepiej uprzątnąć skrupułów. — Zadnegobyś WPanna nie miała, gdybym iey był lepiej znany. Ale na co, dyssymuluiesz WPanna. — W samey rzeczy drugi raz W Pana widzę, mogęż bydl ze wszystkim dla niego otwartą — Wyznaię, że nie wykrętny, proszę mi to darować. — Nie, i owszem winną się bydl uznaię, udaiąc przed W Panem za rzecz wielką to, co w samey rzeczy nie iest. Otóż tak: stryż mój iest dobre człeczysko, i nigdyby niczym więcej nie był, gdyby mu nie nabili głowy, tym, że się zna na wszystkim, że umie wszystko, że naylepiej sądzi o naukach i sztukach, że iest podporą, i sądzią dowcipu. To nie nikomu nie czyni złego: ale nam to ściągą do domu rojami

głupców, których mój stryja proteguje, i z którymi idzie w podział pośmiewiska półgtowkom przygotowanego. Zczyłoby tego potrzeba dla jego spokojności, ażeby opuścić tę chimere, ponieważ zdaie się, iż się Publikum uwzięło nie approbować nigdy zdania jego, i codzieli iaka nowa scena. — Martwisz mnie. — Otóż masz odkrytą tajemnicę wszystkich naszych domowych sekretów, i nie już nie masz przed tobą, ukrytego. Gdy to kończyła, dano znać *Celikurowi*, iż *Wszystkowiedza* oglądać może.

Gabinet, do którego był wprowadzony, oznaczał wielość nauk, i tłum wiadomości; zawalone były szafy księgami *in folio* bez porządku powpychanemi, widzieć było zwinięte kopersztychy, rozłożone karty, rzucone tu i owdzie manuskrypta; na iednym stole otwarty *Tacyt*, i grobowa lampa, około niej stare medale, daley Teleskop, wyborny obraz na warsztacie, model z wosku na płytce relief, kawałki historyi naturalney, i od sufitu aż do podłogi, rzędy

ksiąg, iakoby walące się. Nie wiedział młodzieniec gdzie nogą stąpić, i to iego pomieszanie niezmiernie ucieszyło *Wszystkowiedza*. Wybacz, rzecz, że mnie w takim zastajesz nieporządku. Jest to gabinet naukom moim poświęcony. Trzeba mi to wszystko mieć pod ręką. Ale nie rozumiey, żeby taki nieporządek był w moiey głowie, każda rzecz tam jest na swoim miejscu, różność i liczba rzeczy nie czyni tam zamieszania. Cudowną to jest rzeczą, rzekł *Celikur*, który sam nie wiedział co mówi, ponieważ myśl iego dotąd *Agatą* zaprzątniona była. O i bardzo cudowną rzeczą! odpowiedział *Fintak*, i częstokroć sam się dziwię, reflektując się nad mechaniką pamięci, nad układem pojęć; zdaie się, iż tam są szufladki dla każdej z osobna umiejętności. Na przykład, kto mi to wyexplikuje, iakim sposobem, mimo tłumy tylu rzeczy które mi przeszły przez głowę, mogłem sobie przypomnieć, właśnie iak z umysłu, com niegdyś czytał o powrocie komety? Dowiesz się albowiem, że to

ia jestem, com obudził naszych Astro-
nomów. — WPan? — Nie myśleli o tym,
i żeby nie ia, przeszedłby był kometa
incognito przez nasz horyzont. Nie szu-
kałem ztąd chluby, czemu łatwo uwie-
rzysz, powiadam ci to WPanu w pou-
fności. — Czemu sobie WPan uwłaczasz
chwałę z tak pożytecznego uwiadome-
nia? — Ba, nie skończyłbym, gdybym
to moim wyznał, co inni pod swoim
wydają imieniem. Wiedz w powsze-
chności moje dziecię, iż ułatwienie za-
wiłej kwestyi, nowy wynalazek, ka-
watki Poezyi, malowidła, krasomo-
wstwa, nie należą, iak rozumieją do
tych, którzy ie za własne udają. Ale cóż
jest za cel Wszystkowiedza? zachęcać
talenta i oświecać ie. Czyli rozporzą-
dzenie tego reliwu, układ tego obra-
zu, piękność w częściach i w całości tej
sztuki teatralney, będzie Autora czy
moja, to jest iedno względem rozkrze-
wienia nauk, i to jest co mnie najwię-
cej interessuje. Przychodzą, otwieram
im myśl moję, słuchają mnie, i zysk
z tego mają; przeciwnie; nadgroda mo-

ia cała, gdy im się uda. Nic nadto nie
może być piękniejszego, rzekł *Celi-
kur*; nauki powinny W Pana mieć za
swoiego *Apollina*. A Panna *Agata* jest-
że ich Muza? — Nie, moja synowica
jest niepojętna; wszelkiełożyłem usiło-
wania w iey edukacyi, ale nie ma gu-
stu do nauk. Chciałem ią uczyć histo-
ryi, oddała mi moje książki mówiąc, iż
to nie warto było czytania, żeby się do-
wiedzieć w każdym wieku o świetnych
szaleńcach, i zuchwałych frantach, któ-
rzy sztydzili z tłumu głupich ludzi.
Chciałem ią wprowadzić w gust krasomo-
wstwa; utrzymywała, iż *Cycero*, *Demo-
stenes* &c. byli dowcipnemi szarletana-
mi, i że kiedy kto ma dobre racye, nie
potrzebuje wielości słów. Co do mora-
łu, rozumie, że go umie na pamięć, i
że *Lukasz* iey oyciec tak jest mądry iak
Sokrat. Sama tylko Poezya bawi ią nie-
kiedy, i to jeszcze woli bayki, aniżeli
wysokie Poematy, i powiada prostaczka,
iż woli słuchać rozmawiające zwierzę-
ta u *de la Fontaine*, aniżeli Bohaterów
u *Wirgiliusza* i *Homera*. Słowem, mając

Iat ośmnaście jest takim dzieckiem jak we dwunastym roku, i wpośród najpoważniejszych i najpożyteczniejszych dyskursów, z podziwieniem obaczysz bawiącą się bagatelami albo nudzącą się, gdy kto chce zniewolić jej uwagę. Smiąc się *Celikur* sam w sobie pożegnał Pana *Fintaka*, który przez łaskę swoją zaprosił go nazajutrz na obiad.

Ow młodzienciek tak był z tego kontent, iż całą noc spać nie mógł. Jeść obiad z *Agatą*! był to dzień życia jego najpiękniejszy. Przychodzi; w piękności jego, w młodości, w wypogodzonej twarzy, każdy mógł poznać *apollina*, gdyby *Fintaka* Parnas lepiej był dobrany; ale ponieważ nie chciał widywać tylko ludzi obowiązanych sobie i podchlebców, takich tylko do domu swojego ściągających.

Opowiedział im o przybyciu *Celikura* mieniąc go młodym Poetą najpiękniejszą o sobie nieczącym nadzieję. Wszystkich oczy na niego na przepych obroczone były. Każdy z zaproszonych rozumiał, że na jego następuje miejsce; i

w gruncie serca swojego zemstę mu gotował, gotując się na oczernienie pierwszego dzieła, któreby wydał. Tym czasem *Celikur* był przyjęty i karessowany od tych wszystkich Ichmościów, i od tego momentu wziął ich za najuczciwszych w świecie ludzi. Nowy przybylec wzniewał emulacją, puszczoł piękny rozum pod żagle. Sądono Rzecpospolitą literacką, a ponieważ sprawiedliwą jest rzeczą mieszać do pochwał krytykę, chwalono wszystkich w powszechności umarłych, a bramowano sławę żyjących, to jest: wszystkich tych żyjących, którzy z niemi nie znaydowali się na obiedzie. Wszystkie te nowe dzieła, które z powszechną przyjęto były approbacją, a nie były poddane pod sąd *Fintaka*, nie mogły mieć tylko blasku przemijającej chwały: wszystkie zaś te, które miały piętna jego approbacji, miały przejść do nieśmiertelności, lubo wcale co innego wiek młodziejszy o nich mówi. Przetrzęśli wszystkie rodzaje nauk, i dla dania większej okraszy umiejętności i krytyce,

wszczęto tę wcale nową kwestyą, to jest: któremu prym przyznany być powinien *Kornelowi* czyli *Racinowi*. Mówiono w tej materii najpiękniejsze w świecie rzeczy, gdy młoda synowica, która dotychczas słowa nie wymowiła, spytała się, w prostocie serca, któryby z dwóch fruktów miał smak wyśmienitszy, pomarańcza czyli brzoskwinia, i który z nich większy wart jest pochwały. Zarumieniła ta prostota stryja, i goście spuścili oczy, nie sądząc godne odpowiedzi tak nierozważne zapytanie. Moja synowico, rzekł *Fintak*, w wieku twoim trzeba umieć słuchać i milczeć. Uśmiechnęła się nieznacznie *Agata*, weyrzała na *Celikura*, który ją bardzo dobrze rozumiał, i którego rzucenie oka nadgrodziło iey pogardę od obiadujących uczynioną. Zapomniałem powiedzieć, iż naprzeciwnie niey był posadzony, i łatwo się domyslić można, iż mało co słuchał tego, co koło niego mówiono. Ale Wszystkowiedz examiniując fizognomią iego, znajdował w niej osobliwszy ogień. Patrzcie, mó-
wił

wił do owych mędrków, patrzcie, iak się talenta na wierzech wybiłają. Tak, rzekł z nich ieden, tak transpirują iak woda przez pory *Eolipila*. *Fintak* wzięwszy za rękę *Celikura* rzekł: Nie jestże to komparycya? nie jestże to Poezya razem z Filozofią przefiltrowana? tak talent talentowi dopomaga, tak Muzy za ręce się trzymają. Przyznay, rzekł daley, iż podobnych obiadów nie dają w Prowincyalnych miastach. A jeszcze nic nie widzisz; są dni takie gdzie ci Ichmość mają sto razy więcej rozumu. Trudnoby go nie mieć, rzekł ieden z nich, iesteśmy u źródła, *et purpureo bibimus ore nectar*. Ach *purpureo*! odpowiedział skromnie *Fintak*, wiele mi WPan czynisz honoru. Stuchay młodziku, naucz się testami nadsadzać. Cała attencya owego młodzieńca wymierzona była spotkać się z oczyma *Agaty*, która z swojej strony bardzo go pięknym znajdowała.

Wstawszy od stołu, poszli się przechodzić do ogrodu, gdzie Wszystkowiedz starał się zgromadzić wszystkie

rzadkie rośliny, które wszędzie widzieć można. Między innemi cudami była kapusta fryzowana, która naturalistów w podziwienie wprowadzała. Jej marszczki, feston iey, różność kolorów były podziwieniem świata. Niechay mi pokażą, rzekł *Pintak*, iaką cudzoziemską roślinę, którąby natura z taką usilnością, dowcipem i delikatnością ukształciła. Dla windykowania Europy przeciwko uprzedzeniom niektórych ciekawych ludzi i ubiegających się za tym wszystkim, co do nas z Indyi i nowego świata przychodzi, chowam tę piękną kapustę.

Gdy się nad tym dziwiono cudem, *Agata* i *Celikur*, iakoby nie umyślnie zeszli się w pobliskiej ulicy. Piękna *Agata*, rzekł do niey młodzieniec pokazując iey różę, zezwoliszże, ażeby ten kwiat zwiądnął na swej gałązce? — Gdzież ma zwiędnąć? — Tam, gdzie ja sam skończę sobie życzył. Zarumieniła się *Agata* na tę odpowiedź, a w tym momencie stryi iey z dwoma mędrkami usiedli w pobliskim cieniu, z kądem nie bę-

dąc widzianemi, słyszeć ich mogli. Jeżeli to prawda, rzekł do niey *Celikur*, iż dusze z iednych w drugie przechodzą ciała, życzę sobie po moiej śmierci bydz podobnym do tey róży. Gdyby iaka niegodna ręka zerwać mię chciała, schowałbym się pomiędzy ciernie; ale gdyby piękna iaka *Nimfa* raczyła na mnie swe rzucić oko, wysunąłbym się ku niey, rozwinąłbym me łono, wydałbym perfumy, pomieszałbym ie z iey tchnieniem, chęć przypodobania się iey, ożywiałyby kolory moje. — I cóż, czyniłbyś tyle, żeby cię zerwano, i w momencie straciłbyś bytność. — Ach Pani, maszże to za nic, bydz na moment? Oczy iego skończyły to, co usta zaczęły. *Agata*, rzekła *Agata*, ukrywając pomieszanie swoje, gdyby mi wybór był pozwolony, chciałabym bydz gołębiem; jest to sama niewinność, i łagodność. — Przyday, pieszczona miłość i wierność. Tak piękna *Agata*, ten wybór godzien jest ciebie. Gołąb jest ptakiem *Wenery*: *Weneraby* cię pomiędzy rowiennikami twojemi cenić umiała: byłabyś ozdobą

tryumfalnego iey wozu: Miłośćby na twoich spoczywała skrzydłach, albo raczej na łonieby cię swoim ogrzewała. Z iey ust Boskich nektarem poionabyś była. Przerwała ten dyskurs *Agata*, mówiąc mu, iż fikcją daleko posuwał. Słowo jeszcze, rzekł *Celikur*: Gotąb ma współniczkę, gdyby było w twej mocy dobrać ją sobie, cobyś też za duszę w nią wlać chciała? duszę przyjaciela, rzekła. Na te słowa *Celikur*, wlepił w nią swe oczy, w których czytać można było miłość, wymówkę i żal.

Bardzo dobrze, rzekł stryja wstając, bardzo dobrze, otóż to jest piękna i dobra Poezya. Obraz róży jest w żywej kolorycie *Wan-guysuma*, gołębia zaś jest de *Boucher* żywy, i miłośny. *Ut pictura Poesis*. Wybornie moje dziecię, wybornie. Allegorya jest dobrze utrzymana; możemy z was coś zrobić. *Agata*, byłem dosyć kontent z twojej rozmowy, i to *JPan Lexerg*, który się równie nad tym zemną dziwi. Pewna jest, rzekł *JPan Lexerg*, iż w mowie *JPanny* jest coś *Anakreontycznego*, jest

to piętnem gustu iey stryja; nie on nie mówi coby nie tchnęło duchem mądrych starożytności. Pan *Lucyð* znajdował w fikcyi *Celikura*, *molle atque facetum*. Potrzeba skończyć tę małą scenę, rzekł *Fintak*, trzeba ją wyłożyć wierszem, będzie to jedną z najpiękniejszych, którąśmy widzieć mogli rzeczą. *Celikur* rzekł, iż do zakończenia iey, potrzebuje pomocy *Agaty*, i żeby ich rozmowa była wolna i naturalna; osądzono za rzecz przyzwoitą zostawić ich samych. Chcesz wlać w gołębia duszę przyjaciela, rzecze *Celikur*, ach! piękna *Agato*, serce twoje nie jestże tylko do przyjaźni? dla nieyże miłość tyle w tobie złożyła wdzięków? Otóż, rzekła z uśmiechem *Agata*, bardzo dobrze rozpoczęty dyskurs. Tylkoby mi na to odpowiedzieć potrzeba, daleko byśmy zasali. Jeżeli chcesz, rzekł *Celikur*, możesz go skrócić. Mówmy o czym innym, rzekła. Bawiłże cię obiad? — Nie styszałem tylko jedno słowo mądre i dowcipne, które przez głupstwo wzięto za prostotę. Wszystko mi mimo

uszków przeleciało; dusza moja nie była w mym uchu. Była bardzo szczęśliwa, ach! bardzo, ponieważ była w oczach moich. — Gdybym chciała, udałabym przed tobą, że cię nie rozumiem, albo że ci nie wierzę, ale się nigdy udaniem nie bawię. Znajduję rzecz naturalną, z przeproszeniem naszych mędrków, iż więcey masz ukontentowania patrzeć na mnie, aniżeli ich słuchać: i przyznać ci się, iż się nie gniewam o to, że mam z kim mówić, choćby się to tylko na rozmowie oczów kończyć miało, ulży mi się tęsknoty, którą mi czynić zwykli. Zrozumieliśmy się tedy, i będziemy się bawili mając tak śmieszne w swoim gatunku oryginały. Naprzykład ten Pan *Lucyś* rozumie, iż to widzi w rzeczach, czego nikt nie dostrzegł. Rozumie, iż mu natura sekretu swoje do ucha powiedziała, ale cały świat nie jest godzien wiedzieć tego, o czym on myśli, wybiera w posiedzeniu uprzywilejowanego konfidenta; bywa to pospolicie najzacniejsza osoba. Wynurza się misternie przed nim,

i zdanie swoje cicho mu powiada. Pan *Lexerg* jest to mędrzec głęboki, gardzi tym wszystkim, co jest terażniejszych wieków płodem, i nie szacuje rzeczy tylko liczbą wieków. Chce nawet, ażeby młoda kobieta miała starożytną minę, i cześci mnie attencyą swoją, ponieważ znajduję we mnie profil Cesarzowy *Pope*. W tym on tam które widzisz posiedzeniu osób, jest człowiek prosty i trefniś, który piękne tworzy bagatelki, ale może ich nie słuchać kto chce. Dzień cały mu nie wystarcza na czytanie ich, sam sobie dobiera słuchaczów, chce tego, ażeby dla wszystkich innych drzwi były zamknięte: przychodzi na palcach, siada za stołem między dwiema świecami, wyimuje nie bez tajemnicy z kieszeni pugilares różowy, pociąga łagodnym okiem prosząc o milczenie, ogłasza romansik swojej roboty, który się podobał wielkim osobom, czyta go powoli, ażeby gust do niego zaprawił, i ciągnie do końca nie postrzegając, iż wszyscy ziewają. Ow mały człeczek co to rozkłada rękami,

niewypowiedziane wemnie wzrusza politowanie. Rozum jego jest iak owo kichnienie, które ma nastąpić, a nie uskutecznia się nigdy. Znać to na nim, iż umiera z chęci mówienia pięknych rzeczy, ma je już na końcu języka, ale się zdaie, iż uciekają pierwey niż je zchwyci. Ach! ten człowiek godzien politowania. Ow długi i wywiedły człowiek, który się sam na ustroniu przechodzi, jest człowiek głęboki w swoich reflexyach, a mając perukę okrągłą i czarne wapory, rozumie się być Angielskim Filozofem. Zastanawia się nad skrzydełkiem muchy, i tak jest ciemny w swoich pojęciach, iż kusi kiedy niekiedy człowieka, żeby mu wierzyć, iż jest głęboko uczony.

Gdy *Agata* tak złośliwie owe malowała charaktery, oczy *Celikura* w iey oczy wlepione były. Ach! iakże, rzeczy, stry! twój znając tyle rzeczy, mało zna rozum synowicy swojej. Mieni cię być dzieckiem. — Bez wątpienia, i ci Ichmość taką mnie być rozumieją. Nie wystrzegają się mnie więc i wolno

przy mnie o mądrych rozmawiają głupstwach. Nie wyday mnie przynajmniej. — Nie bój się, ale potrzeba piękna *Agata*, skleić porozumienie nasze, mocniejszym węzłem, niż węzeł przyjaźni. — Pokrzywdzasz przyjaźń, rzekła mu *Agata*, może jest co nad nią słodsze, ale nie trwalszego być nie może.

Na tych słowach przerwano, im dyskurs, i Wszystkowiedz przechodząc się sam z *Celikurem* spytał się go, jeżeli znaleźli wątek w swoim dyskursie. Nie jest to, rzecz młodzienc, to, czegom chciał właściwie, ale starać się będę w innym to nadgrodzić czasie. Markotno mi, żem ci przeszkodził, rzekł *Fintak*. Nie masz nic trudniejszego iako wyszukać raz utraconą ścieżkę w naturze. Zapewne ta bezmużnica nie obiegła myśli twojej; błysnie w niej rozum kiedy niekiedy, ale zagnęła gaśnie. Spodziewać się przynajmniej potrzeba, że ją zamęście uformuie. Myślisz więc Wpan wydać ją za męża? spytał go *Celikur* drżącym głosem. Tak jest, odpowiedział *Fintak*, i spodziewam się po

tobie, iż uczcić raczysz ten akt weselny. Widziałeś W Pan Pana *Lexerg*, jest to człowiek wysokiego rozsądku, i głębokiej nauki, za niego wydać mogę synowicę. (Gdyby się był *Fintak* wpatrzył w twarz *Celikura*, widziałby ją być bladnącą.) Człowiek tak seryo i tej aplikacyi, potrzebuje, rzekł dalej, iakiegoś roztargnienia. Jest bogaty, polubił tę Pannę tylko przez inklinacyą, i w tygodniu musi ją wziąć za żonę. Ale chce, żeby to w ścisłym utrzymywać sekrecie, i synowica moja nic jeszcze o tym nie wie. Co do ciebie, potrzeba ażebyś był przypuszczony do sekretu tej tajemnicy, którą wierszem twoim masz opiewać. O Himenie, o Himenie! rozumiesz mnie? chcę od ciebie weselnego wiersza, i ten jest moment wstawienia się twoiego. — Ach Mci Panie! — Na stronę skromność, ta przytłumia talenta. — Uwolnij mnie W Pan. — Uda ci się to, jest to materya wiekowi twojemu właściwa, i honor ci uczyni. Synowica moja jest młoda i piękna, mając imaginacyą i du-

szę nie potrzeba długo myśleć nad podobną materyą. Co do nowożeńca, powiedziałem ci, iż to człowiek rzadki. Nikt nad niego lepiej nie zna antyków. Ma gabinet medalów, który taxuje czterdzieści tysięcy talarów. Miał czekać na widzenie Herkulanum, i o mało nie wołował do Palmiru. Widzisz ile tu jest do Poezyi malowideł. Ale cóż mówię? myślisz już o tym: tak jest, widzę w twarzy twojej owo zamyslenie głębokie, które płodną imaginacyą zagrzewać zwykło, i dysponować ją do wydania dzieła; idź, idź prędzej, korzystaj z tak szacownych momentów. I ja też idę zatopić się w naukach.

Zmartwiony tym wszystkim co słyszał *Celikur*, gorzał z niecierpliwości obaczem *Agaty*. Umyślił nazajutrz pójść do Wszystkowiedza po radę; i nim wszedł do jego gabinetu, spytał się iezeli go widzieć było można. Ach Mci Panno, rzekł do niej, widzisz człowieka w ostatniej pogrążonego rozpacz. — Cóż ci to? — Zginionym.... Idziesz za Pana *Lexerg*, — Króć ci to

tę bajkę powiedział? — Kto? sam J Pan *Pintak*. — Czy podobna? — obligował mnie napisać wiersz weselny dla ciebie. — Będzie to co pięknego. — Śmiesz się? Maszże za rzecz śmieszną, być żoną Pana *Lexerg*? — O i bardzo śmieszną. — Ach! przynajmniej, tyranko, przez liłość nademną, który cię adoruję, i który cię utracam... Przerwała *Agata* ten dyskurs, gdy iey do nóg padał. Przyznay, rzekła do niego, iż takowego pomieszanія momenta są naywygodniejszy do przyrzeczenia; kiedy ten, który je czyni, utracą przytomność umysłu, a ta która go słucha, nie śmie się na to uskarżać, i w zaćmieniu takowego pomieszanія zdaie się miłość iż wszystko ażardować może. Ale powoli, umiarkuj się, i obaczmy co cię w rozpacz wprowadzi. — Spokojność twoja, okrutnico. — Chceszże, żebym się martwiła tym nieszczęściem, którego się nie boję? — Mówię ci, już udecydowano, że pójdiesz za Pana *Lexerg*. — Chceszże, żeby to decydowano bezemnie, czego bezemnie uskutecznić nie można? — ale jeżeli twój

stryi dał słowo. — Jeżeli go dał, to go odwoła. — Jako, będzieszże miała tyle odwagi? — Co za odwaga nie powiedzieć *tak*: heroiczna rezolucya! — Ach czuję nayżywsze ukontentowanie. — A to ukontentowanie twoje równym jest szaleństwem iak żal. — Nie będziesz żoną Pana *Lexerg*. — I cóż potym? — Będziesz moją. — Bez wątpienia, nie masz nic trzeciego, i każda Panna, która nie będzie iego żoną, będzie twoją, to oczywista. Prawdziwie, rezonujesz iak Poeta z Prowincyi. Idź, idź do stryia moiego, a nie daj mu poznać, żeś mnie o tym przestrzegł.

Nuż tedy, dalekożes zaszedł w pisaniu weselnego wiersza, spytał Wszystkowiedź zbliżając się ku niemu? — Ułożyłem go w głowie. — Obaczmy. — Wyjąłem allegoryą czasu żeniącego się z Prawdą. — Piękna myśl, ale smutna, a potym czas jest bardzo stary. — Pan *Lexerg* jest antykwaryuszem. — Tak, ale tego ludzic nie lubią, żeby ich starem nazywano. — Nie lepiejżeby było wesele Wenery z Wulkanem? — Wul-

kan; z racyi bronzu z którego białą medale. Nie.... Awantura Marsa jest smutna do wspomnienia. Pomyśliwszy, znajdziesz jaką szczęśliwszą ideę. Ale, ale z racyi Wulkana; chcesz tego wieczora widzieć z nami próbę jednego sztuk magistra, któremu moję dać protekcją? będą race Chińskie, na które mu dałem kompozycją: przydałem coś nawet, ponieważ potrzeba, żebym zawsze coś mojego przydał. Nie wątpię o tym *Celikur*, iż *Agata* w tej kompanii znajdować się będzie, przyszedł więc z pośpiechem.

Usiedli Spektatorowie: *Fintak* z synowicą swoją zasiadł iedno okno, zostawało jeszcze około *Agaty* szczupłe miejsce, które bez przysady uchroniła. Wsunął się tam bojaźliwie *Celikur*, i pełen był radości, widząc się przy *Agacie*. Oczy stryja za rac lotem biegaly. *Celikur* swoje w iego synowicę wlepił, i choćby były gwiazdy z nieba leciały, nie uczyniłyby mu były myśli roztargnienia. Ręka iego znalazła na krawędzi okna pieśczeniśzą nad barwę

kwiatu rękę; zadrzał, co *Agata* uważać musiała: ręka, której się zaledwie dotknął, usunąć się zabierała, zatrzymał ją; oczy *Agaty* obróciły się ku niemu, i znalazły oczy iego proszące o łaskę. Uczuła, iż go martwi uniknięcie tak szacowney ręki, i bądź przez słabość, bądź przez politowanie, zostawiła mu ją bez wstrętu. Było to wiele, ale nie było dosyć. Ręka *Agaty* była zamknięta, i ręka *Celikura* uściskać iey nie mogła. Bogi! cóż było iego za podziwienie, i co za radość gdy uczuł, iż się słodkiemu poddać gwałtowi. Trzyma rękę *Agaty*, w ręce swojej, ściska ją serdecznie. Dochodzicież szczęśliwości iego? nie jest jeszcze zupełna: ręka którą ściska, nie nie odpowiada: przytula ją do siebie, schyla się ku niej, i odważa się położyć ją na sercu swoim, które się ku niej posuwa. Chce mu się wydrzeć, trzyma tę brankę, i miłość to tylko odgadnie, iak potężnym młotem ta bojaźliwa ręka była dla serca iego. Było to dla niej magnesem. O tryumfie! o podziwienie! Nie *Celikur* ją już

ściska, ale ona koresponduje poruszeniu serca *Celikura*. Ci, którzy nie kochali, nie znają tego poruszenia, a ci którzy kochali, raz go tylko uczyli. Wyrzucenie ich tchnęło czułym omdleniem owym, które jest słodsze nad wszelkie słowne oświadczenie. Gdy dziwandola po powietrzu buiała, natenczas ręka *Agaty* nowe uczynić usiłowała na sercu *Celikura* impressye: i wtenczas, gdy koło nich applaudowano rac piękności, nasi miłośnicy zabawni samemi sobą, głębokim westchnieniem oświadczały sobie żal z rozstania się z sobą. Taka była ta cicha scena, godna ażeby ją wystawić za przykład wymownego milczenia.

Od owego momentu złączone ich serca nie przed sobą nie tały: obydwaj pierwszy raz zakosztowały słodyczy kochania: i on wyskok czułości jest najczystsza istotą duszy. Ale miłość biorąca od charakteru piętno swoje, była w *Celikurze* bojaźliwa i stateczna: żywa, wesółą, i złośliwą w *Agacie*.

Tym

Tym czasem nadszedł dzień oznajmienia iey zamęścia z *Lexergem*. Przyszedł Antykwaryusz do niey, znalazł ją samą, i oświadczył iey miłość swoją ufundowaną na przyrzeczeniu iey stryia. Wiem, rzekła mu swywołąc, że mnie kochasz z profilu, ale ja chcę mieć męża, którego bym całą twarz kochała, i szczerze mówiąc, nie jesteś WPan dla mnie. Masz WPan mówisz obietnicę od moiego stryia, ale się WPan bez zezwolenia moiego zemną nie ożenisz, a mogę WPana upewnić, iż go w całym życiu mieć nie będziesz. Daremnie *Lexerg* oświadczał iey, iż więcej w iey oczach znajduie wdzięków, aniżeli w Wenerze Medyceuszów. *Agata* mu raiła starożytne Wenery, i oświadczyła mu, iż nie jest taką. Z tego dwoyga wybierz WPan jedno: jeżeli się żenić chcesz zemną, narażę się stryiovi, albo mi WPan ubliżę tego umartwienia. Zmartwisz mię WPan, gdy mnie odmówkę przypiszesz, zobligujesz mnie jeżeli ją przyznasz za swoją: i kiedy kto nie jest kochany, nic nie może le-

Tom III.

C

pszego uczynić, iako żeby się starał nie bydź nienawidzonym. Jestem WPana uniżona sługa.

Smiertelnie był urażony Antykwaryusz odmówką *Agaty*. Duma jego byłaby dysymulowała urazę, gdyby wyrzut nie dotrzymania słowa, nie pociągnął go był do wyznania prawdy. Urażony był *Fintak* sprzecznością synowicy swojej, ponieważ powaga jego szwankowała, i żadną miarą uporu przezwyciężyć nie mógł. Zawsze mu odpowiadała, iż nie była medalem, skończył więc tym zapalczywym oświadczeniem, iż nigdy innej żony mieć nie będzie. Nie ta tylko była przeszkoda do uszczęśliwienia naszych amantów. *Celikur* szczupłego spodziewał się dziedzictwa, a *Agata* wszystko w stryiu swoim miała, który jeżeli kiedy to wtenczas najmniej pokazywał chęci, ogołocenia się z dobr swoich dla niej. W szczęśliwych czasach mógłby był obmyślić *Agacie* pomierną sytuacją, ale po odmowie iey, cudu potrzeba było do przywrócenia iey łaski jego; miłość to sprawiła.

Podchlebny stryiovi moiemu, mawiała *Agata* do *Celikura*, chwał go, a nie wyiawiaj mu, że się kochamy. Dla czego chrońmy się, znajdować się razem, i niech ci będzie dosyć, żebyś mi o twoich postępках przechodząc powiadał. Nie utait *Fintak* przed *Celikurem* urazy, którą miał do synowicy swojej. Czyli się w jakim innym potajemnie kocha?... Gdybym to wiedział. Ale nie, to głupia dziewczyna, która niczego nie kocha i nie czuje. O jeżeli się w dziedzictwie moim zasada, będę umiał lepiej łożyć dobrodzieystwa. Zatrwożony młodzieniec pogrozkami stryia, szukał momentu uwiadomienia iey o tym. Zartami to zbyła. Zagniewany jest na ciebie kochana *Agato*. — Nic to. — Mówi, że cię wydziedziczyć myśli. — Potwierdzay co mówi, zyskay zaufanie iego, a zostaw cały interes miłości i czasowi. Słuchał *Celikur* rady *Agaty*, i po każdej pochwale, którą dawał *Fintakowi*, *Fintak* odkrywał w nim nowe przymioty, i nowe stopnie doskonałości. Rozmiar rozumu, i przenikliwość w tym

młodzieńcu jest bez przykładu w jego wieku, mawiał do swoich przyjaciół. Nareszcie tak można sobie u niego ziednać zaufanie, iż osądził, że mu może powierzyć tego, co nazywał sekretem w swoim życiu: była to komedia, którą on napisał, i którey nie śmiał nikomu czytać, bojąc się utracić reputacyi swojej. Obowiązawszy go do najsłabszego sekretu, umówił się z nim o czas do przeczytania iey. Tą nowiną niezmiernie *Agata* ucieszona była. Dobrze to jest, mówiła, nuż tedy, podwój wymiar kądziła, zła czy dobra, trzeba żeby w twoich oczach równey nie było.

Sam na sam *Fintak* z młodzieńcem zamknawszy drzwi gabinetu na dwa rygle, wyciągnął ze szkatułki ów szacowny manuskrypt, i czytał z entuzjazmem zimną i nudną komedią. Kosztowało to wiele młodego człowieka, że musiał applaudować suchym rzeczom, ale mu to *Agata* zaleciła. Applaudował więc, a Wszystkowiedz topniał z radości. Przyznał, rzekł do niego skończywszy czy-

tanie, przyznaj, że jest arcypiękna. — I bardzo piękna. — O czas już, żebym ci powiedział, dla czegom cię za najpierwszego obrał konfidenta. Pałam od dawnego czasu chęcią, widzieć tę komedią na teatrum, ale nie chcę żeby to było pod moim imieniem (Zgrzytnął zębami *Celikur* na te słowa) Nie chciałem się nikomu powierzać, ale nareszcie sędzę cię być godnym tego dowodu przyjaźni moiej. Dzieło to moje, udasz za twoje własne, nie zostawię sobie tylko ukontentowanie ziego approbacyi, a tobie zupełney ustępię chwały. Samo wspomnienie, iż się wystawił na oszukanie Publikum, powinno było wskroś przerazić owego młodzieńca, ale wspomnienie sobie, że tak nędzna komedia pod jego imieniem wysmiana będzie, tym bardziey mu dopiekło. Zmieszany takową propozycją, długo się bronił, ale nadaremno. Powierzyłem ci sekretu, rzekł *Fintak*, honor twój w tym, żebyś dla mnie uczynił to, czego żądam. Jedno to jest dla Publikum, czyli ta komedia moją czy-

li twoją będzie: i to uczynne kłamstwo, nikomu na świecie szkodzić nie może. Moja komedya, jest moją własnością, daruję ci ją, najpóźniejsza potomność nic o tym nie będzie wiedziała. Ze wszech miar, więc delikatność twoja jest ochroniona. Jeżeli po tym wszystkim nie zechcesz udać dziecka tego, za twoje własne, będę rozumiał, że go za złe poczytuiesz, żeś mnie łudził, chwając go, i żeś równie niegodny moiej przyjaźni, i szacunku moiego. Na cóżby się był nie odważył kochanek *Agaty*, ażeby się uchronił nienawiści iej stryia? Oświadczył mu, iż go chwalebne tylko wstrzymywały racye, i prosił go o dwadzieścia cztery godzin do namyslenia się. Czytał mi ją, rzekł do *Agaty*. — I cóż? — co? jest nic do rzeczy. — Nie wątpiłam o tym. — Chce, żebym ją dał na teatr pod moim imieniem. — Co mówisz? — Chce, żeby ją miano za moję własną. — Ach *Celikur*! podziękujemy niebu za tę awanturę. Przyjąłżeś ją? — Nie jeszcze, ale będę musiał. — Tym lepiej; — mówię ci, że jest

szkaradna. — Tym lepiej; — wygwizda ją ją. — Tym lepiej, mówię. Na wszystko trzeba zezwolić. Nie spał *Celikur* z niespokojności i złości. Nazajutrz przyszedłszy do stryia rzekł: iż nic nie było, czegoby nie uczynił dla przypodobania się iemu. Nie chcę cię, rzekł Wszystkowiedz, nieurostropnie exponować: przepis komedya twoją ręką, odczytasz ją naszym przyjaciółom, którzy są wybornemi sędziami: a jeżeli o nieuchybnym iej przyjęciu wątpić będą, nie jesteś więcej do niczego obligowany. Jedney tylko od ciebie żądam rzeczy, to jest, żebyś się iej dobrze czytać nauczył. Ta prekawca pocieszyła młodzieńca: mam czytać, rzekł do *Agaty*, tę komedya iego przyjaciółom, jeżeli ją złą osądzą, będzie mnie dispensował od dania iej na teatr. — Znaydą ją wyborną, i tym lepiej: zginęlibyśmy, żeby ją za złą uznali. — Explikuy się. — Idź precz, żeby nas nikt nie widział razem. Stało się, co powiedziała. Skoro się zgromadzili sędziowie, Wszystkowiedz uprzedził ich

o tej komedyi, iak o cudzie iakim, nade wszystko w młodym Poccie. Młody ów Poeta czytał iak mógł najlepiej, i przykładem *Fintaka* na każdy wiersz wszyscy wpadali w zachwycenie, wszystkim scenom applaudowano. Przy końcu pełno okrzyków; znaydowano tam pełno delikatności *Arystofana*, wyborność *Plauta*, komiczność *Terencyusza*, i nie wiadano, która komedya *Molliera* z tą w porównanie poyść miała. Po tej probie nie można się było wachać. Nie zgodzili się Komedyanci z mędrkami: ale perswadowano sobie, iż ci ludzie nie mieli gustu, i rozkazano grać tę komedya. *Agata* przytomna czytaniu applaudowała ze wszystkich sił swoich. W niektórych miejscach udawała skłonność do płaczu, i entuzjazm iey do tej komedyi, pogodził ją nieco z Autorem. Czy można, rzekł *Celikur*, żebyś ją dobrą bydz sądziła? — Wyborna, odpowiedziała, wyborna dla nas! I na te słowa oddaliła się od niego, nie chcąc nic więcej mówić. Gdy probowano komedyi, *Fintak* biegał od domu do domu,

dla przygotowania umysłów dla rodzącego się Poety, który piękne o sobie czynił nadzieie. Nadchodzi nareszcie ów dzień świetny, i Wszystkowiedz sprasza na obiad przyjaciół swoich. Nuż tedy Mościwi Panowie, mówi, utrzymajcie wasze dzieło. Osądziliście tę komedya za wyborną, przyobiecaliście iey szczęśliwe przyjęcie, idzie tu o wasz honor. Co do mnie, wiecie, iż mam wewnętrzności oycy, dla podnoszących talentów, i czuję równie iak oni okrutne niespokojności w tym fatalnym momencie.

Po obiedzie, przyjaciele Wszystkowiedza serdecznie uściskały *Celikura*, i radzili mu, żeby szedł na parter bydz raczej świadkiem, aniżeli autorem tryumfu swojego. W samey rzeczy wszyscy poszli na teatr. Grano komedya, ale iey nie skończono, i pierwsze niecierpliwości hasło, dali iego dobrzy przyjaciele.

Fintak był na amfiteatrum drżący, i iak śmierć wybladły: i cały czas grania sceny, ów nieszczęśliwy i pełny

litości oyciec, wszystkich sił dobywał, na danie pomocy dziecku swojemu. Nakoniec widział go umarłym, i puściwszy cugle żalowi, zaledwo wczółgał się do karety; zawstydzony, zniszczony skarżył się na nieba, że w tak barbarzyńskim urodził się wieku. Cóż się z nędznym *Celikurem* działo? Ach! pozwolono mu dla bonoru być w łoży za kratką, gdzie stojąc iak na szpilkach, widział, iak mniemano, swoją komedią chwielającą się w pierwszym akcie, wzgardzoną w drugim, a wygwizdaną w trzecim. Obiecał *Fintak* wziąć go z sobą, ale zapomniał o tym. Co robić? iak się schronić przed tłumem ludu, który poznawszy go nie omieszkaby wytknąć go palcem? Nakoniec, widząc próżno salę, i pogaszone światło, odważył się zniść. Ale kurytarze i wschody pełne ieszcze były. Pomieszanie iego wydało go, i słyszał ze wszystkich stron: otoż to ten bez wątpienia, ten, oto jest, ten sam. Biedny: szkoda go; lepiej napisze na drugi raz. Postrzegł na ustroniu zgromadzenie autorów, któ-

rzy się naśmiewali z kamrata swojego. Widział nawet dobrych przyjaciół *Fintaka*, którzy tryumfowali z iego nie-szczęścia, i którzy widząc go, tyłem się do niego obracali. Ponurzony w o-chydzie i żalu, udał się do prawdziwego autora, i nypierwey starał się widzieć z *Agatą*. Wolno mu było widzieć się z nią, ponieważ się stryli zamknął w gabinecie swoim. Przepowiedziałem ci, wysmiano ią, a wysmiano ochydliwie, rzekł *Celikur*, rzucając się w krzesło. Tym lepiej, odpowiedziała *Agata*. — Jako tym lepiej? kiedy amant twój, dla przypodobania ci się, staie się bayką i pośmiewiskiem *Paryża*. Ach! nadto tego. Nie masz tu z czego żartów stroić. Kocham cię nad życie moje, ale widząc się w stanie takiego poniżenia, iestem gotów rozstać się z życiem i z tobą. Nie wiem, iak się to stało, że mi się sekret nie wysłiznął. Mało iest, żem się wydał na publiczną pogardę, ieszcze okrutny stryli twój w nioey mnie opuszcza. Znam go, pierwszy się widząc mnie zawstydzi, a com

czynił dla osiągnięcia ciebie, to mi na zawsze podobno odeymie nadzieję, niechay się gotuje, albo odebrać swoją komedią, albo mi dać rękę twoją. Ten tylko jest sposób zaspokoienia mnie, i obowiązania do milczenia. Bóg mi świadkiem, iż gdyby to dzieło było dobrze przyjęte, oddałbym mu całą chwałę, gdy zaś odrzucone, cierpię pohaniwienie, ale to przemoc miłości, której ty tylko sama nadgodą byś możesz. Przyznać potrzeba, rzekła przekorna *Agata*, iż jest okrutną rzeczą, byś wygwizdanym za kogo innego. — Tak okrutna, iżbym tej roli grać nie chciał za własnego oycę. — Z jaką pogardą patrzą na przechodzącego nieboraka, którego komedią z teatrum zwalono. — Pogarda jest niesprawiedliwa, można w niej znaleźć ulgę; ale dumne politywanie, to jest co upokarza. — Rozumiem, żeś był bardzo pomieszany schodząc ze schodów: Powitałeś Damy? — Chciałem byś zniszczonym. — Biedny chłopcze, jakże będziesz śmiało pokazać się światu? — Nikomu się nie po-

każę, poprzysięgam, chyba z tytułem twojego męża, albo zwaliwszy na Pana *Fintaka* upokorzenie z tego przypadku. Jużes rezolwowany natrzeć na stryja moiego? — Zupełnie rezolwowany, nie wątpię o tym. Niechay się tegoż wieczora decyduje. Jeżeli mi odmówi twej ręki, wszystkie *Zurnale* ogłoszą, iż był autorem wygwizdanej komedii! — To jest, czegom chciała, rzekła z triumfem *Agata*, do tego dążyły wszystkie owe *tym lepiej*, które cię tak gniewały. Idź do moiego stryja, trzymaj się mocno rezolucyi twojej, a obaczysz, że będziemy szczęśliwi.

Cóż na to Mci Panie, spytał *Celikur* Wszystkowiedza? — Powiedam ci przyjacieliu, iż *Publicum* jest głupia bestya, i potrzeba poprzestać pracować dla niego. Ale uspokoy się, dzieło twoje czyni ci honor w umysłach ludzi dobrego gustu. — Co to WPan nazywasz moim dziełem? to jest istne WPana. — Mów cicho, zaklinam cię moje dziecko, mów cicho. — Łatwo się WPanu zaspokoić, któryś roztropnie uchronił od niestawy

wygwizdania komedyi swojej; ale ja który przez nią pogrążony jestem. — Ach! nie rozumiey, żeby cię miał ten przypadek pokrzywdzać. Oświeceni ludzie, widzieli w tej komedyi takowe rzeczy, które nie mogą być tylko płodem talentu. — Nie Mci Panie, nie podchlebam sobie, zła jest komedya, mam prawo szczerze o tym gadać, i cały świat się na to zgodzi; gdyby była tak skawie przyięta, byłbym rozgłosił, że jest WPana, żeby była po połowie wzgardzona, przyjąłbym to być na siebie; ale tak przykry cios jest nad moją cierpliwość, i proszę WPana, żebyś go wziął na siebie. Ja moje dziecię, i aż bym się przy schyłku życia miał wystawić na takie pośmiewisko? stracić w jednym dniu czterdziestoletnią pracę, i jedyną nadzieję starości! Będzieszże tak okrutnym, żebyś tego po mnie wyciągał? — będziesz WPan tak okrutny, żebyś mnie miał czynić ofiarą mojej powolności? wiesz WPan ile mnie to kosztowało. — Wiem, com ci winien; ale mój kochany *Celikurze*, jesteś mło-

dy, możesz sobie to nadgrodzić, i jedno dobre dzieło twoje zatrze to nie-szczęście. Przez imię przyjaźni dotrzymaj mi statecznie sekretu: zaklinam cię na te łzy moje. — Pozwalam na to, ale przenikam aż nadto, konsekwencye z pierwszego odrzucenia wynikające, i nigdy się nie narażę na przesąd, który zostawować zwykło. Rzucam na zawsze teatr i Poezyą. — Dobrze czynisz; jest tyle innych dla młodego człowieka obiektów ambicyi. — Dla mnie tylko jeden, a ten dependuje od WPana. — Mów: nie masz nic takiego, czego bym dla ciebie nie uczynił. Czego chcesz? — Ręki synowicy WPana. — Ręki *Agaty*? — Tak jest, adoruję ją, i ona jest która mnie przywiodła do zezwolenia na wszystko dla przypodobania się WPanu. — Moiaż synowica wie o tym? — Tak jest, Mci Panie. — Ach! może jej głupstwo Hey jest tam kto? niech prędzej przyjdzie moja synowica. — Zaspokoy się WPan, *Agata* nie jest głupim dzieckiem. — Ach przerażasz mnie; moia kochana *Agato*, wiesz co się dzie-

ie, i wiesz o nieszczęściu, które się trafiło. — Wiem stryiaszku. — Nie wydażesz przed kim tego fatalnego sekretu? — Przed nikim na świecie. — Mamże temu zupełną dać wiarę? — Tak jest, poprzysięgam. — Niechże ten sekret moje dziecko umrze z nami troygiem, proszę was o to iak o życie moje. *Agato*, *Celikur* cię kocha, rzuca teatr i Poezyą, winienem mu rękę twoję, w nadgrode tak znakomitey przysługi. Nadto jest zaptacona, zawołał *Celikur*, biorąc rękę *Agaty*. Idę za nieszczęśliwego autora, rzekła z uśmiechem; ale do mnie należeć będzie, pocieszać go w jego nieszczęściu. Nie będą go mieli za uczonogo, ale tyle jest pocziwych ludzi, choć nieuczonych. Nuż tedy mój kochany stryiu, oto *Celikur* rzuca Poezyą, nie byłoby to dobrze, żebyś WPan odstąpił tytułu Wszystkowiedza? Byłbyś WPan daleko spokojniejszy. Przerwał ten dyskurs *Agaty*, *Klemens* wierny sługa iey stryia. Ach! Mci Panie, mówił zadyszony, WPana przyjaciele, dobrzy przyjaciele WPana... — Cóż dalej? —

ley? — Byłem na parterze, wszyscy tam byli. — Wiem o tym; applaudowaliż? — applaudowali, zdraycy! żebyś WPan był wiedział, z iaką wściekłością szarpali sławę tego nieszczęśliwego młodzieńca. Dziękuję za służbę, jeżeli ich tu kiedy obaczę. Ach zdraycy! rzekł *Fintak*: Tak, stało się, spale wszystkie moje książki, i wyrzekam się obcowania z uczonemi ludźmi. Zachoway WPan swoje książki dla zabawki, rzekła *Agata* ściskając stryia swojego, a z ludzi uczonych nie żąday więcej tylko przyjaciół, obaczysz ich WPan czci godnych.

Koniec Wszystkowiedza.



SYLF MAŁZONEK.

UNIKAYCIE sideł męszczyzn, mówią nieustannie młodym kobietom; strzeżcie się łudzących kobiet powabów, mówią nieustannie młodziemcom. Jestże to układem natury, iedną pteć czynić nieprzyjazną drugiej? Czyliż dla tego są stworzone, żeby sobie szkodziły? czyż to jest ich przeznaczenie, żeby stonąć od siebie? Jakiżby był skutek tych nauk, gdyby je ściśle zachowywano?

Gdy *Eliza* wychodząc z klasztoru, szła do ołtarza ślubować Margrabiemu de *Volange*, zupełnie przeświadczoną była, iż po łubowniku nad męża nie masz niebezpieczniejszego człowieka w przyrodzeniu całym. Wychowana przez iedną z tych to niewiast w zamknięciu życie trawiących, których myśl

ponura, czarno wszystkie wystawia widoki, nie nie upatrywała na świecie, iak tylko same niebezpieczeństwa, a w małżeństwie same podstępny. Delikatna, i trwożliwa iey dusza, została natychmiast przeięta bojaźnią; wszystko dla niey trudnym do zniesienia w związku małżeńskim, wszystko uciążającym było; nie była zaś ieszcze w tym wieku, kiedy doświadczenie szczęśliwą wspierane rozwągą, wybiła zmysły z pod władzy uprzedzenia.

Naypierwsze małżonka iey usilności trwożyły *Elizę*, zamiast coby ią pokrzepić były powinny. Tak to, tak, mawiała, męszczyzni zastaniają kwieciami pęta naszej niewoli. Podchlebstwo uwieńcza ofiarę, która pychy stanie się wkrótce zdobyczą. Radzą się teraz żądźmoich, żeby im się napotym bez przestanku sprzeciwiać. Chcą serce moje przeniknąć, końcem doyscia iego skrytości, ieżeli zaś iakąkolwiek wemnie słabość znaydą, ta zdarzy im staranie ukorzaniamnie z tym większą dumy ko-

rzyścią. Strzeżmy się, strzeżmy tych sideł, które nam nieustannie stawiają.

Łatwo jest przewidzieć gorycz i oziębłość, którą ten nieszczęsny przesąd z strony *Elizy*, najsćislejsze ich kazir obcowanie. *Wolanż* spostrzegł wstręt, który ją od niego odwracał. Starałby się być nawet uleczyć ją w tej mierze, gdyby prawdziwą niechęci znalazł przyczynę; lecz przeświadczenie, że był nienawidzonym, odgęciło go od przedsięwzięcia, a tracąc podobania się nadzieję, nie trudno przychodzi na myśl, że zaniedbał zachodów w tym razie mu przydatnych.

Stan jego był tym biedniejszy, im bardziej charakterowi jego przeciwny. *Wolanż* był to wesołość, powolność i grzeczność sama. Z małżeństwa swego uczynił sobie raczey wesołe gody, niżeli sprawę poważną. Pojął był piękną i młodą małżonkę tak iak zwyczaj obierać sobie Bóstwo, na stawienie mu ofiarzów. Świat, mawiał, czołem biec przed nią będzie; tam ją poprowadzę z tryum-

fem. Będę miał tysiąc zawisnych; tym lepiej! moim nadstugowaniem, moimi śluby i uszanowaniem, pewny iestem, że wszystkich zagaszę; niespokojność zaś złączona z zazdrością delikatną i bojaźliwą zachowa lubownika *Elizy* od niedbałości małżonka.

Niedotkliwa i pogardzająca żony iego oziębłość, zniszczyła to mile uroione przywidzenie. Im żywszą ku niej pałał miłością, tym żywiej rażony był wstrętem, który tę miłość tak uprzęma, tak czystą, nie szczęśliwością dla niego, ale naysroższą czynił męką; podstęp atoli niewinny, którego układ szczęściem mu przypadł do myśli, przywrócił mu oddalone przez żonę prawa.

Czułość duszy, musi bydz koniecznie w ćwiczeniu i jeżeli rzeczywistych nie ma tkliwości celów, dziwaczne sobie wymyślać zwykła. Wstręt *Elizy* zdawał się wmawiać, że nie w przyrodzeniu godnym iey przywiązania nie było, lecz wymysł znalazł ją czym zatrudnić, poruszyć, zmiękczyć nakoniec. Bayka o Sylfach w modzie była nately. Dostało

się iey pod rękę kilka romansów, gdzie żywe znajdują się obrazy, słodkiego duchów z śmiertelnymi kobietami obcowania; które to świetne dziwactwa, dla niey wdzięk prawdy przyodziewał.

Wierzyła więc w Sylfów *Eliza* i najwyższą pałała chęcią mienia którego u siebie. Potrzeba modz wyobrazić sobie przynajmniej to, czego żądamy, nie łatwo zaś jest ducha sobie wystawić. Nudność jednak potrafiła ułatwić, cały skład człowieka pożądanemu uczyniając Sylfowi, na umieszczenie zaś duszy niebieskiej, wytworne utożycić ciało, wzrost wspaniały i kształtny, osobę żywą, nymfiącą, dowcipną, cerę tak świetną i świeżą, iaka Sylfowi zorzy ranney przełożonemu, przydałaby ozdoby, błękitne oczy miłośne, i coś napowietrznego we wszystkich miłej osoby skinieniach. Przyodziła go także lekkim ubiorem z kwiatów i z wstążek w kolorach najrozkosznieszych, szatą z iedwabiu utkaną, na wpół przezroczystą, i graskom Zefirów powolną; przydała mu nakoniec dwa skrzydełka,

skrzydłom miłości podobne, którey ten Sylf piękny prawdziwym był wizerunkiem. Taka była chymera *Elizy*, a serce iey imaginacją zwiedzione, wzdychało do ukształconey przez nią mary.

Przyrodzoną rzeczą iest, że nayspolitsze i najwyższe wyobrażenia we śnie na myśl wracają, *Elizie* zaś wkrótce śniaty uwierzyć, że iey dziwoląg, rzeczywistość w sobie zawierał.

Wolanz bardzo pewnym będąc, że go żona nie kocha, próżno zazdrośnemi oczyma, iey postępowanie uważał. Widział w niey w posiedzeniu z rowieńczykami swemi wesołość przyjemną, obcowanie grzeczne, czasem i postać przyjaźni, lecz żaden człowiek nie otrzymał od niey wolności przystępu, mogącego zatrwożyć męża. Z każdym owszem weyrzenie iey było surowe, mina pogardzająca, postawa zimna; mało mówiła, słuchała z ciężkością, i jeżeli osoba iey nie wydawała tęsknoty, to pewnie niecierpliwość znaczyła. W tak młodym wieku nie bydl ani tkliwą ani zalotną, to było rzeczą weale nie

do pojęcia. Zdradził ją następujący przypadek.

Opera *Zelindor* w początkach swoich, w nayokazalszey była wziętości. Na tym widowisku znaydowała się w małej Łoży swojej *Eliza* z pewną kobietą, do której przyiaźń powzięła. *Justyna* znalazła u niej poufałość nayotworzystszą, nie bowiem nie przywiązuie bardziey duszy bojaźliwcey iak trudności w odważeniu się na cokolwiek bądź doznanych, przezwyciężenie. Chciałaby była nieustannie mieć przy sobie poufałą przyjaciółkę, którejby się tajemnych słabości swoich zwierzała, i ta Łoża, nie dla czego innego lubą iey była, iak dla wolności znaydowania się w niej razem i bez świadka.

Wolan z mieysca naprzeciw położonego, wszystkie uważał małżonki swojej ruszenia, spostrzegł ją po kilka krok drżącą z radości, na widok *Zelindora*, i z miną nayżywszą, mówiącą do *Justyny*. Straszliwą zdjęty niespokojnością, znalazł w wieczor na moment samą *Justynę*: zdało mi się (rzekł) iż Pani two-

ia dosyć zażyła uciechy na widowisku dzisieyszym. — Niezmiernie iey zażyła; *Zelindor* iest to iey kochanie, rozumiałby kto, że dla niej umyślnie zrobiony; ieszcze nie wyszła z podziwienia, w które ją udawanych snów własnych widok wprawił. — Co? czyliż Pani twoiey marzą się sny takowe? — Ach! w samey rzeczy, choć to W Panu wcale nie do twarzy przywozić Jeymość szczególnie do przywidzianych we śnie roskoszy; prawdziwie szczęśliwym iestes, że tak piękna i młoda kobieta, iaką iest żoną W Pana, przestaie na miłowaniu Sylfów. — Sylfów? — Nicinaczey, Sylfów. Ale ia widzę, wydaie Panią z sekretu. — Zartuiesz *Justyno*? — Właśnie też mam przyczynę! Wstydź się Mospanie, iest to rzeczą niegodną takie z nią prowadzić życie. Przyznam się nawet W Panu, że gdy tę młodą kobietę obudzającą się widzę, gdy się ożywionej przyglądam twarzy, tym oczom miłośnie spoglądającym, tym świeższym od róży ustom, gdy ją z westchnieniem wspominającą słyszę, że we śnie

szczęśliwą była, litując się nad iey stanem, WPana nienawidzić poczynam! — Czegoż ty po mnie wymagasz? Pani twoja w swym mężu, takiego miała lubownika, iakichby mało znaleźć można; ale cóż czynić, kiedy oświadczeniom miłością nayuprzejmniejszą wynurzonym odpowiadała oziębłością o mało co niechęci niedochodzącą. — I WPan temu wierzysz? boiażliwość iey oziębłością ochrzciłeś tak właśnie, iak inni męszczyni czynić zwykli, żadna ich litość ku młodey kobiecie nie poruszy. Czemuż WPan ostygłeś? Czemu nie było używać nad nią praw sobie przyzwoitych? — Otóż to jest toż samo, co mię utrzymywało; nie chciałem nigdy bydź przymusowi dłużnym, byłbym jednak nierównie w mych naleganiach żywszym, gdyby ona wolniejszą była w odmowach. — Jakżeście śmieszni moi Panowie z waszą delikatnością! zdaie mi się nawet, że wkrótce za nią dziękczynienia się doczekacie. — Słuchay *Justyno*, przychodzi mi na myśl środek mogący nas, (jeżeli zechcesz) pogo-

dzić. — Jeżeli zechcę? — *Eliza* kocha Sylfów, a iabym się zakochanym mógł zrobić Sylfem. — Jakże się WPan niewidzialnym uczynisz? — Nawiedzając ją w nocy. — Nie źle, ta sztuczka dosyć mi się podoba. — Nie nowa iest i nie iednemu lubownikowi się przydała, *Eliza* się na tym nie pozna, i dla tego przeświadczony iestem, że ją łatwo zwieść można będzie; naytrudniejszy wstęp i pierwsze roboty tey ukształtowanie, lecz spuszczaam się na twoie obroty, które mi nie wątpię sposobów przyzwoitych dostarczą.

Nie trzeba było długo oczekiwać pomyslnego zdarzenia. *Justyno*! mówiła nazajutrz przebudzona *Eliza*, iakże zupełney szczęśliwości doznałam! śniło mi się, że w chłodniku z róż kształtnie wypracowanym naypiękniejszey z duchów niebieskich wzdychał przy moich kolanach. — Alboż to duchowie wzdychaia? iakże też naprzykład ten wyglądał, o którym WPani mówisz? — Proźnobym się to ci odmalować siliła, czego wizerunku między ludźmi nie znay-

dzie, czego wyobrażenie trudno mnie samey nawet sobie przypomnieć, gdy jest przecknieniem zgładzone. — A tego nie można wiedzieć, co się działo w waszym sam na sam posiedzeniu? — Nic nie wiem, procz że zanurzona w rokoszy, słyszałam głos nieporównanym dźwiękiem zmysły moje pieszczący, najmielszym oddychałam zapachem, obudziłam się, i wszystko natychmiast zniknęło.

Wolanż w ciężkich zostając żalach, o tym śnie uwiadomiony, mniemał, że widzi gotowy śrzodek stawienia w postaci Sylfa małżonce. Mało co jeszcze piątą essencją róży znano w *Paryżu*, *Wolanż* oddał tego kosztownego soku małą flaszeczkę *Justynie*: jutro, mówiąc, nim się Pani obudzi, łożko iey tym nawonąć nie omieszkay.

O nieba! rzecz przebudzając się *Eli*. za, senze to jeszcze, czy mara? zbliż się *Justyno*, wachay i mów co czujesz, — Ja, Mościca Pani nie bynajmniej nie czuję. — Co? ani zapachu różanego nie czujesz? — Za wielkim pozwoleniem

nayukochańsza Pani wyznać muszę, że od rozumu odchodzisz; sny iey łatwo każdy przebaczy, ale przebudzoney dziaćwactw prawdziwie nikt nie poymie. — W samey rzeczy, bo też nie mniey do pojęcia nie znaydziesz. Idź precz; zasunij firanki Ach! iakże coraz tętsze czuję zapachy. — Bardzo mię to trwoży. — Słuchay *Justyno*: podobno namieniłam ci wczoray, iak mocno mię zmartwiło rozchwianie snu różanego gajku, i iak przyjemną mi była wonność tam oddychana. Dowiedźże się oprocz tego kochanko, że mię wystuchał. — Kto taki? — Kto! Alboż nie wiesz? przestańże żartować moja kochana, boś iuż gniew wemnie zaięła. Będąc mi przytomny, musi być przekonany, że ia nie kwiatów żałuję; głos iego nierównie był przyjemniejszy i w zakochanym sercu ogień miłości rozżarzał, wdzięki zaś iego, o! nieporównane wdzięki! Daremne żądania! iuż go podobno nigdy oglądać mi nie przyidzie! — Prawdziwie Mościca Pani nie iey tego nie wróży. — Do rozpaczy mię przy-

wodzisz! czyliż mam wierzyć, że mnie kochasz, gdy cię zazdrośną mi widzę i nayspodchlebnieysze psującą omamienie. Wszak omamienie, inaczej, nie będąc dzieckiem, myśleć nie powinnam Z tym wszystkim różany zapach, ach! czuję go nawet i teraz, nie bydź oczywistszego nie może, tym bardziey, że w tym czasie róże nie kwitną. — Ja zaś na to W Pani Dobrodzieyco odpowiem, iż cała chęć z iaką się iey podobać staram, nie nakłoni mię do wierzenia, że sen może bydź rzeczywistością. — Nie wierzę więc moja kochana Panienko, i przygotuy mi gotowalnię, bo się ubierać myślę. W tak wielkim zostaję pomieszaniu, że choć się sama takowych wstydzę poruszeń, uśmierzyć ie nie iest w mey mocy.

Wygrałeś W Pan, rzekła *Justyna* zobaczywszy *Wolanza*, bo *Sylfa* już zapowiedzianego żąda *Eliza*, i z niespokojnością oczekuje iego zjawienia, doznasz iak grzecznie będzie przyjęty.

Eliza w głębokim zamyśleniu cały dzień ponurzona, tak właśnie iakby ią

uręczono, dała w wieczor spostrzedz mężowi niecierpliwość w oczekiwaniu tey chwili, któreby się spoczynkowi oddała. Pokoje podług zwyczaju były przechodne, a *Wolanż* zgodziwszy się z *Justyną* na sposób przystąpienia bez stuku do wezgłowie swey żony, niczego sobie więcey nie życzył, iak żeby westchnieniem lub kilką wymkniętymi słowy do przemowienia go zaczęła. Zapomniałem powiedzieć, że *Eliza* nie cierpiała przy sobie żadnego światła w nocy i to nie bez przyczyny, obrazy bowiem imaginacyą płodzone, nigdy tak żywe nie są iak w głębokiey ciemności; było to z dobrem *Wolanża*, bo nie postrzeżony upatrywał pomyślney sobie chwili. Słyszcy nakoniec westchnienie *Elizy*, z niepokojem oczekującey spoczynku. Nadeydzte, rzekła, nadeydz o! nieszczęśliwy, ty iedynie, ty życie miłym mi czynisz. — Do mnie to, odezwał się *Wolanż*, głosem tak pieszczonym, że go ledwie usłyszeć mogła, do mnie przyzywać snu należy, bo przez niegom iedynie iest szczęśliwy, bo szcze-

gólnie na jego łonie, cieszyć się tobą mogę. Ledwie te ostatnie wymówił słowa, *Eliza* krzyk przeraźliwy wydała, *Wolan* zniknął, *Justyna* na głos *Pani* przybiegła. Cóż to się stało *WPani*? — Umieram, usłyszałam głos jego, przywróć mi, jeżeli można do życia, kocha mi, jestem szczęśliwą, śpiesz się bo mi ciężko odetchnąć. *Justyna* z pośpiechem rozwiązawszy wstążki zasnurowanego gorseta, dała iey soli orzeźwiającey powąchać, a utrzymując postać niewierney, nagoniała ją za poddawanie się tym wyobrażeniom, które zakłócając spoczynek, zdrowie iey nadwierały. Nazyway mię dziecięciem, odezwała się *Eliza*, mów żem szalona, ja jednak pewną będę, że to wszystko snem nie jest, że owszem nie prawdziwszego na świecie, bom tak go dobrze słyszała, iak ciebie teraz słyszę. — Niechże tak będzie, iak się *WPani* podobą, gdyż przeczeniem, w gniewbym ją wprowadziła. Chcieyże się *WPani* uspokoić, i pomnię, że trzeba być grzeczną, chcąc się podobać *Sylfowi*,

grze-

grzeczną zaś być przestaiesz, skoro nie spiszesz. — Nie odstępuy mię *Justyno*, ach iakżeś ty jest okrutna! nie widziszże mię drzącą? czekay, przynajmnię półki nie usnę, jeżeli choć trochę podrymać będę mogła, w tak gwałtownym iak teraz zostaie poruszeniu.

Gdy nakoniec ociężałe powieki na piękne iey oczy zapadły, *Wolan* wspólnie z *Justyną* uradzili, że *Sylf*, *Elizy* krzykiem spłoszony, da się żądać nocy następującey. Proźnoby go zaiste przyzywała, gdyby spodziewanie powrotu jego przerażając ją strachem, nie tamoowało żądzy widzenia go natenczas; mimo tego iednak mówiła: krzyki moje może go przestraszyły. — Zartujesz *WPani*, czyż zaś duchy tak są dalece lękliwe? czyż nie powinien się być spodziewać sprawionego *WPani* przełęknięcia? bądź spokojną, zna on tak dobrze iak *WPani*, co się w iey sercu dzieie, iey nawet chwili może tu gdzie ciekawego nadstawia ucha. — Co mówisz? drzę cała na to wspomnienie. — Albo *WPani* nie mity, że *Sylf* czyta w iey

Tom III.

E

duszy? — Cieszy mnie to zaiste, bo się tam nic takiego nie dzieje, co by mu podchlebnych nie czyniło nadziei, lecz na nieszczęście zawsze coś człowieczego przymiesza się do wyobrażenia Sylfów, czym wstydlivość jest obrażona. — Wstydlivość z duchami zdaie mi się wcale nienależyta; w iakiż sposób zleby naprzykład było zobowiązać go do nadejścia dziś znowu w wieczor. — Prawda, i próżnoby zmyślać usiłowała, kiedy mu dobrze wiadomo, że z serca przybycia jego wyglądam.

Zyczenie *Elizy* dopełnione zostało, układała się, światło zgaszono, *Wolan* przy łożku stanął; czy myślisz, że on powróci? rzekła do *Justyny*. — Jeżeli grzeczny, zda mi się, że już tu musiał przybyć. — Ach! gdybyż przynajmniej mógł mię usłyszeć? Słyszysz cię, odpowiedział *Wolan* głosem pieszczonym, i przeto oddał ztąd tego świadka, którego przytomność mię zasmuca. *Justyna*! odejdź ztąd, rzekła drżąc *Eliza*. — Cóż to znaczy? W Pani здаiesz mi się być wzruszoną. — Nic to nic, odstęp

mię mówię. Wykonała rozkaz Pański *Justyna*, a skoro się sam na sam bydz u rzeli: iakże, rzekł Sylf, czyliż mój głos cię przestrasza? wszakże nie przystoi lękać się tego, co sobie kto ukochał. — Mogę bez pomieszania patrzeć na uiszczenie snów moich? na przemiany ich dziwnie niepojętym z płonney mary w rzeczywistość widoczną? mogę wierzyć, że ieden z duchów niebieskich niebo dla mnie opuścić raczy, i bratać się z nędzną śmiertelności zdobyczą? — Gdybyś wiedziała, iak wielce pięknoscią twoją gasisz najsławniejsze powietrznych Nimfów wdzięki, zbyt szczupłą przewyższenie ich w tej mierze przyniosłoby ci chlubę; wierz że ja nie na marney urodzie zakładam wartość celu miłości moiej i bynajmniej próżności winnym bydz nie chcę. Miłość ta, którą pałam, zawsze jest wyborna i nieodmienna iak istność moja, i przytym niewypowiedzianie czysta, niewypowiedzianie duchowna. Nam Sylfom dusznych tylko udzielono zmysłów i ty masz takie *Elizo*, których rokoszy chcąc

zasmakować, trzeba, żebyś mi duszę twą zachowała, za której samowładnym posiadaniem wzdycham ustawnie; wolno ci tym się wszystkim zbawiać, cokolwiek świat uymuiącego i miłego w sobie zawiera, ale nie procz mnie samego nie kochać. — Ach! łatwo mi jest być ci posłuszną, rzekła nieśmiałym jeszcze głosem, gdyż światowe marności nie pociągają mię wcale. Czczość nawet duszy moiej, nie mogła dozwolić przystępu płonnyim roskoszom, które ją uwieść chciały, a teraz tobą nasycona będąc, iakże przystępną być może? natchnij mię tylko o! czysty z niebios duchu, podchlebnym tego sposobu domniemaniem, którymby cię ustanowić przy sobie, być ci wygodną i dostarczającą zdołała. — Dowiedz się wprzody, co nas od wszystkich innych duchów, rozsadzonych po świecie, a bardziey jeszcze od rodzaju ludzkiego różni. Sylf nie ma właściwey sobie szczęśliwości, i w tym tylko co kocha, jest szczęśliwy; przyrodzenie zabroniło mu mocy, kochania samego siebie;

iako zaś wspólnie używa przez niego sprawowanych roskoszy, tak też i biedy z iego przyczyny cierpianej sam doznaie. Przeznaczenie zostawiło mi wybór, tej mnie samego połowy, od której szczęście moje zawisnąć miało, lecz gdy ten wybór już padł na ciebie, jedną oboje ożywieni iesteśmy duszą, i inaczej szczęśliwym zostać nie mam nadziei, iak tylko ciebie czyniąc szczęśliwą. Bądźże nim tedy bądź, rzekła w radośnym zapale, bo samo tak słodkiego ziednoczenia wyobrażenie, nad wszelkie doczesności wzniesioną mię porywając na łonie szczęśliwości osadza. O iakże płocze jest porównanie tego, tak ścisłego obcowania z niebezpiecznym z śmiertelnikami związkiem, których niewolnicami iesteśmy! Wiesz zapewne, że weszła pod przemoc praw Hymena, i że włożone na mnie dzwigan kaydany. Wiem, odpowiedział *Wolant*, i dla tego nayıpierszym staraniem moim będzie letkimi je uczynić. Proszę cię, rzekła, nie bądź żądrosnym; mąż mój jest człowiekiem nayımnicy

podobno występkami płci swej skażonym, lecz wszyscy ogólnie mówiąc, tak są przekonani o swoich nad nami prawach, tak dumni z właściwych sobie nad płcią naszą korzyści, tak pobłażający swoim przywarom, tak ostrzy na nasze wady, tak zuchwali w przedsiębraniu środków podeyscia nas, usidlenia, podbicia, iżby ten wielką nierostropność popełnił, lub zbyt się słabym pokazał, ktoby tak słuszne widząc nienawidzenia ich pochopy, śmiał w tym razie zawiść w sobie podniecać. Nie wiem, mówił Sylf, czy mi uwierzysz, gdyć powiem, że cokolwiek płeć wasza męskiej na oczy wyrzuca, toż samo my w Sylfidach upatrujemy. Miłe, powabne, obfitujące w wykręty, nie masz sztuki, nie masz fortelu, którego by nie użyły na władanie duchami, ale gdy raz są przeświadczone o władzy przez wdzięki swoje obiętey, natychmiast rozkazy dziwaczne i surowe, wyniosłość groźna, na wzrok której wszystko kark schylać musi, zastępują miejsce lękliwości, przymilenia, grzeczności, tak

dalece, iż dopiero pokochawszy je, spostrzegamy, żeśmy je nienawidzić byli powinni. Z tego jednak powszechnego charakteru wyłączaia się niektóre; toż się ma i o męszczyznach rozumieć: lecz iakożkolwiek bądź najmilsza *Elizo*, ten świat równie iak tamten niechay się nie nas nie tyczy, jeżeli ty mnie tak kochać będziesz, iak ja ciebie kocham serdecznie. Bądź zdrowa, żegnam cię, bo powinność moja i twój spoczynek, każą mi teraz oddalić się od ciebie. Nieba gwiazdy twoiey pieczę mi powierzyły, którey biegiem ja rozporządzać będę; bogdayby przyiaznego na ciebie wptynienia skutkami powodzenie twoje krasila. — Jakże? czyliż tak prędko już ztąd odchodzisz? — Odchodzę z chęcią odwiedzenia cię jutro o teyże samey godzinie. Bądź zdrowa.... nie, jeszcze o iedną rzecz pozwól się spytać, to jest: czybyś mi takiej następczy nie mogła kobiety, którejbym się powierzał? — Znaydziesz tu iedną, której możesz ufać bezpiecznie; *Justyna* kocha cię, i ja lubię *Justynę*, lecz po-

wiedz iak cię nazywać, gdy o tobie z nią mówić będę? — W niebie zowią mię *Valoe*, co w języku Sylfów, gorejący duch znaczy. — Ach! i ia tegoż wartam imienia, skorom cię znać, skorom cię słyszeć zaczęła. Tu Sylf zniknął, serce *Elizy* opływało w radości, bo w najwyższym stopniu życzenia iey zostawały, a wpośród tych słodko zatrudniających ią wyobrażeń, sen opanował iey zmysły.

Justynie o wszystkim cokolwiek się stało uwiadomioney, nie trzeba było toż samo *Wolanżowi* powtórzyć, prócz, że żonę nadzwyczaj rozradowaną zostawił. Nie dość na tym, chcę, rzekł, żeby w niebytności Sylfa wszystko iey miłość iego przypominało. Wiadomeć są iey myśli, znasz do czego ią smak wiedzie, możesz mię zatym należycie oświecić w iey żądaniach, które Sylf będzie się zdawał przenikać. Nad wieczorem, pragnąca swobody zażyć *Eliza*, wyszła na przechadzkę do jednego z tych wspaniałych ogrodów, które są ozdobą *Paryża*; chociaż cała Sylfem swym

zaprzątniona, rzuciła jednak oczy przez skłonność młodym przyrodzoną kobietom, na ubiór nieznajomey sobie niewiasty, i wraz nagle krzyknęła: Cóż to za śliczna suknia! *Justyna* niesłyszając udała, lecz zręczna służebnica wywiedziawszy się o imieniu tey tak pięknie ustrojoney kobiety, zatrzymała ie w pamięci i *Wolanżowi* oznaymiła.

Nadeyscie umówioney widzenia się godziny, wpędziło w tóżko *Elizę*, a skoro się samą bydy zobaczyła: kochany *Valoe* rzekła, czyżes iuż o mnie zapomniał? iam sama a ty przyście twoie tak spóźniasz! Oczekiwał cię, rzekł *Wolanż*, i obraz twój zawsze mu przytomny, za nim aż do samego nieba wstąpił, gdzie umieszczonego Sylfa oczy twym się tylko wśród niebieskiego dworu pały obliczem; lecz w niebytności iego, czyż na nim tylko przestawały twoie żądania? — Nie mnie procz ciebie nie zabawia, upewniam. — Wiem iednak *Elizo*, że cię zastanowiła żądza mnie za cel niemająca. — Niespokojności mię nabawiasz, mówiła, choćbym

nayściśley chęci me roztrząsała, zapewne w nich takowey nie znalazłabym żądy. — Więc zapomniałas, ale ja dobrze pamiętam; miasto iednak żalenia się sam owszem pragnę, żeby ci się częściej nawiały tey podobne żądań ponęty. Jużem ci raz powiedział, że Sylfowie są zazdrośni, lecz przeto niemniej w szukaniu środków przypodobania się staranni. Niech cię nie dziwi ciekawość moja, w dochodzeniu tych drobnych okoliczności, bo koniec dociekania ten tylko sobie zakładam, żeby pozycie twoje z najmniejszych cierni oswobodzone, same tylko kwiaty wieńczyły. Mąż twój naprzykład pierwszą mi sprawuie niespokojność; mów iak ci się z nim powodzi? Zyię z nim, rzekła zmieszana nieco *Eliza*, iak zwyczajnie z człowiekiem; zawsze w nieufności i bojaźni, którą w nas płec nieprzyjazna naszey napełniać zwykła. Oddano mię mężowi nie radząc się w tym mnie samey, i stałam się nie temu co skłonność moię wabiło, lecz powinności moiey posłuszną. Mawiał on, że

mnie kocha; że życzy sobie podobać się śliczney *Elizie*, to iest omamić mię, i uwięzić; że zaś tych zamiarów dopiąć nie zdołał, letkomyślność którą on delikatnością zowie, odwiedła go od przedsięwzięcia. Dobrzyśmy teraz przyjaciela, albo iasniey ci się tłumacząc, nie podlegamy sobie. — Jestże przynajmniej grzeczny? — Dosyć, ile nim bydyć potrzeba, na utudzenie kobiety, która by tak niewiadomą była, iak ia przeświadczoną iestem, że męszczyzni są niebezpieczne stworzenia. — Dobrze, żeś gorszemu w ręce nie wpadła, bo prawdę mówiąc, mąż ten nie iest tak przykry, iak inni bywać zwykli, co się zaś ściąga do dalszego z tobą obchodzenia się, podobno nie masz mu co wyrzucać; gdyby iednak, dał ci kiedy umartwienia przyczynę, natychmiast ukaranymby został. — Zaklinam cię, rzekła drząc cała, żebyś, cokolwiek bądź od niegoby mi ponieść przyszło, nigdy się w to nie mieszał. Winnam ci całe zaufanie moie, lecz bardzobym go na złe używała, szkodząc mężowi pod iakimkolwiek bądź

kształtem; dość i tak nieszczęśliwy, że jest człowiekiem, dość to dla niego kary. — Dusza twoja jest duszą niebieską, śliczna *Eliza*, śmiertelny człowiek, nigdy ciębie godnym być nie mógł. Nie powiedziałem ci jeszcze, jakiej my sztuki używamy na poprawę ludzi. Wiesz, że oni miecze tylko znają i ogień, my zaś łagodniejsze mamy zemsty narzędzia. Skoro ci się mąż w czym naprzykrzy, uwiadomisz mię o tym, i tego zaraz momentu, żal, zgryzota, opanuje duszę jego, i nie będzie póty miał, ani zemną, ani z sobą samym pokoiu, póki u nóg twoich nie odżałuje przykrości tobie sprawionej; więcej jeszcze uczynię, natchnę go tym, co ty wemnie podbudzasz, i tak duch Sylfa *Elizy*, i twego Sylfa i twego męża ożywiać i bezprzestanku przytomnym będzie. Otoż, rzekła uradowana *Eliza*, otoż ten jest szczególny sposób, który mnie do kochania go nakłonić może. Tak się odprawio to nowe posiedzenie.

Nazajutrz, gdy do gotowalni zasiedła, *Justyna* nagłe rzuca weyrzenie na

sofę gabinetową, i krzykiem zadumienia wydanym obroconey Pani, daie widzieć rozłożoną suknię do tey podobną, którą na przechadzce widziała. Patrz, iak jest mściwy, za żądanie nie do niego się stosujące. *Justyno!* teraz zapewne uwierzysz? Niegodzienże ten Sylf naywdzięczniejszey czołobitności! Zdumiane oczy *Elizy*, i wtenczas się jeszcze pieściły tego nowego cudu widokiem, gdy *Wolań* wpadł do pokoju. Zobaczył suknię i rzekł, prawdziwie śliczna! Wytworność gustu W Pani należycie wysławia to, do czego masz przywiązanie. W samej rzeczy uważając zbliżoną materiją, zdaje się, że Czarnoxieźkie ukształtowały ją ręce. Ten poufały mowienia sposób, tak przyzwolcie przypadł natędy, że rumieniec twarzy *Elizy* powlekający wydawał boiaźń zdrady i wyjawienia sekretu. Nie zapomniata jednak w wieczór, pochwalić grzeczność ślicznego Sylfa, a ten z swojej strony tysiąc iey rzeczy tak wybornych i tak czułych powiedział, o szczęśliwości zdobienia ukochaney osoby i cie-

szenia się świadczeniem iey przyjemnego daru, iż nie przestawała powtarzać: nigdy śmiertelne usta nie znały takowego tłumaczenia się sposobu, niebieskim tylko istotom tak myśleć i mówić dozwolono. Z tym wszystkim, rzekł Sylf, przepowiadam ci, iż twój małżonek wkrótce następniem moim zostanie. Bawię się teraz czyszczeniem duszy iego, i przerabianiem iey na taką miłą, tak tkliwą i tyle żądaniom twoim powolną, ile mnie samemu byź takim przyrodzenie pozwoliło. Z dobrem to twoim bez wątpienia będzie *Elizo*; ale gdy szczęśliwość moję w uszczęśliwieniu ciebie zakładam, wyznay mi proszę, czyli na tym nie stracę? — Iza! — Iż myślisz, że nie tobie wszystkie usiłności przypiszę, które ku podobaniu mi się mąż przedsięweźmie? Nie jestże to posąg, który ty ożywiać raczysz? — To tedy mnie w nim będziesz kochała? i myśląc, że ja iego ożywiam, upodobaś sobie czynienie go szczęśliwym? — Nie *Valoe*, byłoby to go zwozić, obłudę mam w nienawiści. Cie-

bie kocham, nie iego, a wyświadczać mu to, co czuję dla ciebie, byłoby to zdradzać was obu. *Wolan* nie chcąc się dłużej wwięzywać w tak delikatną spórkę, obrócił mowę ku zapytaniu na iakiej zabawie dzień dzisiejszy strawiła? — Alboż nie wiesz? ty co myśl moją przenikasz? Wolne od przypadających zaprzęgnięć, chwile użyłam na wyhaftowanie cyfry, w którą są imiona nasze wplecione. Rysuję dość dobrze kwiaty, ale żadnego w lepszym nie wypracowałam guście nad te, które ten kształt tańcucha składają. Masz, mówił, oprócz tego jeszcze rzadki przymiot, który sprawia roskosz niebieską, nie doskonalisz go jednak: masz głos poruszający, słuch przedziwny, a arfa pod palcami twoimi, zgodne brzmienia z dźwiękiem głosu twego mieszając, najwyższą byłaby mieszańców napowietrznych roskoszą. Przyrzekła iąc się nieodwrotnie tej rady *Eliza*, i rozeszli się nadzwyczajną zdięci miłością i nad zamiar zatopieni w sobie.

Zbyt często nudzę sobą, sama w domu zostając, muzyka mogłaby mię rozzerwać, powiedziała mężowi, gra na arfie w modzie jest teraz, a ja mam ochotę wziąć się do tej nauki. Nic łatwiejszego, rzekł *Wolan* z przymileniem i zaraz w wieczor arfę dostała.

Sylf przyszedł o zwykłej sobie godzinie i pokazał się uradowanym, widząc, że myśli jego z taką porywczoscią przyjęte i wypełnione były. Ach! rzekła *Eliza*, szczęśliwszym jesteś nierównie, niżeli się nim być zdajesz, nie dośzczęć myśli moje zgadywać, ty i uprzedzać je umiesz. O jakże szacowny jest dar czytania w duszy! kto nim uszczęśliwiony, najmniejszego przeciągu nie zostawiać żądaniom; ten to dar, nademnie cię przewyższa. — Niech cię to nie martwi, powiedział *Valoe*, bo w usilnościach w przymileniu się tobie podjętych, dostateczna jest dla mnie nagroda; moję wolę wypełniam, gdy twoje uprzedzam chęci, ty zaś oczekując woli mej wyjawienia, masz roskosz mówić

widzieć sobie, iż dusza moja w żądaniach tobą powoduje. Podchlebną wprowadzić jest rzeczą, uprzedzić chęci czyje, ale słodsza nierównie zgadzać się z niemi, przeto więc mnie szczególnym udziałem jest miłość własna, a twoim miłość.

Do tak wysokiego stopnia doprowadzona delikatność, była dla *Elizy* więzem najmiłszym. Chciałaby była ten głos tak miły zawsze i niustannie słyszeć, ale *Wolan* zdrowie iey ochraniając, miał na baczności, że się oddalić potrzeba, i skoro cokolwiek ją wzruszył, snowi zostawił ukojenia sprawionych wzruszeń staranie.

W przecknieniu *Elizy*, pierwsze Sylfa, drugie arfy przypomniało się wyobrażenie. Przyniesiono iey dnia wczorayszego jedną prostą i bez ozdoby, pobiegła do pokoju nauczyciela wyznaczonego, a tam inną wieńcami świeżo użytych kwiatów ozdobioną znalazła.

Radość iey równała się zdumieniu: nie, rzekła, jeżeli pędzel śmiertelną wiedziony ręką, mógł kiedy ludzkie omamieć zmyły, czemuż mię rzeczywi-

stość przekonać nie ma? Mogęż wątpić że ten podarunek nie od Sylfa pochodzi? Dwa skrzydła świetne po bokach zdobiły arfę, bo podobno taż sama była, na której *Valoe* niebieskim przygrywał pieniom. Zabrała się zatem do winnego uczynienia mu dzięków, gdy nadszedł mistrz, którego do dawania nauki wezwać kazała.

Obiaśniony od *Wolanza* o roli, którą miał udawać *Tymoteusz*, zaczął od wychwalania arfy. Cóż za wybitność, iaka zgodność dźwięków tego pięknego instrumentu! Nic w świecie bydz milszego, nic wspanialszego nie może. Arfa ta zdaniem *Tymoteusza* przez lirę sprawiane dziwy, wznowić była powinna. Kiedyż arfa zwycięzki odbiera wieniec? oto wtenczas, przydał ten nowy *Orfeusz*, wtenczas, gdy zgodnym brzmieniem wspiera spusty i podwyższenia wydawane głosem melodyjnym i miłym. Uwaz WPani ieszcze, iż nic z większym okazem nie odkrywa wdzięków pięknego ramienia i ręki; kiedy zaś która kobieta umie swą głowę ułożyć, w

postaci antuzyazmu, twarz nowey żywości nabiera, oczy się zaiskrzają na dźwięk przesyłany uszom, i połowa piękności iey przybywa.

Eliza skróciła te wychwały pytaniem, czy mistrz iey nie był z pokolenia *Tymoteusza* muzyka *Alexandrowego*? — Tak jest, Mościa Pani, z tegoż samego rodu pochodzę. Odebrała tedy pierwszą naukę, a muzyk zdał się rozradowanym świetnością dźwięków na tey wybitnych arfie i zawołał: tu się zapewne coś pojęcie ludzkie przechodzącego zawiera! Wierzę, rzekła *Eliza* po cichu. — Daley Mcia Pani, zaczniemy na tych środku brzęczących stronach zręczności naszej doświadczać; ściągnęta na nie boiażliwą rękę *Eliza*, i każdy dźwięk wydany o iey się serce obijał. Przedziwnie! wykrzykiwał z pociechy *Tymoteusz*, przedziwnie! spodziewam się, że wkrótce usłyszę, iak poruszający głos WPani, przyspiewywaniem zdobić będzie muzykę moją i wiersze. Alboż WPani i wiersze składać umiesz? spytała go z uśmiechem. Ach! Mcia Pani;

rzekł *Tymoteusz*, powiem iey rzecz nay-
osobliwszą w świecie, którey sam żadną
miarą pojąć nie mogę. Słyszałem, że
człowiek każdy ma swego geniusza, i
to za wielką baśnią poczytałem; ale te-
raz prawdziwie nie rzeczywistzego nie
widzę. Miałem geniusza, ią, który mó-
wił z WPanią, miałem go nie wiedząc
że mi towarzyszy. Wczora w wieczor
nie dowierzałem ieszcze, lecz wąpli-
wość zupełnie ustąpiła. — I jakimże spo-
sobem prawdy doszedłeś? — Jakim sposo-
bem? Dzisiejszey nocy objawił mi się
we śnie i te podyktował wiersze:

 Nie chcę znaydować wtym sławy,
 Ze wóz Jutrzenki prowadzę,
 Ze powrót Flory łaskawy
 Świata ogłaszać mam władzę;
 Bo cel godnieyszy żądania
 Uwieńcza moje starania.

Choć Jutrzenka łzy wylewa
Młotnym łudząc weyrzeniem;
Flora zręcznie kwiat rozsiewa,
Serce me dla nich kamieniem;

Bo cel godnieyszy żądania
Uwieńcza moje starania.

~~~~~  
Lecz twoich *Elizo* chęci  
Za święte mianych rozkazy,  
Nic mey nie uymie pamięci,  
Boś ty pięknieysza sto razy,  
I cel godnieyszy żądania  
Uwieńcza moje starania.

~~~~~  
Twemu przetożon ocknieniu
Ważnieyszą Syłf cześć odbiera,
Gdy zrana lub w nocnym cieniu
Wdzięczność dlań wzrok twój prze-
twiera,
I cel godnieyszy żądania
Uwieńcza moje starania.

Co! rzekła wzruszona *Eliza*, WPan-
że to, te ułożyłeś wiersze! — Ja, Mcia
Pani, żadnymchem nie napisał iak żyję,
te zaś geniusz mi podyktował, a co wię-
ksza do śpiewania ie przysposobił; zdol-
ność iego natychmiast zdziwi WPanią.
..... A co? rzekł przespiewawszy, co
się WPani zdaie? Nie iestże to szczeg-

ście, takiego mieć, jak mój geniusz? — Nie wiadomoż W Panu, gdzie jest ta *Eliza*, której tu imię święcisz? — Zdaje mi się, że to imię takie jest, jakie na przykład *Filis*, *Iris*, *Chloris*, że zaś *Eliza* miley się o ucho obija, przeto mój geniusz obrat je sobie. — Więc W Panie nie możesz się szczycić wiadomością w wierszach dopiero śpiewanych zawartego rozumienia? — Nie Mcia Pani, ale mi to zarówno; jak prędko brzmią pięknie i poruszają, przestając na samym śpiewaniu, a rozumienie ich bynajmniej mnie nie zatrudnia. — Obowięzuję W Pana, żeby od nikogo prócz mnie znane nie były, i jeżeli go geniusz tym podobnemi jeszcze natchnie, proszę, żebyś je dla mnie samey zachował.

Oczekiwała niecierpliwie Sylfa swojego z chęcią podziękowania mu za takowe natchnienie. Wymawiał on się wprawdzie, ale tak słabo, że te wymówki bardziey ią jeszcze przeświadczały; z tym wszystkim wyznał, że nie bez przyczyny natchniętemi ludzie tych zowią, którzy bez wszelkiego zastano-

wienia, piękne wynaydnią myśli. Są to, mówił, ulubieni Sylfów, każdy z nich ma iednego, i swym go geniuszem nazywa. Nie powinno cię tedy zadziwiać, że i *Tymoteusz* ma Sylfa, który jeżeli go natycha wierszem podobającym się tobie, ma zaszczyt bydź najszczęśliwszym po mnie z napowietrznych mieszkańców. Geniusz *Tymoteusza* stawał się co dzień żywniejszym, a *Eliza* tkliwszą na pochwały, któremi ią obkładało. Nie miał iednak dość na tym *Wolań*, i nowe gotował iey zdumienie, do którego mu okoliczność następująca posłużyła.

Przypomniemy sobie, iż *Eliza* bawiła się haftem cyfry, gdzie imię *Valoe* w imię iey wplecione było. Zaproszona dnia pewnego na ucztę, chciała się przybrać w kleynoty; tym końcem idzie otworzyć szkatułę, otwiera ią, lecz cóż w niey widzi? oto manele, sznur kleynotów naszytych, kitkę, zausznice i tam daley, pousadzane na odkreśleniu wyhaftowaney cyfry. Na ten widok zdjętą została czuciem kłopotu i

podeyścia. Cóż sobie pomyśli *Wolanż*? Czyż nie ma dość pozorney podeyrzenia przyczyny? Gdy tak siedząc jeszcze u gotowalni rozmyślała, przypada *Wolanż* i spoyrzawszy na ubiór, rzecze: Nigdy się od *WPani* tej nie spodziewał grzeczności. Imię moje z *WPaninem* w iedneyże cyfrze? Bardzo bym się cieszył, gdyby to, co widzę, skutkiem czucia mnie pomyślnego było. Zamiast zmyślania zapłonęła się *Eliza*, lecz w wieczor *Valoe* mocno był pośailany. Wydałeś mię, rzekła, na niebezpieczeństwo, przed którym drzę dotychczas. Już zbliżała się ta chwila, której trzeba było męża oszukać, albo naylichsze o mnie sprawić mu rozumienie; chociaż bowiem korzyść, którą męszczyni z przeświadczenia o rzetelności naszej odnoszą, upoważnia nas do zwodzenia ich łatwego, czuję jednak, iż prawa tego użycie, zemnąby mnie samą poróżniło. *Valoe* tak wytwornego nie omieszkął pochwalić zdania; małe kłamstwo, rzekł, jest zawsze małym występkiem, którego bydz przyczyną mar-

kotnoby mi było; lecz podobieństwo zachodzące między moim i *Wolanż* imieniem nie wyszło mi z pamięci, i wiedziałem, że mąż twój daley nad powierzchowność nie zasięgnie, tym bardziej, gdy teraz czynię go rozeznany, bo to jest naypierwszą mężów cnotą.

Koniec zimy strawili na okazach grzeczności z strony Sylfa, a na poruszeniach zdumienia i radości z strony *Elizy*, do urzeczenia podobnych.

Wolanż miał wieść, a że pierwsza i naypiękniejsza w roku nadeszła pora, czas, w którym cokolwiek żyje, darów przyrodzenia używa, oznaymił matzonce do wyiechania ochotę, kiedy się iey podo- bać będzie; chociaż zaś to zapowiedzenie w postawie naygrzeczniejszey, i głosem wcale łagodnym oświadczone iey było, mówiła przecię, iż w zapraszania pozorach, nadto dobrze poznać wyniosłe męża rozkazy. Powierzyła uścisk swój *Valoemu*. Nie widzę, rzekł, coby martwiącego było w chęci, którą ci mąż przełożył; wszakże cię nic nie

przywiązanie do miasta, a wieś pod ten czas ze wszech miar przyjemnym jest mieszkaniem, zwłaszcza dla duszy tak tkliwej i dobroczynney iak twoja. Tam umieszczona, gdzie uszczęśliwienia staranie w tysiączney odradza się postaci, widzieć będziesz w szczodroblivey naturze najpierwszy wzór tej skłonności szczęśliwey. Lasy gęstym pouwieńczane liściem, sady kwiatami ozdobne, świeżo spłodzone trzody, płaszące z radości na pierwszy światła widok, wszystko ci zgoda na wsi wystawi właściwy przyrodzeniu dobrotności przymiot. W zimie natura pokazuje się w groźney i straszliwej postaci; w jesieni tak bogata i żyzna, że aż żałośnie wygląda ciężących płodów ujęcia, i szczodroblivość iey ogołaca ią natenczas; w lecie przedać dary swoje i smutne uciążliwej pracy wyobrażenie potęża z obfitością obrazem. W czasie wiosny nakoniec wesóło skarby swoje rozrzuca, rozkochana w dobrze czynieniu. Ach! wiem ja, rzekła *Eliza*, że natura jest szczodra i piękna, ale czyż dla mnie

nią będzie na tymże samym miejscu, gdzie do losu śmiertelnika iednego przywiązana, podlegać mu przysięgam, gdzie wszystko określać mi będzie upokarzające tego wspomnienie? Nie, przerwał Sylf, nie upokarzającym nie jest w naturze, iak tylko to szczególne, co iey porządek zakłóca; szczer dopina doskonałości swojej zamiaru, gdy kwitnie i wydaie owoce, doskonałość kobiety na byciu matronką i staniu się matką zawisła. Gdybyś ty nawet mądrości rozrządzenia tego była przeciwną, śluby moje nigdyby na celu ciebie nie miały. Co! rzecze *Eliza*, istność czysta i nieskazitelna, duch niebieski to kocha w mnie, co mię w porównaniu z nim poniża! — Bądź sobie tym moje dziecię, czym iestes, kocham cię miłością Sylfa, której końca w zmysłach twych nie stanowią; dusza twoja piękna zawsze i czysta, niechay do mnie należy; na tej przestawać będę; to zaś, co się wdziękami twoimi zowie, to władzy śmiertelników jest podane. Daleki od zayrzania temu, co ie

posiada, cieszyć się owszem będę, że mu używać onych pozwalasz, bo dopełnianie szczęśliwości jego, jest najpierwszym z twych obowiązków. — Ach! pozwólże mi przynajmniej tyle przewłoki, ile na przywyknienie do tej myśli potrzeba; częściejsze na wsi widywania się może mię łatwo do tego obowiązku przyswoić, i jednakowoż dla tego nie chcey mię odstępować proszę. — Nigdy *Elizo*; zawsze ci towarzyszyć będę, bo lubię żyć wśród spokojności i milczenia.

Było w tej wsi miejsce osobne i dziwne, które pustynią swoją nazywała *Eliza*, bo tam czytać i dumać sobie do upodobania chodziła. Ledwie co tylko przybyli, udaie się natychmiast na ulubione sobie miejsce i wszystko odmienione widzi; zamiast mechem obrosłego siedzenia, znajduje tron obłożony murawą ślaskami obsianą, które miłość zdawała się zaplecać. Lilie zagięte sklepienie tronu tego składając, cień czyniły, a chróst kwiecisty kształtnie go opasywał, liliowy zapach mieszając

z nayprzyjemniejszą wonnością. Pierwsze staranie powróconey ztamtąd *Elizy* było, podziękować mężowi za pilność w upięknieniu upodobaney żonie pustyni. Bez mała to, rzekł, nie grzeczność ze strony ogrodnika moiego; obowiązany mu jestem, że się domyślił wykonać rzecz, w której znajduiesz upodobanie.

Hilary, rzekła, zobaczywszy go *Eliza*, dziękuję ci za tak zręczne usadzenie mi gajku: Gajku Meia Pani? odpowiedział sztuczny wieśniaczek; prawdziwie też mam czas takową zaprzętać się robotą, gdy ledwie pracy koło warzywa wystarczyć mogę. Chcąc porządną pracę zrobić, trzeba by do pomocy więcej mi przydać ludzi. — Około mego przynajmniej dostateczney usilności nie zaniedbałeś, i ten liliowy chłodnik, i ten płot kwieciami obrosły niewypowiedzianie mię cieszy. — Ach! lilie, cierni, kwiaty wszystko to przez łaskę Bożą samo z siebie wyrasta, bądź Pani pewna, że się ani zabierał kiedy ku temu. — Jakżeż to tedy ani się

tknąłeś? — Bynajmniej, ale mimo wszystkiego, jeżeli WPani każesz, to po skończonym obrzynaniu gałęzi, mogę starania ku rozkrzewieniu go przyłożyć. — A ta murawa fiatkami obsiana, nie twoieyże uprawy? — Wybacz WPani gdy powiem, że ani murawa, ani fiatki nie są warzywem, i że praca około ogrodu ustawna, wybiłać mi z głowy tym podobne fraszki zwykła.

Po odprawioney rozmowie, już nie wątpiła *Eliza*, iż przemienienie dzikiego iey schronienia w wyborny gajk nie było dziełem Sylfa. Ach! rzekła w zadumieniu, nieyście to na świątynią wyznaczam, do której uwielbiać go będę chodziła; podchlebiam sobie, że tam przytomnym mi będzie, ale kto wie, czy niewidzialnym być przestanie?

Nadszedł według zwyczaju wieczorem *Valoe*; gajk mój wcale jest śliczny, rzekła, ale na czym? (myślisz) zbywa mu jeszcze? chcąc upiększenie iego dopełnić, trzeba dostatecznym cudem tego dokazać, żebyś w nim oczom moim stał się widoczny, i to jest szczególnie

tylko, co do uszczęśliwienia mego brakuie. — Wymagasz to po mnie *Elizo*, co od mey nie zawisło mocy. Prawda, że Król powietrza ulubionym swoim tey czasem dozwala łaski, ale to bardzo rzadko się zdarza, jeżeli zaś kiedy pozwoli, sam przepisuje postać w jaką się przyodziać każe, a częstokroć naydziwaczniejszą wybiera zdarzając sobie rozrywkę. Powiedz mi teraz, iak ci się w drodze wiodło. — Bardzo pomyślnie, mąż mój rozprawiał z wesołością niewymuszoną, która dała mi rozeznac skutki starań nie próżno z nim łożonych; jednakowoż wyniosłość ludziom wrodzona, choć czasem uskramiać zdaje się, przecież nasiona iey w nich zostaią na zawsze, umiarkować ią można, ale odmienić nigdy, chyba przez zwyciężanie się ustawne, i w nałóg obrocone. — Nie rozpaczajmy, mówił *Valoe*, bo wielką nad duszą iego mam władzę. Czymże się jutro bawić myślisz *Elizo*? — Jutro rano kąpać się będę. — Pójdę cię w wannie jeżeli można obaczyć, i chwilę czasu z tobą przepędzę.

Obudziła się *Eliza*, i powiedziano iey, że kąpiel już gotowa; wyszła z wierną sobie *Justyną*, a że Sylf miał oglądać ją nadeyść, i że wstydlivość jest lekliwa, chciała żeby przez zasunięte firanki ledwie który tylko do sali przedzierał się światła promyczek. Zstępuje zatym w wannę i w naprzeciw potożonym między oknami zwierciadło, spostrzega migotające się niewyraźne czegoś znaki. Naprzeciwko, był pod szkłem malowany portret *Elizy*, z rozkazu *Wolanza* na miejscu zwierciadła posadzony; dziw ten bliący w oczy łatwy był do wykonania, środkiem szpary w przeforsztowania wyrobioney tajemnie, w którą bez stuku koleyno zwierciadło i obraz wpuszczano.

Na tym obrazie *Elizę* pod obłoki wzniesioną otaczała napowietrznych duchów rzesza, kwieciste podająca iey wieniec. Wzięła zrazu wszystko to, co widziała za objawienie się naprzeciwnych widziadeł, ale gdy uważniejszym coraz mierzyła okiem to co ją przerażało, zdumienie nastąpiło po błędzie. *Justyno*,

rzc-

rzecze, dodaj mi światła. Czy mi się śni? O nieba! zawołała skoro obraz oświecony zoczyła, wizerunek mój w tym zwierciadle! — Cóż ztąd *Mcia Pani*? i mój w nim widzę! Jestże to cud widzieć się przegladając w zwierciadle? — Pójdźże więc sama, pójdz, daley; gdzież tu są zwierciadła skutki? — Nie co innego — a ten obłok, te kwiaty, te geniusze, ja nakoniec wpośród niebieskiego dworu niesiona po powietrzu z tryumfem. — Nie dobrześ *W Pani* obudzona, i jeszcze sen iaki bez wątpienia w kąpeli iey się domarza. — Nie *Justyno*; nie drzymię, lecz zdaie mi się, że obraz ten nie dla twoich zrobiony oczu. O kochany *Valoe*, tyżes to odmalował? ach! iakże dowcipna jest miłość twoja!

Oczy *Elizy* przeciąg godziny całej w obraz ten wlepione wyglądały Sylfa, lecz próżno. Przeszedł znać tylko, mówiła, i tym hołdem oznaymił bycie swoje. Jednakowoż co mąż mój powie? iak mu tu ten dziw wytłumaczyć? *Mocia Pani*, rzecze *Justyna*, jeżeli obraz

Tom III.

G

ten mój nie jest widzialny oczom, za-
cóżby weyrzeniu jego podpadał? — Pra-
wdę mówisz, ale tak bardzo pomieszana
jestem te wymawiając słowa wznio-
sła oczy, i zamiast widzianego obrazu
zwierciadło zobaczyła. Jużem spokoyn-
na, rzecze, obraz już zniknął. Sylf
mój kochany w najmniejszey nie chce
mnie zostawić niespokojności. Jakże te-
go nie kochać ducha, który się cały za-
trudnia roskoszy i uciech moich stara-
niem.

Niecierpliwie oczekująca skutku pro-
żby-widocznego Sylfa zjawienia, stru-
dzona niby nadwieczorną przechadzką,
udała się byż spoczynienia potrzebują-
cą. Nudzić ją długim przybycia swego
spodziewaniem, nie było chęcią Sylfa.
Nie wiem, rzekł, śliczna *Elizo*, jeżeli
cię to pocieszy, co sobie wybłagałem.
Wolno mi jest stawić się w oczach two-
ich. — Ach! toć to iedynie moje żada-
nie. — Ale to, com przeyrzał, właśnie
przypadło; Król powietrza myśli nasze
przenikający, przepisał mi postawę, któ-
rą wziąć powinienem, a ta nie inna

jest, iak zgadnij. — Nic nie wiem;
wybaw mnie czymprędzey z niespokoy-
ności. — Postać twojego męża. Wszy-
stkich użytym sposobów, na otrzymanie,
bardziej się tobie podobaiący, lecz
prożby moje wszystkie płonnemi były,
pogroził mi owszem cofnieniem taska-
wego zezwolenia, ieślibym nie przesta-
wał na nim. Do tak więc nieszczęsnego
przywiedziony wyboru, wolałem
dla pewnego dobra, rozkazom jego zo-
stać powolny, niżeli odejść z niczym.
— Nic to nie wadzi; ale kiedyż cię zo-
baczę? — Jutro w małej pustyni, o cza-
sie zachodu słońca. — Zabezpieczona
słownością twoją będę się tam znaydo-
wać. — Bez niespokojności ufać mi mo-
żesz. — Obiecatesz mi być iednak dzi-
siaj rano odwiedzić; i chociaż zaś nay-
wdzięczniejszym udarowatesz mię hoł-
dem, ciebiem szczególniej widzieć pra-
gnęła. — Nie daleko byłem od miey-
sca, lecz przełęczniony bytnością *Justy-
ny* — Ach! prawda, iam sama temu
winna; oddalić ją należało, lecz w gai-

ku zapewne wymawiać mi tego nie będziesz, bo ci się sama jedna tam stawię.

To umowione zeyście się troszczyło nieco *Wolanża*: W ręce mi się, mówił, oddaie, i przeto wolnoż mi na doświadczenie iey z tego pożytkować omamienia, w które ją wprowadziłem. Słodkoby mi zaiste było ją napaść, gdybym o odporze był przeświadczony, lecz jeśli ta pewność odważająca, takby mię dalece zapędzać mogła, wtenczas doświadczenia iey, żadney nie miałbym potrzeby. O! ciekawości nieszczęсна! poradźmy się pomocnego czasem rozumu, weyrzimy w siebie, aboś przecię znajdziem mniey niebezpieczne kroki postąpienia w tym razie. Mamże się koniecznie oświecić, albo w wątpieniu pozostać? Wątpliwość nayprzód umysł zaktóca, a za słusnością myśli moich ręczyć nie mogę. Może po usprawiedliwieniu iey niewczas znieważę ją weyrzeniem, że utudzona imaginacya, cnotę iey zwyciężyła. Prożno sam sobie wtedy wymawiać będę, gdy złe bez

możności uleczenia zostanie; lecz iezeli przeciwnie doznam, że się opiera, ach! nadtom iest szczęśliwy. A jeśli się słabości podda? ha, iezli się podda, uwierzę, że cnota kobiet, nie iest dość mocna na odparcie nalegań duchów dobrze; ale jeśli ten duch iest przyodziany ciałem, a to ciało iest moje, którego *Eliza* za ciało męża nie weźmie, nie będę iey miał za co dziękować. Jestem w zawikłaniu, w które się wplątując wszystkom przewidział, procz sposobu wyniyscia. Ach! nie rozważaymy więcey, bieżmy do gaiku śmiało, okoliczności tam zdarzone w dalszym mię postępowaniu objaśnią.

Wolanż zdawał się nie uważać, a tym czasem z żadnego *Elizy* ruszenia oczu nie spuścił. Widział ubierającą się z skromnością pełną wdzięków, i przystoynosc w stroiu widoczna, przywróciła mu serca cokolwiek. Upatrywał w niey owszem dnia tego łagodność i wy pogodzenie twarzy, radość niewinną oznajmujące.

Z tym wszystkim niecierpliwe oczy *Elizy*, mierzyły długi bieg słońca. Nakoniec ta szczęśliwa nadchodzi chwila, a *Wolanż* którego w sukni polowej wieżdżającego widziata, stawa pierwszy w gaiku iak nayoźdobniey ubrany. Przybywa wtaż i *Eliza*, spostrzega go zdaleka i natychmiast podziwienie, którym ią ten widok ogarnął, ledwie zmysłów iey nie odiego. Wybiegł na przeciwko niey *Valoe*, rękę iey podaje i na murawę wystanym tronie posadza.

Eliza przyszedłszy do zmysłów, Sylfa u swoich znayduie kolan. Jakże, rzekł iey, izaliż osoby moiey widzenie strachem cię zdeymować miało? Wszakżem cię od zdumienia niespodzianego uchronił? Nie pragnęłaześ mię oglądać? Czyliż się gniewasz za to? czy zniknięcia moiego żądasz? — Broń Boże; byłoby to mię karać za słabość poniewolną. Radość, wzruszenie iakieś serca zmiękczaające, więcey nierównie niż strach przyczyniaią się do pomieszania, które mi sprawiasz. Drzę z boiaźni, mó-

wił *Wolanż* sam w sobie, serce iey poruszone; ach! wcależ to niepomysłny początek. Sliczna *Elizo*! Czemuż nie w moiey było mocy, obrac tę szczęśliwą śmiertelnika postawę, którey skład podobałby się tobie? o iakże niewygodnie jest amantowi w męża stawiać się postaci! Wszystko mi to zarówno rzekła z uśmiechem. Prawda, że mileyby mi było widzieć cię w kształcie jednego z tych kwiatów, które ja lubię, albo z tych ptaszków, które tak iak ty powietrznemi są mieszkańcami, lecz gdy cię w postaci człowieczey widzę, zarówno mi jest znaydować cię w osobie męża, iak i innego człowieka; zda mi się nawet, że osobę iego upiękniasz, tak dalece, że *Wolanża* samego widziećby można w tobie, gdyby dusza twa oczom iego nie przydawała iakieys iasności; głos twój przez usta iego przechodząc, udziela mu wdzięku właściwego posagowi ożywionemu Bożyszczem, w skinieniach iego znayduie składność, którą ciało ożywiane duchem prostego śmiertelnika nie zaszczycało się nigdy.

— Więc jeżeli mię kochasz w tej postaci, w jakiej mię teraz widzisz, mogę być zawsze takim, jak teraz jestem. — Kochanku urzekasz radością. — Mów *Elizo*, jeżeli będziesz szczęśliwą, rzekł, całując ją w ręce, które nięte wyciągnawszy *Eliza*, rzekła: Zapominasz się, wszakże ja Sylfa nie człowieka kocham w tobie, i jak *Valoe* duchem jest tylko dla *Elizy*, tak i *Eliza* duszą tylko dla *Waloego*. Jeżeliś się nie mógł postacią ludzką przyodziać bez skażenia czystej istności twej i miłości, zrzucić z siebie ten kształt upodlający, i nie dawać mi wstydu, za nierostropność mych życzeń. Walnie dotąd; mówi *Wolan* po cichu! ależ to teraz dopiero najebezpieczniejszy zachodzi moment.

Elizo nie czas zmyślać, wypełniłem to, czegoś wyciągała po mnie, dowiedz się ile mnie to kosztuje. „Pozwalam ci, (mówił Król geniuszów) bądź poddanym prawu kobiety, stań się człowiekiem, lecz nie podchlebiaj sobie, iż na pozor tylko zmysły mieć będziesz. Przyjdzie ci kochać tak jak

„innym śmiertelnikom przychodzi, i
„poczuwać rozkosz równie jak troski.
„Jeżeliś nieszczęśliwy w tym stanie,
„strzeż się powracać do nas, i nie-
„wczesnym iękiem żale swe rozpościć
„rając kazić napowietrzne mieszkania.
„Wyganiam cię z nieba na tułanie się
„dopóty, póki *Eliza* życzeń twych nie
„dopełni. „Spodziewałem się zniewo-
lić to nieużyte serce, albo raczy po-
dobać ci pragnąłem. Sądźże mię teraz
sama, jeżeli w miłości mojej znajdziesz
ukarania przyczynę.

Mowa ta *Elizę* do rozpacz przywiodła. O niebaczny! o najokrutniejszy z duchów niebieskich, krzyknęła, cożes uczynił? do jakiegoż mnie konieczności przywiodłeś? *Wolan* zadrzał zobaczywszy zalewające się łzami oczy *Elizy*. Czemuż się mnie w tym nie poradziłeś, rzekła ze łkaniem; czyliż ja dla szańbienia siebie, czyli dla męki twojej widzieć ciebie pragnęłam? a potem iakożkolwiek bądź była ta żądza, mógłżeś pomyśleć, iż wemnie wytepić zdoła to, com tobie, to com sobie sa-

mei jest winna. Kocham cię, toć samo jeszcze powtarzam; i jeżeli tylko życia mego potrzeba było, na nadgrodzienie, nieszczęśliwości tobie sprawionych, bądź pewien żebyś się na nic uskarzać nie miał przyczyny, lecz cnota miłsza mi jest nad życie, miłsza nad miłość samą. Serce *Wolanża* rozptywać się z radości poczęło. Nie mogę, rzekł, ganić zbytku delikatności twojej, lecz spojrzysz na mnie i zobacz jak do męża twego podobny jestem, prawie nim samym, albo raczej ten nim jest w samej istocie, który do nóg twoich pada, który cię czei i kocha, błagając o najwierniejszej i nyczulszej miłości nadgrode. — Daremnieś do niego podobny: mężem moim nie jesteś, któremu jedynie winna to, czego po mnie wymagasz. Wstań, oddal się odemnie, i nigdy mię w życiu oglądać nie śmiej; odstęp mię mówię. Czyżesź szalony? Cóż to znaczy ta radość napaściwa, znieważająca, którą zapalas twoje oczy? Mogłażby jeszcze zuchwałość płochą podsycać nadzieję? O już też to do najwyższe-

go stopnia doprowadzona zniewaga! — Posłuchaj mię. — Nie chcę, bynajmniej. — Jedno słowko ukoj te zapęły. — Słowko to jest wiecznym pożegnaniem. — Nie; śmierć tylko sama rozłączyć nas potrafi, poznaj w *Sylfie* męża twoiego, tak, tenże sam *Wolanż*, którego nienawidziłaś, jest tym *Valoem*, którego kochasz. — O nieba!... ale nie, ty mnie chcesz zdradą przekonać, i złym podobieństwem użyciem. — Nie, mówię, i *Justyna* jest świadkiem, że to cokolwiek dotąd widziałaś, igraszką tylko było. — *Justyna*!... — Przypuściłem ją do poufałości mojej, i iako mi do usidlenia cię pomagała, tak też i do wywiedzenia cię z błędu pomoże. — Możeż to bydz, żeś ty moim jest mężem? obawiam się jeszcze, dokończę przynajmniej, i powiedz mi jak się działy te dziwy zdumiewające. — Miłość ie udziałała, dowiesz się jakim sposobem. — Ach! jeżeli to prawda!... — Jeżeli prawda, uwierzyszże *Elizo*, iż jest człowiek godny kochania? — Uwierzę, iż

ieden iest na świecie, i że ja go posiad-
dam.

Zapytana wyznała wszystko *Gustyna*,
i kazano iey przysiąc iako *Valoe* ni-
czym innym nie być iak *Wolanżem*. Te-
raz to, rzekła *Eliza*, rzucając się na łó-
no męża, teraz prawdziwie urzeczoną
jestem, i spodziewam się, że chyba mię
tylko śmierć sama z tego urzeczenia wy-
wiedzie.



LAURETTA

POWIEŚĆ MORALNA.

CZĘŚĆ DRUGA

TOMU III.



LAURETTA
POWIEŚĆ MORALNA.

ŚWIĘTO było, którego we wsi *Coulange* obchodzono rocznicę, a że Margrabia *de Clance* miał niedaleko odległy od miejsca tego pałac, przybył z zgromadzonemi przyjaciółmi na przypatrzenie się wieyskiemu widowisku i wmieszanie się w tańce wieśniacze; co się tym dosyć często przydarza, których tęsknota z tona zbytku wygonionych powraca poniewolnie doznawaniu prostych i czystych roskoszy.

Pomiędzy wesołością rozrzużwionym młodych wieśniaczek gronem tańcującym pod Brzostą, któaby nie rozeznał

Lauretty po piękności wzrostu, urodziwej twarzy, po tych nakoniec przyrodzonych powabach, bardziej niż piękność sama poruszających. Na nią tylko podczas tej uroczystości patrzono, a zanego stanu kobiety, które uroda chępliwemi czyniła, nie omieszkaly wyznać, iż nic piękniejszego nie widziały. Kazano iey się przybliżyć, przypatrywano się z pilnością zwyczajną malarzowi, rozpatrującemu przed się stawione wzory. Podnieś oczy kochanko, mówiły iey te damy. Jakaż żywość! iakie słodczy ponęty; iaka lubieżność w weyrzeniach. Gdyby znała, co one wyrażają! iakichżeby zręczna zalotnica nie poczyniła łupieństw, temi uzbrojona oczyma! A ta śliczna twarzyczka! widziałże kto co czerstwiejszego kiedy? Te świeże, te koralowe usta, ta białosc zębów, tak czysta! Ta ciemna cera skrzywdzona nieco upałem.... ale ta znakiem jest zdrowia. Patrz iak alabastrowa iey szyja, krągłi się na pięknych ramionach; w sukni galowej iakżeby się wydawała przedziwnie! A te mal-

malutkie wdzięki zakwitujące, które miłość sama, zdaie się, że umieściła. Ucieszna rzecz prawdziwie widzieć, kogo darami swemi obsypuie natura! Gdzież piękność kryć się uchodzi? *Lauretto* wiele lat sobie liczysz? — Piętnaście miałam przeszłego miesiąca. — Bez wątpienia wkrótce cię za mąż wydadzą? — Oyciec mój powiada, że nic do tego nie nagli. — A ty *Lauretto* nie czujesz w serduszkku iakiey miłości? — Nie wiem, co znaczy miłość w serduszkku? — Co? żaden chłopiec nie podnieca w tobie żądzę, żebyć go dano za męża? — Ja w to nie wchodzę; oyciec się sam chce tym zaprzatnąć staraniem. — Czym się bawi twój oyciec! — Majętność swoją uprawia. — Jestże bogaty? — Nie, lecz mówi, że będzie szczęśliwym, jeżeli ia rostopną. — A ty czym się zabawiasz? — Wspólną pracą, pomagam oycu — Z nim razem uprawiasz ziemię? — Tak iest, i starania, których wymaga winnica, zabawką są tylko dla mnie. — Gracować, tyki szczepić, do przywiązywania winnych gałązek, przersedzać liście dla

ułatwienia dojrzałości winogron, zbierać dojrzałe, wszystko to nieciążliwą nie jest robotą. — O nieszczęśliwe dziecię! nie dziw, że iey te śliczne zgrubiały ręce. Co za szkoda, że się w tak podłym i zaniedbanym stanie urodziło.

Lauretta co na wsi zazdrości tylko była pochopem, zadziwiła się cokolwiek, że osoba iey politowanie wzbudza. Jako bowiem oyciec pokrywał to usilnie, coby żałości córce dać mogło, przyczynę, nigdy iey na myśl nie przyszło, iż żalowaną być może, lecz rzuciwszy swe oczy na strój przytomnych kobiet, spostrzegła, że prawdę mówiły. Jakże wielka między iey suknią, a ich ubiorem różnica! Jaka wykwićtność, iaka świetność w materji iedwabney i lekkiej, którey szerokie fałdy około nich pływały. Ileż opiętości w obuwiu, iakiż wdzięk! iaki wybór w utrefieniu ich włosów! Cienkie płótno, wstążki, koronki nowej przydawały świetności wdziękowi do połowy przykrytym. Nie miały wprowadzić te Panie, żywey czerstwego zdrowia cery, lecz mogła u-

wierzyć Lauretta, że zbytek oczy iey zabłyskujący był iey młodej postaci przyczyną, którey czerwienidło nawet ukryć nie mogło? Gdy tak sobie nad tym wszystkim dumiała, zbliża się ku niej Hrabia *de Luxy*, i do tańca zaprasza. Młody, urodziwy, smagły, iednym słowem aż nadto dla Lauretty powabny.

Chociaż w tańcu naywyborniejszego nie miała gustu, nie omieszkała iednak upatrzeć szlachetności w udoskonalonym stąpieniu, lekkości ruszeń Hrabiego, przyjemności, których skoki młodych wieśniaków nie miały. Poczuciwała ona czasem ściśnienie ręki, ale nigdy ręką tak iak ta miłą. Hrabia tańcząc od stóp do głów się iey przyglądał, Lauretta domysliła się snadnie, że te spojżenia duszą tańca będąc, żywości mu dodawały, i bądź to, że chciała wyrównać daniem tańcowi swojemu takieyże przyjemności, bądź, że pierwsza miłości iskierka od serca się rozciągnęła do oczu, weyrzenia iey odpowiadały miłośnym oczom Hrabiego,

wyrażeniem nayaawniejszym rozweselenia i czucia.

Po skończonych tańcach *Lauretta* dla wypocznienia pod Brzostą sobie usiadła, Hrabia u kolan *Lauretty*. Nie odstępuyemy się, mówił, kochane dziecię, z nikim tańcować nie będę iak z tobą tylko iedynie. — Wielkie to szczęście dla mnie, ieżeli towarzyszek mych nie rozgniewa; w tey wsi zazdrość panuje. — Możnaż nie bydź zazdrośnym, widząc ciebie tak piękną, i miastoby inaczey nie uczyniło, bo zte to wszędy śledzić za tobą będzie. Ach *Lauretto*! gdyby cię nagle przybyła do *Paryżu* uyrzano, w posród tych próżnych kobiet, pysznych dla piękności, fortelem tylko nazywać się mogący! — Ja w *Paryżu*, ach! cóżbym tam znaczyła? — Byłabyś oczu słodczą i wszystkich zgoła serc Panią. Słuchay *Lauretto*, nie mamy tu wolnego do umowienia się czasu, lecz iednym słowem ci mówię, że od ciebie samey zależy, miasto tey nędzney chaty i iedney do uprawienia winnicy,

mieć w *Paryżu* pałac złotem się i iedwabiem świecący, stół zastawiony podług zachcenia, sprzęty nayroskoszniesze, nawyborniejszy powoz, suknie do wszystkich części roku przystosowane w rozmaitych kolorach, wszystkie nakoniec przyjemności wygodnego, spokojnego, naywyśmienitszego życia bez innych zatrudnień iak tylko kochania mię tak, iak ciebie kocham. Swobodnego czasu namysł się o tym. W niedzielę tańcować znouu będą w pałacu, gdzie wszystka wieyska młodzież jest zaproszona. Będziesz się tam znajdować śliczna *Lauretto*, i powiesz mi ieżeli miłość moja cię wzrusza, ieżeli dobroczynność moją przyjmiesz. Dzisiaj o nie cię więcey nie proszę, iak o naysurowsze utrzymanie sekretu. Tay dobrze, bo gdybyć się z ust naymniejsze słówko wymknęło, szczęście, które cię czeka, iak mara zniknęłoby.

Rozumiała wprawdzie *Lauretta*, że się wraz namysliła. Los świetny, który iey odmalowano, od upokarzającego iey stanu zbyt był daleki, a przeyscie tak ła-

twe i tak prędkie z iednego w drugi pojęcie iey przechodziło. Piękny młodzieniec, co iey te obietnice poczynił, zdradliwey nie miał postawy. Tak ważnym mówił do niey sposobem, tyle rzetelności w oczach i ustach iego widziała! Spostrzegłabym niechybnie gdyby zemnie żartował. Z tym wszystkim co znaćzy tajemność tak surowo mi zalecona? uszczęśliwiając mię, chce żebym go kochała, ha! nie sprawiedliwszego, lecz bez wątpienia pozwoli, żeby oyciec dzielił zemną te dobrodzieystwa; za cóż tedy kryć się przed oycem? Gdyby *Lauretta* iakieżkolwiek miała podeyscia i występku wyobrażenie, zrozumiałaby łatwo, dla czego *Luzy* o sekret ią uprasza; lecz cała mądrość, którą ią napoiono, nie obszerniejsza była nad odpieranie popędliwey chłopców wiejskich swywoli, w ucziwey zaś i uniżoney Hrabiego minie nie widziała takiego, coby iey nieufności lub oporów zadawało potrzebę.

Temi rozważaniami zaprzątuniona, obrazem zbytku i obfitości napełniona ma-

jąc głowę, powraca do lichego mieszkania, w którym się wszystko odmienione iey wydało. *Lauretta* pierwszy raz w życiu poniżoną została mieszkaniem słomą pokrytym. Te sprzęty proste, które potrzeba kosztownemi czyniła, zbrzydniały, do starań domowych, któremi ią zaprzątowano, wstręt mieć począta, nie znaydując iednakowego smaku w chlebie, którego pot zakrapia, a na świeżey słomie, łożu tak smacznego dotąd dla niey sypiania, wzdychała do przerabianych złotem obić, do bogatych i rozkosznych pościeli.

Gorzej to nierównie gdy nazaiutr do pracy powrócić było potrzeba, i na rozżarzonem pagorku wytrzymywać dzieńne upały: w *Paryżu* nie przebudziłabym się, mówiła, chyba dla spokojnego używania roszkoszy, innym nie zaprzątuniona staraniem iak miłością, i sposobami przymilenia się kochankowi moiemu. Dostatecznie mnie w tym JPan Hrabia upewnit. O iakże miły ten Hrabia! mnie tylko widział w pośrodku zgromadzenia; damy nawet w pałacu zostające

opuścił, żeby się tylko z iedną wieśniaczką zabawiał. Nie jest pyszny, a mógłby nim bydz i słusnie; właśnie iakbym mu łaskę świadczyła, przekładaiać go nad chłopców wieyskich; dziękował mi tak uprzejmemi oczyma, twarzą tak uniozoną, tak poruszaiącą! w mowie iego iakaż nieporownana łagodność! z Panią mieysca tego dziedziczką, grzecznieyby mówić nie mógł. Szczęściem dość dobrze ubrana byłam, ale gdyby mię dziś zobaczył w tey lichy sukni, w tym stanie, ach! naybiednieyszym!

Niesmak w położeniu tym poczuwany coraz się bardziey powiększał przez trzy dni w trudach i tęsknocie strawionych, które wytrzymać musiała, zaczym Hrabiego zobaczyć przyszło.

Nadszedł przecię ten moment, którego oboie niecierpliwie oczekiwali. Całey wsi młodzież zesza się do sąsiedzkiego pałacu i natychmiast w sali lipami opasaney, dźwięk instrumentów dał znak tańców zaczęcia. Zbliża się z towarzyszkami swemi *Lauretta*, nie już z tą bezpieczną postawą, którą w dzień

wieyskiey miała rocznicy, lecz w skromney i boiażliwey. Była to dla *Luzego* nowa piękność, Gracya lękliwa i przystoyna, zamiast żywey i płochey Nimfy. Przywitał ją grzeczniey niż inne, ale bez naymnieyszego porozumienia znaku. Wstrzymał się przybliżyć ku niey, czekaiąc aż kto inny do tańcowania z nią, swoim go zachęci przykładem. JPan *Soligny*, który od czasu obchodzonego święta nie przestawał mówić z *Laurettą* z pewnym iakoby zapamiętaniem, zdarzył mu naśladowania pogodę. *Luzy* mniemał w nim widzieć współzalotnika, i zayrzęciami oczyma śledził go z zatrwożeniem, lecz na uspokojenie Hrabi zażdrość tę spostrzegać nie trzeba było *Laurette*. Weyrzenie czcze było tańcuiaćey z *Solignim*, twarz oboiętna, zimna i zaniedbana postawa, gdy zaś na *Luzego* tańcowania kolej przypadła, zdało mu się, że witaiąc ją widział ożywiane wdzięki, i wszystkie piękności na twarz występuiać, którą kosztowny wstydlivosti oblewał kolor; ukradkowy uśmiech i niedoyrzany różowe po-

ruszył wargi, a względność tkliwego spojrzenia radością i kochaniem duszę jego uniosła. Pierwsze poruszenie *Luze-ego*, gdyby się znajdowali osobno, byłoby paść do iey kolan, dzięki iey czynić i uwielbiać *Laurette*, ale on oczom nawet kazał wstrzymać rozpalone weyrzenia; ręka szczególnie, ściskając rękę tej, którą serce kochanką jego zowie, wyraża drzeniem jego zapały.

Sliczna *Laurette*! mówił po tańcu, oddał się cokolwiek od towarzyszek twoich. Niecierpliwie dowiedzieć się pragnę coś umyśliła? — Naymniejszego nie uczynić kroku bez przyzwolenia oyci, i trzymać się przestrogi iego we wszystkim. Jeżeli mi WPan chcesz dobrze czynić, niechże i on będzie dobrodzieystw tych uczestnikiem, jeżeli z WPanem pojadę, to chyba wtenczas gdy on pozwoli. — Ach! strzeż się go radzić; wszakże to oyci naybardziej obawiaciem się powinien. Między wami chcąc się kochać lub złączyć, potrzeba pewne zwyczajności zachować, których mi stan mój, imię moje zabrania.

Oyciec chciałby mię widzieć stosującym się do nich i rzeczyby niepodobney po mnie wymagał, gdyby mię zaś zbronnym zobaczył, żaliłby się że m ja was oszukać myślał. Nie wie iak mocno cię kocham, ale ty *Laurette*, powinnaśbyś rozumieć, iżbym mógł szkodzić tobie? — Ach bynajmniey! rozumiem żeś WPan jest dobroć sama, lecz gdybyś był złośliwym, nayzręcznieyszym byłbyś zwozdicielem. — Ośmiel się tedy mi ufać. — Broń mię Boże od nieufności, nie wystrzegam się W Pana, ale tać przed oycem moim nie mogę, do niego należę, jemu podległą iestem. Jeżeli to przystoi co mi WPan podaiesz, bez trudności zezwoli. — Nigdy zezwolić nie zechce. Uważ iak strata mnie mocno cię zmartwi, a wtedy nie będzie już czasu naprawienia co zepsuiemy, i na całe życie skazaną do tych podłych robót zostaniesz, które lubisz zapewne, bo ich porzucić nie chcesz. Ach *Laurette*! te pulchne rączki czyliż na uprawianie ziemi zrobione? czyliż upały słońca tej piękney pici twoiej farbę zabrudzać

maia? O wy wdzięki przyrodzenia! wy Gracye, wy towarzysze miłości! *Lauretto!* tyżże to trawić się będziesz w uciążliwym i zaniedbanym pożyciu! zakończysz ie zostaniem gospodynią którego wieśniaka! starzec się może w nędzy nie zakosztowawszy żadney z tych roskoszy, które ci bez ustanku przytomnemi bydz miały! owoż to, to iest, co ty przekładasz nad stodyczy obfitości i swobody, któreć przyrzekam. A co ci do odważenia się przeszkadza? nie co innego, iak boiaźń sprawienia oycu mentalney niespokojności. Prawda, że go uyscie twoie zasmuci, ale potym iakże się radować będzie, gdy cię dobrodzieystwy memi ubogaconą zobaczy, któremi się sam obsypanym uczuie? Jakże mu słodką zadasz gwałtowność, obowiązuąc go do porzucenia chaty i spoczywania sobie; nie będę się wtenczas odmów iego obawiał; bo moja szczęśliwość, twoia i iego na zawsze nam zabezpieczoną zostanie.

Lauretta wiele doznała trudności w opieraniu się tym podeysciom, lecz się

nakoniec onym oparła, i gdyby nie nieszczęsny przypadek, który ią znowu w sidła zaciągnął, samo wrodzone niewinności czucie do zastawienia iey dostateczne byłoby.

W czasie zawieruchy około wsi *Coulanges* wzburzoney, naystraszliwszy bicz pola, grad, zniszczył winobrania i żniw nadzieię. Ogołocenie było powszechne. Podczas tey burzy tysiąc żałosnych krzyków mieszało się z hukiem piorunów i wiatru; gdy zaś po dopełnionym spustoszeniu nastąpiła iasność okropnieysza nad ciemności, które ią poprzedziły, dała widzieć w winnicy gałazki odpadłe i połamane, ktosy na pomiecionej wiszące słomie, owoce drzew porwane i potłuczone, w całej zgoła wsi spustoszonej, rozległe i płaczliwe panowało milczenie, drogi pokryte gromadą nieszczęśliwych, wybladłych, potrwożonych i prawie nieruchomych ludzi, którzy zasępionym okiem przypatrując się swemu zniszczeniu, ubolewali nad całoroczney pracy stratą, nie przewidując w przyszłości iak odstąpienie siebie, nę-

dzę i śmierć nakoniec. Na progach cha-ty rozbolełe matki przytulały do piersi troskliwie karmione dziecińy i rozpląkanemi oczyma im mówiły: któż was, kto karmić zdoła, jeżeli nam chleba nie dostanie?

Okropny tey klęski widok najpierwsze *Luzemu* tey żałości podał wyobrażenie, w iakiey *Lauretta* i oyciec iey poruszonymi byli. Niecierpliwie lecąc na ich pomoc pragnący, pokrył to czułe współżalowanie powłoką litości nieszczęśliwych ludzi zgraią wzbudzoney. Poydźmy na wieś, rzekł do zgromadzonych przyjaciół, zanieśmy im pociechę; małą rzecz każdego z nas kosztować będzie wybawienie dwudziestu familii z rozpaczey, w którą ie ta nieszczęsna zapędziła przygoda. Byliśmy uczestnikami ich wesela, żałosc ich dzielić powinniśmy.

Te słowa przeniknęły serca iuż i tak litością wzruszone. *Margrabia de Clance* dał z siebie przykład stanąwszy przed poddanemi swemi, ofiarował im pomoc, obiecał ulżenie, nadzieię i ochotę przy-

wrócić; gdy tzy wdzięczności zewsząd około niego płynęły, zgromadzenie całe, ludzie, kobiety, rozbiegali po wsi, wstępowali do chałup, rozdawali dary, smakując tkliwey i rzadkiey rokoszy widzieć się uwielbianemi od rozrzuwnionego dobrocią ludn. Z tym wszystkim *Luzy* naksztatt szalonego biegał, szukając mieszkania *Lauretty*. Pokazano mu ie, leci i we drzwiach siedzącego widzi wieśniaka głowę ku kolanom mającego zwieszoną, twarz obiema zasłonioną rękami, tak właśnie, iak gdyby się światła obawiał. Oyciec to był *Lauretty*. Przyjacielu! rzecze mu *Hrabia*, widzę cię obarczonego nieszczęściem, lecz nie rozpaczay. Nieba są sprawiedliwe, a między ludźmi serca się litościwe znajdują. Ach! *Mei Panie*, odpowiedział mu wieśniak głowę podnosząc, czyliż człowiek, który dwadzieścia lat oyczyźnie swojey służył, który bliznami pokryty tutaj się schronił, i od tego czasu pracować bez wytchnienia, nigdy nie przestał, czyliż temu rzecz przyzwoita wyciągać żebrzącą rękę? ta ziemia krwa-

wym potem skrapiana nie powinnaż mi była sposobów podać do życia? czyliż dni moje na żebraniu chleba zakończę? Tak wyniosła i tak szlachetna w podłym człowieku dusza zadziwiła Hrabiego. — Służyłeś tedy woyskową? — Tak Mci Panie! Przyjąłem służbę pod *Berwikiem*, boiowałem z *Maurycym*. Oyciec mój nim process nieszczęsny ogłosił go z majątku, miał dosyć na utrzymanie mię w randze, której dostąpiłem, lecz tegoż czasu, gdym ja odprawiony został, on wyniszczony zeszczętem. Tuśmy się zagrzebać przyszli, i za cokolwiek pozostałego majątku, nabyliśmy gruntu, który rękami memi uprawiałem. Pierwszy stan nasz nie był wiadomy, a ten w którym zdawałem się urodzić, żadnego mi wstydu nie czynił; żywiłem, pocieszałem oycę moiego. Ożeniłem się, a to było moim nieszczęściem; dzisiaj ie czuję. — Oyciec twój nie żyje? — Ach!... nie. — A żona? — Nadto szczęśliwa, że tego strasznego dnia nie doczekała. — Czy rodzeństwem obciążony jesteś? — Jedną tylko mam córkę i nie-

nieszczęśliwa!... Alboż nie słyszysz iey łkania! kryje się i oddala odemnie, żeby duszy mey nie rozżalać. *Luzy* chciałby się był rzucić do chaty, w której ięczała *Lauretta*, ale go boiaźń zdradzenia się utrzymała.

Na, rzekł, dając oycu worek z pieniędzmi, weź to małe zapomożenie, a gdy ci będzie potrzeba, przypomniy sobie Hrabiego *de Luzy*; mieszkam w *Parżu*. Oddalił się, te wymówiwszy słowa, i odbiegł, czasu nawet podziękowania nie zostawiając oycu *Lauretty*.

Jakże wielkim pocziwy *Bazyli* zadziwieniem zdjęty został, znaydując w worku sumę tak znaczną! Pięćdziesiąt *Luidorów*, trzy razy więcej było, niż dochód z szcuplego pagorka wynosił! Poydź córko moja, zawołał, patrz na tego co się oddala, nie człowiek to lecz anioł z nieba. Ale czemuż ia wierzę? czyż podobna, żeby on mi to chciał dać wszystko. Idź *Lauretta*, bieź za nim, day mu poznać, że się oszukał. Wtąż za *Luzy* śpieszy *Lauretta* i dogoniwszy go rzecze: Oyciec mój uwierzyć nie

może, żebyś WPan nam ten dar miał uczynić, i dla tego mię przysyła, żebyś go WPanu Dobrodzieiowi oddała. — Ach! *Lauretta* wszystko co mam czyliż nie należy do ciebie i do oyc twoiego? czyż jest tak wielka zapłata, którąby sprawcy życia twego można zawdzięczyć! odnieś mu ten dar lichy, jest to zadatek dopiero moiej dobroczynności, którey pobudki strzeż się iemu wyiawiać; powiedz, żem nadto szczęśliwy, iż się pocziwemu człowiekowi przysłużyć mogę. *Lauretta* chciała mu dzięki uczynić. Jutro, rzekł, skoro świt koniec wsi przebywając, przyjmę dzięki twoie i pożegnania. — Jakże to? Jutro WPan wyjeżdżasz! — Tak jest, wyjeżdżam nayrozkochańszy i nayszczęśliwszy człowiek. — Skoro świt to prawie o ten czas, kiedy my z oycem na robotę idziemy. — Czy razem? — Nie; on pierwszy wychodzi, a mnie gospodarskie rozporządzenia, spóźniając trochę. — A przez moją drogę przechodzisz? — Wtenczas kiedy po zawiesz idę, ale chociażby mi i zboczyć przyszło,

byłoby to rzeczą naymnieyszą, którą WPanu winna za tyle dowodów przyjaźni. — Bądź zdrowa *Lauretta*! Niechże cię jutro zobaczę, przynajmniey na jednę chwilkę; ta roskoz będzie ostatnią życia moiego.

Bazyli, gdy powróciła *Lauretta* nie wątpił o dobrodzieystwach *Luzego*. Ach! pocziwy młodzieniec! cóż to za wyśmienite serce! wołał co moment. Nie zaniedbujemy jednak córko moja tego, co grad zostawił. Im mniey mamy, tym więcej starania przykładac powinniśmy do dobrego rozporządzenia tym, co nam pozostało.

Lauretta tak poruszoną była dobroczynnością Hrabiego, tak strapioną, że nieszczęśliwym go czyni, iż całą noc płakała. Ach! gdyby nie oyciec, rzecze, iakążbym roskosz miała z nim idąc. Na-za jutrz w świąteczne nie ubrała się suknie; do naygłębszey jednak ubioru swego prostoty nie omieszkata przymieszać lubieżności tak iey wiekowi właściwey. Nie zobaczę go więcej i cóż mi nada, ieżeli w oczach iego mniey al-

bo bardziej piękną będę. Na tak krótką chwilę szkoda tyle sobie zadawać pracy. Te wymawiając słowa, stroiła się w czepiec na głowę i w koloretkę. Przyszło iey na myśl, żeby mu zanieść w koszyku owoce swego śniadania. Nie pogardzi niemi, mówiła, powiem, że sama je zbierałam, a układając na uślanym liściu owoce, łożami one skrapiała. Oyciec już był wyiechał a z białością świtu mieszała się ta letka purpurowa i złota farba, w którą zorza niebo przybiera, gdy biedna dziewczyna, serce strwożone i rozkochane na koniec wsi zaniósła. Wkrótce potym spostrzega śpieszny Hrabiego powóz, którego widok ją zmieszał. *Luzy* zdaleka skoro ją tylko zoczył, wypada natychmiast z karety i zbliżając się ku nię w żąłosney minie: Przenikniony jestem śliczna *Laurette*, rzecze, łaską którą mi świadczysz; tę mam przynajmniej pociechę że cię czuję na biedę moją widzę i mogę wierzyć, że ci mąkотно będzie, iż mię nieszczęśliwym uczyniłaś. — Tak mocno stroskaną jestem, odpowiedziała

Lauretta, iż dawałabym wszystkie dobrodzieystwa od W Pana nam poczynione, żebym go nigdy nie była w życiu moim widziała. — A iabym oddał wszystko co mam, żeby cię póki życia nie odstępować. — Zdaie mi się, że to od W Pana zależało: cóżby mu miał oyciec odmówić, kocha go i poważa. — Oycowie są okrutni, chcą żeby się pobrać, a ja się z tobą żenić nie mogę: nie myślmy więcej już o tym, przychodzi nam się rozstać i wieczne sobie pożegnanie powiedzieć; my, co gdybyś chciała, nigdybyśmy jedno dla drugiego żyć nie przestali, kochać się i wspólnie używać darów i tych co mi szczęście nadało, i tych któremi cię miłość ubogaciła. Ach! nie poymniesz roskoszy, które nas oczekiwaty; gdybyś iakieżkolwiek miała ich wyobrażenie! gdybyś wiedziała czego sobie odmawiasz; — bez wiedzenia potrzeby czuję aż nadto. Prawdziwie skrom *W Pana* zobaczyła, wszystko to, co nim nie jest, jest niczym dla maie. Zrazu myśl moja bawiła się temi pięknymi rzeczami, któreś mi *W Pan* poobie-

cywał, wkrótce potym wszystko zniknęło, anim sobie o nich wspomniata, o tobie myśląc iedynie. Ach! gdybyż oyciec przyzwolit! — Jakaż tu jest woli iego potrzeba? Czyliż dla kochania mnie, oczekujesz przyzwolenia iego? Alboż szczęście nasze nie jest w nas samych; miłość, zaufanie *Lauretto*, oto są prawa twoie, które i za mną będą ręczyły. Są gdzie świętsze i niezgwałceńsze. Ach! wierz mi, gdy się serce oddało, już wtedy po wszystkim, ręka go naśladować powinna. Podayże mi tę rękę, niech ją tysiąc razy ucałuję, uściśkam, skropię łzami moimi. — Na, masz ją, rzekła z płaczem. — Co? ta kochana ręka do mnie należy, od miłości ją trzymam; chcąc mi ją odebrać, trzeba by mi pierwey życie wydrzeć. Tak *Lauretto* skonał u nóg twoich, jeżeli się od ciebie mam rozłączyć. *Lauretta* uwierzyła za prawdę, iż przestając ją widzieć żyć przestanie. — Przebóg, mówiła, jaż to mam być nieszczęścia tego przyczyną? — Tak, ty nią będziesz okrutnicą, pragniesz śmierci moiej, pra-

gniesz iey. — Ach! świadcz mi Boże, jeżeli bym za ciebie życia nie dała. — Dayże mi dowód tego, mówił, ciągnąc ją przez gwałt za rękę, pójdź jeżeli mię kochasz. — Nie, rzekła, nie mogę bez wiedzy oycy. — Dopuszczę mi się tedy oddać rozpaczy! Na te słowa zbłądła i drżąc *Lauretta* serce przeniknione mając żalem i boiaźnią, nie śmiała ani utrzymać ani puścić ręki *Luzego*. Oczy iey też pełne, śledziły z strachem obłąkane Hrabi weyrzenia. Racz, rzekła w chęci uspokoienia go, racz się zlitować nademną i spoyrzec na mnie bez gniewu. Spodziewałam się, że ci przyjemny będzie ten wdzięczności moiej zadatek, aleć go ofiarować już nie śmiem. Co to jest? rzecz, owoce? dla mnie? okrutna! naigrawasz się ze mnie, trucizny żądam trucizny, i rzuciwszy popędliwie koszyczek, oddała się rozhukany.

Lauretta wzięła za nienawiść to poruszenie, i serce iey nadto już rozrzuwnione, nie mogło tego dobitnego razu wytrzymać. Ledwie dość miała mo-

cy oddalić się na kilka kroków i doysć drzewa, pod które padła mdlejąca. *Luzy* iey z oczu nie spuścił, przybiega i tżami oblaną znajduie, widzi piersi przyduszane tkaniem, bez cery prawie nie żywą. Cały w utrapieniu, nie myśli jak żeby ią przywołać do życia, a skoro przychodzącą do siebie widzi, chwytą się zdarzenia tey słabości, tak, że nim z zemdlenia ocuconą została, iuż mocno oddaloną była od wsi w pilnym Hrabiego powozie, w rękach które ią gwałtem porwały. Gdzie iestem, rzekła, przetwieraiąc oczy? Ach! W Panże to tu Hrabio? czy mię na wieś odwozisz? — O ty duszy moiey połowo! rzekł, przyciskaiąc ią do piersi, widziałem tę chwilę, w którey pożegnania nasze życia oboygu pozbawiały; nie oddawaymy tak nieznosnemu doświadczeniu dwóch serc na wytrzymanie go nadto słabych; oddaieć mię tobie *Lauretto*, i na ustach twoich przysięgam dla ciebie żyć iedynie. Ja też, odpowiedziała, nie lepszego nie żadam, iak żyć dla ciebie samego. Ale mój oyciec! mogeż oyca opuścić?

mną rządzić nie do niegoż należy? — Oyciec twój moja *Lauretto* udarzony dobrami, będzie szczęścia córki swey uczestnikiem, a my oboje dziećmi iego. Spuść przywiązaniu moiemu staranie ułagodzenia go, i cieszenia, przybliż się, dozwól mi zbierać łzy twoie, dozwól na twe łono moim upadać, wszak to są łzy radości, wszakże to łzy rokoszy. Niebezpieczny *Luzy* połączaił z tą mową wszystkie sidlenia ponęty, na które piękna *Lauretta* beczuła bydź nie mogła: lecz oyciec niespokoiny, zasnucony, szukaiący córki, przywołuiący iey wielkim krzykiem, pytaiący się o nią wsi całej, nie widzący iey w wieczór, powracaiąc stroskany, rozpaczaiący, że ią zgubił, ach! ten to obraz umysłowi iey przytomny zastanawiał ią i mieszał nieustannie. Trzeba było żal iey oszukać.

Luzy pędził końmi swoiemi, franki powozu spuszczone były, ludzie iego pewni i wierni, a *Lauretta* ucieczki swojej śladu nie zostawiła. Istotną bowiem rzeczą *Luzemu* było taić to pochwycę-

nie. Wysłał jednego z służących z rozkazem oddania Plebanowi wsi *Coulange* z miejsca od drogi odległego następujący bilet, w którego napisaniu *Luzy* rękę odmienił: „Powiedz WPan oycu „*Lauretty*, niechay będzie spokojnym, „powiedz mu, że iey się dobrze „wodzi, że nakoniec Pani, która ią z „sobą wzięta, będzie dla niey staran- „ną iak dla własnego dziecięcia. Nie „zadługo uwiadomionym zostanie co „się z nią stało.”

Bilet ten najmnieyszey oycu nie-przynoszący pociechy, dostatecznym był wybić z głowy córce nieszczęśliwość iey wycieczki. Miłość przeięła iey duszę, otworzyła przystęp roskoszy, a wtenczas rozproszyły się chmury żalu, łzy oschły, wyrzekania żałosne uci-chnęły, i zapomnienie nie długo trwa-ło, lecz głębokie tego wszystkiego co iey kochankiem nie było, dało iey bez trwożenia się smakować, w winoway-cym szczęściu należenia do niego.

Osobliwy zapamiętania gatunek, wktó-ry wpadła przybywając do *Paryża*, do-

kończył obłąkiwać iey duszę. Dom iey był czarodzieystwa pałacem, wszystko tam mocy urzekania postać miało. Ła-źnia, gotowalnia, wieczerze, spoczywa-nia naywysmienitsze, któremi ią szczę-śliwiła miłość, wszystko to były różnio-ne zawsze postawy, w które się przy-bierała lubieżność na usidlenie iey za wszystkich zmysłów pomocą. Przebu-dzona rozumiała, że ią ieszcze sen zwo-dzi. Wstając widziała się otoczoną ko-bietami równie pilnemi w służeniu iey, iak zazdrośnemi sobie w przypodobaniu się Pani. Tey co zawsze tylko posłu-szną bydlę umiała, nie trzeba było iak żądać, żeby natychmiast bydlę usłużoną. Jesteś tutaj Królową, powiedział iey kochanek, a ja pierwszym niewolnikiem twoim.

Wystaw sobie, ieżeli można, zdumie-nie i nadzwyczajną pociechę młodey i prostey wieśniaczki, gdy widziała czar-ne włosy tak niedbale dotychczas wią-zane, i których natura sama zapletała zagięcia, ukrąglaiające się w bukle pod zakręceniem sztuki, uniesione naksztatt

mitry kwieciami i dyamentami posianey: gdy zobaczyła rozłożone naydobrańsze przed oczyma ubiory, które wszystkie o wybór iey dopominać się zdawały; gdy nakoniec spostrzegła piękność swoją iak z zachmury w promieniach występującą i w świetnych odradzającą zwierciadłach, które otaczając ją rozmnażały. Natura wylała na nią wszystkie powaby swoje, ale niektóre z tych darów potrzebowały uprawy i przeto talenta naciskiem dobiegały się o staranie oświecenia iey i chwałę przyozdobienia. *Luzy* posiadał, adorował zdobyć swoją poioną kochaniem i radością.

Z tym wszystkim dobry *Bazyli* był naynieszczęśliwszym z ojców. Wyniosły, pełen honoru, a nadewszystko troskliwy o dobre imię córki, szukał iey, oczekiwał daremnie, niewyjawiając niespokojności swojej, i nikt na wsi o nieszczęściu iego uwiadomionym nie był. Pleban sam przyszedł go zaspokoić używając mu odebranego biletu, któremu *Bazyli* nie dał wiary; lecz nie wydając się Pasterzowi swemu z nieufno-

ścią: córka moja, rzekł, rozumna jest, lecz młoda, prosta i lekkowierna. Która zapewne z kobiet przyjąć ją w służbę zachciała, i do uprzedzenia oporów moich namówiła. Nie czyńmy gorszących plotek o tey młodego wieku płochości, dopuśćmy owszem wierzyć, że córka nie odstąpiła mnie iak za pozwoleniem moim. Sekret ten *W Pan* wiesz tylko, miej wzgląd na oycę i córkę. Pleban, człowiek roztropny i pożeźliwy zachował przyobiecane milczenie, lecz *Bazyli* pożerany żałością trawił w łzach dni i nocy. Cóż się z nią stało? mawiał. Kobietaż to jest, za którą się ona puściła? Możeż byż tak szalona, żeby córkę oycu wykradłszy, sama siebie pochwycciem uciążać miała? Nie, nie; zapewne iaki lubieżca zwiodł ją, zagubił. Ach! jeżeli go znajdę, krew moja albo krew iego zatrze moją obelgę. Udał się osobiście do wsi, z kądem biletu przyniesiono, a za wskazaniem Plebana doszedł tego, który się podjął poselstwa: dopytywał się, ale nie z niego wyciągnąć nie mógł, procz opowiedzi

zakłóconych i pustych. Położenie mieysca nawet, od docieczenia go odwodziło. Sześciu milami oddalony był od gościńca, którym *Luzy* wyjechał, a do tego naprzeciw położoney drodze; ale chociażby *Bazyli* wyjazd Hrabiego wzięty z wycieczką córki, nigdyby nie podglądał tey zbrodni na tak cnotliwym młodzieńcu. Jako zaś nikomu żalu swego nie zwierzał, tak też i od nikogo obiaśnionym być nie mógł. Utyskiwał więc sam w sobie, oczekując iakiego światła, któreby to podeyrzenie sprawdziło: mój Boże! mawiał, w gniewie mi twoim ią dateś, a ja szalony chlubiłem się widząc ią rosnącą i piękniejącą. To co mię pysznym czyniło, hańbi mię teraz. Czemuż rodząc się nie umarła.

Lauretta usiłowała się przeświadczać, że oyciec iey był spokojny, i zmartwienie z odstąpienia go, bardzo ią już słabo troszczyło. Miłość, próżność, smak w roskoszach, ten smak tak żywy w swoim początku, staranie uprawiania swoich talentów, tysiąc nakoniec zabaw odmienianych nieustannie przeplatały

życie iey, i napełniały duszę. *Luzy* iak Bóstwo iakie ią kochający, obawiający się by mu iey nie wykradziono, najmniej ią ile możności wyprowadzał na widok światu, ale za to podawał iey wszystkie sposoby, które tajemność wynalazła, żeby nie byłą widoczną w porządku powszechności. Dosyć to było dla *Lauretty*; szczęśliwa podobaniem się ukochanemu sobie nie czuła tey niepokoyney żądzy, tey to potrzeby byłą widzianą i zadziwianą, która sama tyle pięknych kobiet wprowadza na ogrody i widowiska nasze. Chociaż *Luzy* wyborem szczupłego kochania godnych ludzi grona zabawnemi wieczery swoje czynił, *Lauretta* tam nim tylko zaprzętała się i bez zniechęcenia nikogo, umiała mu to oświadczyć.

Sztuka pogadzania szczególniejszych ulubień z grzecznością powszechną, jest sekretem dusz delikatnych; zalotność się w nim ćwiczyć i doskonalić zwykła, miłość go zna bez nauki.

Sześć miesięcy upłynęło w tym ścisłym związku, w tym porozumieniu dwóch

serc napelnionych sobą, i zatopionych wzajemnie, bez tęsknoty, bez niespokojności, bez innej zazdrości jak tej, która drzeć każe przed mniejszym podobaniem się nad miłość, i która wzbudza żądę potężniejszą w sobie tego wszystkiego, co serce usidlić może.

W tym czasie przeciągu oyciec *Lauretty* dwa razy wiadomość o córce swojej odebrał, z podarunkami od Damy, która ją do przyjaźni swej przypuściła. Do Proboszcza udawać się rozkazywał *Luzy*, i oddawane na pocztę wsi sąsiedzką przez doświadczonego sługę tłumoki przybywały nieznaczone przysyłające go imieniem; *Bazyliby* nie wiedział komu je odesłać, a opory w odbieraniu wątpiłby dały o tym, co chciał, żeby wierzone, zwłaszcza że się mocno obawiał, żeby Proboszcz tych samych co on nie miał podeyrzeń. Ach! mawiał ten dobry oyciec sam w sobie, może córka moja jest jeszcze dotąd uczciwą. Wszystkie ją obwiniają pozory, ależ to tylko pozory, gdyby zaś podeyrzenia moje sprawiedliwemi były, do mnie należa-

leża-

leżałoby utyskiwać na to, a nie hańbić własnego dziecięcia.

Bóg winien był jaką pociechą nadgrozić tak godnego oycę cnotę, i on to bez wątpienia dał początek okoliczności, o której się teraz dowiemy.

Mały handel wina prowadzony obowiązał *Bazylego* do *Paryża* przyjechać. Gdy to rozległe miasto przebywał, zastanowiło go karet miiłających się zaczepienie. Głos przełęcznioney kobiety, pociągnął uwagę jego. Widzi oczom swym wierzyć nie śmie Widzi *Laurette* córkę swoją w powozie złotem i taflami kryształu iśniejącym, dyamentami uwienioną, w suknie przybraną wspaniałe. Oyciechy iey był nie poznał, gdyby spostrzegając go, pomieszana i nagłym zdumieniem objęta nie cofnęła się i twarzy nie zakryła. Po ruszeniu na skrycie się użytym, a bardziey jeszcze po wydanym krzyku, nie mógł wątpić żeby to nie ona była. Podczas gdy zawadzone odpierano powozy, *Bazyli* wsuwa się między mur i karetę córkę, wstępuje do drzwi i tonem sur-

Tom III.

K

wym rzecz: Gdzie mieszkasz? *Lauretta* przerażona i drżąca powiedziała swoje mieszkanie. A pod jakim (spytał iey imieniem) znaną jesteś? Zowią mię *Coulange*, odpowiedziała spuszczaiąc oczy, od nazwiska miejsca urodzenia moiego. — Twego urodzenia! Ach! nieśczęśliwa, dziś w wieczór o zachodzie słońca bądź u siebie, i sama. To wyrzekłszy zstąpił i udał się w swą drogę.

Zadziwienie odurzające, w które wpadła *Lauretta*, jeszcze rozproszone nie było, gdy się w domu swym zobaczyła. *Luzy* wieczerał na wsi, a biedna *Lauretta* widziała się samey sobie zostawioną tej chwili, kiedy iey najwięcej wsparcia było potrzeba. Przychodziło stanąć przed oycem zdradzonym, odstąpionym, obarczonym żalem i hańbą; cała ta zbrodnia iey wydawała się w nayobmierzliwszej postaci. Lichość stanu swego dobrze iey była znaiomą. Zasłепienie miłości, ponęty nieustannej rokoszy oddaliły tego wyobrażenie, lecz skoro zastona spadła, spostrzegła się

bydź taką, iaką w oczach oycy, iaką w oczach świata widoczną była. Przestraszona roztrząsaniem i sądem, któremu przychodziło podpaść; nieśczęśliwa, krzyczała łzy wylewając, gdzie się udać! gdzie się zakopać! Oyciec mój, uczciwość sama, znajduie mię obłąkaną, wydaną zbrodni z człowiekiem, który mi niczym nie jest! o oycze mój! sędzio straszliwy! iakże się oczom twoim pokażę? Kilka razy przyszło iey na myśl schronić go się i umknąć, ale występek nie zatarł jeszcze w iey duszy praw świętych przyrodzenia. Jabył go miała do rozpacz przywozic, rzecz, i zasłużywszy na sprawiedliwą nagane ściągać na siebie przeklętwo! Nie, choć niegodna imienia córki tego, będę to święte imię poważać. Choćby przyszedł własną ręką mię zabić, upaść mu do nóg, i śmiertelnego razu oczekiwać powinnam. Ale nie, oyciec jest zawsze oycem; mój łzami memi wzruszony będzie. Wiek, ułomność moja, miłość Hrabiego, iego dobrodzieystwa, wszy-

stko mię wymawia, a kiedy *Luzy* przemówi, nie będę już wtedy tak winną.

Byłaby śmiertelnie stroskaną, gdyby ludzie iey świadkami byli sceny dział się mającej. Szczęściem zapowiedziała im, że u jednej z swych przyjaciółek wieczerać będzie, i przeto służące tego wieczora pozwolenie rozrywki dla siebie otrzymały. Łatwo iey także było dwóch lokaiów oddalić, co za nią dnia tego iezdzili; oyciec przybył, ona go sama przyjęła.

Czy samaś tu jest? rzecze. — Sama mój oycze. Wszedł z poruszeniem, i popatrzywszy iey w twarz w smutnym i ponurym milczeniu, co tu robisz? spytał. Paść mu do nóg i oblać je łzami, było odpowiedzią *Lauretty*. Widzę, (rzekł oyciec obracając około siebie oczy, w tym pokoju, gdzie wszystko oznaczało bogactwa i zbytek) widzę, że występność ma w tym mieście wygodę. Mogęż wiedzieć kto się podjął w tak krótkim czasie cię ubogacić, i od kogo masz te sprzęty; te suknie, ten piękny

powóz, w którym cię dzisiaj widziałem? *Lauretta* tu nie odpowiedziała jeszcze iak płaczem i łkaniami. Mów teraz, (rzekł) potym się napłaczesz; wszystko czas będziesz miała do tego.

Przy opowiadaniu tej całej awantury swojej, w której nie nie pokryła, *Bazyli* zadziwiany zrazu, gniewem się zapalać począł. *Luzy*, rzekł, tenże to pocziwy człowiek! Otóż takie są cnoty Panów! Nikczemnik! dając mi swoje złoto, myślałże on, iż mi córkę zapłaci? Rozumię, pyszni bogacze, że honor ubogich ludzi jest rzeczą lichą, że nędza go przedaynym czyni. Podchlebiał sobie, że mnie pocieszy! tobie obiecywał tóż samo! Człowiek wyrodny! patrz iak mało zna oycowską duszę! Tak, od pókim cię stracił, dopóty nie miałem momentu bez żałości, nie miałem ćwierci godziny pogodnego spoczynku. Dzień, ziemia którą uprawiał, łzami moimi moczona była; noc, podczas gdyś ty zapomniiała o sobie, kiedyś ginęła w rokoszach, oyciec twój wyciągniony na słomie rwał włosy i

wielkim krzykiem cię wywoływał. I iakże, nigdyż ięczenia moje o twą nie obity się duszę? Obraz stroskanego oycy nigdyż ci nie stanął w myśli, nigdyż pokoju twego nie zmieszał?

Ach! Bóg mi świadkiem, rzekła, iż gdybym wiedziała, żeć tyle umartwienia sprawię, wszystko porzuciwszy leciałabym na łono twoje. Szanuję cię, kocham, kocham bardziej niż kiedy. Przebóg! iakiegoż ja oycy strapiłam. Tego nawet momentu, gdy w nim nieubłaganego sędzie znaleźć myślałam, nie słyszę z ust twoich iak pełne łagodności gromienia. Ach! oycze mój! padając do nóg twoich nie czułam iak wstyd i boiaźń, lecz teraz przywiązaniem naysprzecymieyszym widzisz mię przelnioną; do łez żalu łączą się trzy miłości: Odżyłem! znajdnię straconą córkę, zawołał podnosząc ją *Bazyli*. Córkę twoją? Przebóg, mówiła *Lauretta*, córka ta niegodna ciebie. — Nie, nie trać serca, honor *Lauretto* jest wielkim dobrem zapewne; niewinność jest dobrem ięszcze większym; gdyb' mi w' bór czy-

nić przyszło, wołałbym nierównie bardziej widzieć cię życie tracącą. Lecz gdy teraz i niewinność i honor są ci odjęte, zostaje ięszcze szacowne dobro, a tym jest cnota, która nigdy nie ginie, którey nikt bez sposobu odzyskania nie traci. Chcieć tylko trzeba, ona się odradza w duszy, wtenczas nawet gdy się zatłumioną bydz' zdaje, iedna szczególnie zgryzota, ieden głos sumnienia przywraca ją natychmiast. Otóż masz córko moja, czym się pocieszyć po niewinności utracie, i jeżeli żal twój jest szczery, Bóg twój i oyciec są uspokojeni. Nikt nakoniec na wsi twego przypadku nie wie, możesz się tam znowu bez wszelkiego powrócić wstydu. — Gdzie mój oycze? — Do *Contange*, tam cię zaprowadzić myślę. (Te słowa obarczyły *Laurettę*) śpiesz się, mówił dalej *Bazyli*, śpiesz się zrzucić te ozdoby występku. Płótno iednostayne, prosty gorset, spodniczka biała oto są ubiory stanu twoiego. Te zaś iadem zarażone dary porzuc' tu nieszczęśliwemu, który cię uwiodł, i pójdz' zemną bez dalszey przewłoki.

Trzebaby teraz mieć duszę czułą i lękliwą *Lauretty*, kochać iak ona i oycę i kochanka, żeby pojąć, żeby czuć walkę w słabym iey sercu wszczętą między przyrodzeniem i miłością. Pomieszanie i zadumienie umysłu iey, nieruchomą i niemą ią uczyniło. Pójdźmy, mówił oyciec, czas nam jest drogi. Wybacz, krzyknęła *Lauretta* padając znowu na kolana przed nim, wybacz mój oycze nie urażay się, jeżeli tak leniwo posłuszną jestem. Czytałeś w głębi mey duszy. Brak wprawdzie *Luzemu* imienia mego małżonka, lecz wszystkie prawa, któremi miłość naysczulsza zobowiązać może, te wszystkie ma nademną. Chcę go odstąpić, odłączyć mię od niego, iść z oycem moim, iść z tobą gotowa jestem; chociażby mi ztąd umrzeć przyszło. Ale uciekać w niebytności iego, zostawić go w rozumieniu, że jest zdradzony odemnie! — Co mówisz nieszczęśliwa? a cóż cię obchodzi podłego zwodziciela mniemanie? Jakież mogą być prawa tej miłości, która cię zgubiła i zbezczeszcza? kochasz go! więc kochasz hańbę

twoją; więc przekładasz niegodne dobrodziejstwa iego nad niewinność, którą ci wydarł? więc nad oycę przekładasz nayokrutniejszego z twych nieprzyjaciół? Nie śmiesz w niebytności iego odstąpić, nie śmiesz Hrabie bez wiedzy iego opuścić. Ach! kiedyć przychodziło opuszczać oycę, uciemiężyć, do rozpaczę go przywieść, nie bytaś tak lękliwą. Czegoż od twego oczekujesz łupieżcy? żeby cię bronił! żeby cię z pod zwierzchności oycowskiej wyrwał? ach! niech przyidzie, niech się ośmieli ztąd mię wypędzić; chociaż sam jestem, bez broni, choć osłabiony wiekiem, iednak na progu drzwi waszych rozciągnionego mię zobaczycie, wzywającego zemsty od Boga i od ludzi. Sam twój kochanek chcąc przeysć do ciebie, będzie musiał chodzić po ciele moim, a przechodnie w okropności rzekną: Oto oyciec iey, którego się ona wypiera, którego iey kochanek depce nogami swemi.

Ach! oycze mój! mówiła, obrazem tym przełęczniona *Lauretta*, iakże mało znasz

tego, kogo tak okrutnie znieważasz! Nie nad Hrabie łagodniejszego, nie nadeń tkliwszego nie jest. Będiesz mu szanownym i czei godnym. — Smieszże mi przyrzekać poszanowanie od człowieka, który mię tak dolegliwie bezczęści? Spodziewaszże się, iż on mię zdradziecko łagodnością swoją utłudzi? Nie chcę go widzieć, jeżeli ty ręczysz za nim, ja za sobą nie ręczę. — Dobrze, nie widz go WPan, ale pozwól bym ja go przynajmniej zobaczyć. — Czegoż ty po mnie wyciągasz? Jazbym cię z nim miał samą zostawić! Ach choćby mi śmiało życie wydrzeć, nie byłbym mu tak dogadzałym. Ile miał łatwości wykraść mi ciebie, było to zbrodnią jego, zbrodnią twoją, iam za nią odpowiadać nie był powinien; ale teraz niebo pod straż mi córkę powraca, i od tego momentu sprawić mu się za nią będzie potrzeba. Pójdźmy córko moja, pójdźmy, bo czas odejścia ztąd już w późną noc zapłynął; przedsięweź albo wyrzec się oycy, albo mu bądź posłuszną. — Serce mi przeszywasz. — Słuchaj mię, albo się

lękay mego przeklęstwa. Na te straszliwe słowa drżąc *Lauretta*, odpowiedzieć mocy nie miała. Rozbiera się w oczach oycowskich, kładzie nie bez wylania też prostą suknią, iaką iey był przepisał: Oycze mój, mając iść za nim rzekła, mogęż mieć śmiałość w nadgrodzie postuszeństwa mego prosić cię o iadną łaskę? Nie chcesz śmierci tego, kogoć poświęcam, kogo porzucam dla ciebie. Dozwól mi dwa słowa napisać,awiadomić go, iż tobie posłuszną jestem, i że WPan sam obowiązujesz mię do wyścia z sobą. — Czyż nie dla tego, żeby jeszcze raz wykraść lub wydrzeć mi cię przyszedł? nie, żadnego po tobie śladu zostawić nie chcę. Niechay umrze ze wstydu, sprawiedliwie uczyni; — ale z miłości? — Oddal tę boiaźń, rozpustnicy dla niej nie umierają. Wtedy biorąc córkę za rękę wyszedł po cichu, a nazajutrz rano *Sekwana* się puściwszy, powrócił do swojej ziemi.

Po północy do owego domu przybywa *Luzy*, gdzie sobie podchlebiał, iż go oczekuje roszk i miłość wzywa,

lecz przeciwnie tam wszystko w trwodze i zamieszaniu było.

Ludzie *Lauretty* oznajmują mu z strachem, iż nie wiedzą co się z nią stało, iż iey szukano daremnie, iż usiłowała wszystkich z domu oddalić, chwytając się momentu niebytności służących dla uyscia przed ich baczeniem; iż u swey nie wieczerała przyjaciółki, że naostatek, wyjeżdżając zostawiła nawet klejnoty, nawet suknię tego dnia na sobie mianą.

Trzeba iey wyglądać, rzekł *Luzy* po długim milczeniu. Nie kładźcie się tey nocy; w tym przypadku jest coś nie zrozumianego.

Miłość trwożliwa szukając sposobu podchlebiania sobie, zaczęła od wniosków z domysłu wypływających, któreby mogły wymówić *Laurettę*, lecz wszystkie z prawdy ogołoczone znalazłszy, udał się do najokrutniejszych podeyrzeń. Przypadek poniewolny mógł ią być wprawdzie opóźnić, lecz rozebrać się samey w niebytności służących, wymknąć się o zmierzchu, zostawić w nie-

spokojności dom cały, wszystko to, mówił, iawnie mi oznacza, rozmyśloną ucieczkę. Czy ią nieba skruszyły? czy ią weyrzenie w siebie do odstąpienia mnie skłoniło? Ach! czemuż tego przynajmniej wierzyć nie mogę! wszak gdyby się uczciwey chwyciła drogi, zlitowałaaby się nademną, napisałaaby mi chociaż tylko dwa słowa pociechy i pożegnania. List nie byłby iey zdradził, a mnieby uchronił od podeyrzeń, któremi obarczony iestem, a ona upośledzoną. *Lauretta!* o nieba, sama prostota, szczerość, sama niewinność, prawda sama! *Lauretta* niewierna, wiarołomna, ona? co dziś rano jeszcze... Nie; wierzyć temu niepodobna... jednak to niezawodna prawda. Każda chwila, każda rozwaga była zawsze nowym przekonaniem dla niego, nadzieia jednak i zaufanie nie mogły mu z serca ustąpić. Tak walczył z przeświadczeniem się, iak człowiek konający ze śmiercią. Gdyby też powróciła wierną i niewinną! ach wtedy małątek mój, życie moje, miłość wszystka byłaby dostate-

czną do nadgrodzienia obelgi, którą iey czynię. Jakążbym miał roszkosh w wyznaniu się winnym, iakież zapłaty, iakie tzy zgładziłyby zbrodnie uskarżania się na nią! Przebóg! nie śmiem sobie podchlebiać, żem niesprawiedliwy w tey mierze, nie! nie dosyć szczęśliwy iestem. Nie masz nikogo ktoby w niespokojności i gorącu oczekiwania nie doznał w *Paryżu* srogiey męki słuchania hałasu przejeżdżających karet, które wszystkie biorą się za spodziewaną, i z których jedna za drugą przebiega i odieżdżając porywa z sobą nadzieię, którey dała początek. Nieszczęśliwy *Luzy* aż do trzeciey godziny w tey okrutney niepewności zostawał. Każdy posłyszany powóz był może tym co *Laurette* odwoził; tyle razy zwiedzione spodziewane miejsce straskanu ustąpiło. Zdradzony iestem, mówił, już dłużej wątpić nie mogę. Jest to zmówka skrycie przedemną uknowana. Pieszczoty wiarołomstwa nie przydały się iak żeby go lepiej zastonić. Rostrośnie sobie obratno ten dzień, kiedym

wieczerał na wsi. Wszystko zostawiła, a to żeby mi dać poznać, iż darów moich więcej nie potrzebuie. Bez wątpienia inny ią niemi obarcza. Wstydzilaby się mieć co odemnie i naystabszy miłości moiey zastaw, bez przestankuby iey zdradę, iey niewdzięczność wyrzucał. Chce mnie zapomnieć na oddanie się w pokoju temu, którego mi przekłada. Ach! spodzieważe się wiarołomna znaleźć, ktoby ią tak iak ią kochał! Nadtom się do niey przywiązał, nadtom się w niey zatopił, nadtom iey ufał! Ządze iey, uprzedzane niestanie, wygasły. Otóż to takie są kobiety. Tesknią sobie we wszystkim, a nawet i w byciu zupełnie szczęśliwemi. Możeszże nią bydz zdrayczyno? możeszże nią bydz wspominając na mnie? Na mnie! co mówię? cóż i obchodzi miłość lub utyskiwania moie? Ach! podczas gdy mi trudno krzyki moie zatrzymać, gdy łoże iey łzami moimi zalewam, inny może ... to wyobrażenie iest straszliwe, znieść go nie mogę. Poznam ią tego rywala, i jeżeli głównia w mym

sercu się żarząca, przed dniem mię nie pożarła, pewnie bez zemsty nie umrę. Jest to bez wątplenia który z tych fałszywych przyjaciół, których nierostrośnie do niey przyciągałem. Może że *Soligny* gdyśmy ią we wsi widzieli, zdjęty był miłością ku niey prostą była i szczerą wtedy. Jakże się odmieniła! Chciał ią odwiedzić, a ią łaty i ufałacy, rozumiejąc bydz kochanym nie myślałem, iż rzecz podobna, żeby *Laurette* niewierną była, mego iey przyprowadzałem rywala. Może się zwodzę; iednakowoż na niego te podeyżenia padają. Bieźmy oświecić się natychmiast. Pójdź za mną, rzekł do iednego z służących ledwie tylko co świtać zaczynało, gdy kołając we drzwi *Solignego*, *Luzy* domagał się z nim widzieć. Nie masz go tu Mospanie, odpowiedział Szwaycar. — Nie masz go! — Nie Mci Panie, jest na wsi — a od iakiego czasu? — Od wczorayszego wieczora. — O którey godzinie? — O zmierzchu. — Cóż to jest za wieś, do którey on pojechał? — Co tego to nikt nie wie; tyl.

tylko pokojowego wziął z sobą. — A w iakiey karecie? — w swojej *vis-à-vis*. — Długąz będzie niebytność iego? — nie powróci aż za dni piętnaście; zlecił mi straż listów swoich. — Skoro tedy powróci, powiesz mu, żem tu był, i widzieć się z nim żądałem.

Otóż teraz, mówił wychodząc, otóż przekonany iestem. Wszystko się z domysłem moim zgadza. Nic mi iuż nie zostaje iak odkryć, w iakie się miejsce schronili. Z rąk mu ią wyrwę, zdraycy! i będę miał pociechę obmyć w krwi nieprzyjaciela moją obelgę i zdradę iego.

Wszystkie wywiady Hrabie mu niepożyteczne były. Podróż *Solignego* była tajemnicą niedocieczoną, i tak przez dni piętnaście udręczenia doznawać musiał, a przeświadczenie zupełne, iż *Soligny* był łupieżcą, odwróciło od niego wszystkie inne wyobrażenia.

Niecierpliwy dowiadywał się co rano o powrocie swego rywala; aż naostatek oznajmiono mu przyjazd iego. Przypada ku niemu zapalony gniewem, i grzeczne *Solignego* przywitanie jeszcze go

bardziej oburzyło. Mój kochany Hrabio, rzecze mu ten zacie urodzony kawaler, domagałeś się WPan z wielkim naleganiem widzieć zemną, cóż jest czym mu usłużyć mogę? wybawieniem mię, odpowiedział *Luzy* błędniejąc, albo od życia, które mi jest obmierzone, albo od rywala, którego nienawidzę. Porwał mi moją kochankę, nie zostawić nie więcej, jak tylko wydrzeć mi serce. — Mój przyjacielu, taką też i ja mam jak ty ochotę gardła sobie poderznąć: bom przywiedziony do złości najokrutniejszym sposobem; ale z tobą nie chcę mieć do czynienia, choć ci się tak podoba. Zaczniemy lepiej od wystuchania się wzajemnie. Powiadasz, że ci porwano *Laurette*, zmartwiony jestem; była to śliczna dziewczyna, ale na honor ci przysięgam, iż nie iam ją pochwyć. Nie rozumiey, iż się ostrożnością w podobnym razie zaszczytam; co się owszem kochania tyczy, przebaczam przyjacielom moim i sam sobie pozwalam małe łupieństwa przemiliujące; chociaż cię zaś z całego serca kocham, gdyby *Laurette*

chciała cię prędkiej dla mnie iak dla kogo innego oszukać, nie byłbym z nią okrutnym. Co do wykradzenia, na te się nie odważam, jest to rzeczą większej wagi cokolwiek, i jeżeli nie masz innej zabicia mię przyczyny, radzę ci zostawić mię przy życiu i ieść dziś zemną śniadanie. Chociaż ta mowa jego, rzetelnością tchnąc zdawała się, *Luzy* nie porzucił jeszcze podeyrzeń swoich. Zniknął WPan, rzecze, tego samego wieczora, teyże samey godziny, tańczył się przez dni piętnaście, wiem oprocz tego żeś ją kochał, żeś miał jeszcze natenczas pochwyć ją ochotę, gdy ja ją z sobą wziąłem.

Szczęśliwyś ty prawdziwie, powiedział mu *Soligny*, iż mimo honoru, iaki mię teraz ogarnął, dosyć cię kocham, dla sprawienia się jeszcze. *Laurette* tegoż co i ja wyjechała wieczora, przeciwko temu nie mam co odpowiedzieć, jest to jedna z tych fatalnie zaszkłych okoliczności, co intrygi romansowe składa. Znalazłem w moich oczach *Laurette* piękną iak anioła, ani wątpić, że do

niey miałem trochę pożądlivą ochotę; ależ ieżeli się rzezać chcesz z temi wszystkimi, którzy teyże przygody doznali, żal mi prawdziwie większy połowy *Paryża*. Nayważniejszy tedy sęk iest podobno tajemność podróży i niebytności moiey? Oh kiedy to tylko, zaraz ci się usprawiedliwię.

Kochałem Panią *de Blanson*, albo raczej iey dobra, iey urodzenie, iey więtość u dworu; bo za tą kobietą wszystko mówi, oprócz niey samey. Wiesz dobrze, że ani iest młoda, ani piękna, ale za to nadzwyczajnie czuła, i do rozpalenia się łatwa. Wskórałem zatym upodobać się iey, i nie widziałem nie-
możności bydz co się zowie szczęśliwym bez doyscia aż do małżeństwa. Ale małżeństwo było koncem moim i za pośrednictwem tey to lęklivosti uniżoney, która się od miłości delikatney nie odłącza, wymykałem się ze wszelkich zdarzeń na złe użycia iey słabości. Tyle, iak nayskromniejszego utrzymania mieszało ją w spodziewaniach. Nie widziałam (mówiła) tak boiaźliwego,

tak nieświadomego człowieka. Zachowywałem wstydlivość młodey dziewczyny, i byłem do niecierpliwości przywodzącym. Nie powiem ci całego obrotu przez trzy miesiące używanego w dawaniu się zaczepić bez poddania się, ale mi wierzyć możesz, iż nigdy zalotnica naydoświadczeńsza tyle nie uczyniła, dla zaniecenia żądz daremnych: postępowanie moje było dziełem na przykład rostopności, lecz cóż ztąd, kiedy wdowka moja zręcznieyszą ieszcze była. Dałem się iey oszukać; tak przyjacielu; podeszła lekkowierną niewinność moją; widząc, że się zemną podług przepisów własnego iey doświadczenia spotkać potrzeba, wspomniła mi o małżeństwie. Nic pożyteczniejszego nad iey stan, iey położenie. Dobr iey używać wolno mi było zupełnie. Jedna tylko ieszcze trudność zawadzała, zbyt byłem młody, a charakter mój nie był iey dosyć znaiomy. Na doświadczenie nas, namówiła mię przepędzić z sobą razem kilka czasów na wsi sam na sam. Piętnaście dni osobności, swo-

body, wolności, rzekła, więcęcy u mnie do poznania się należytego ważą, niż dwa lata życia w *Paryżu*. Wpadłem iey w sidła; tak sztucznie około tey pracy zawinęła się, iż zapomniałem postanowienia mego. Jakże człowiek ułomny! iak naymniey nie mogący ufać sobie! Wwiązany w rolę męża, musiałem ią utrzymywać, i w samey rzeczy dałem o sobie ile można naylepsze rozumienie; lecz wkrótce zdało się Jeymość Pani *de Blanson*, iż widzi słabiejącą miłość moią. Daremniem powtarzał, iż nieodmienną była; odpowiedziała mi na to, iż iey próżnemi słowami zwodzić nie można, iż bardzo oczywiście zmienność moję widziała. Tego rana nakoniec przebudziąc się, odebrałem odpawę następującą: ręką iey napisana, patrz, na niczym iey nie zbywa: „ To słabe zdań „ WPana doświadczenie, którem uczyniła teraz, dostateczne jest dla mnie. „ Wyiechdżay WPan, kiedy mu się podobą. Chcę męża, którego by usilności nie rozwalniały się nigdy, który by mnie kochał zawsze i zawsze ię

„ dnakowo. „ Jakże? uczyniłem ci zadosyć? ... Otóż to taka jest ta moia przygoda. Widzisz ią wcale niepodobną do tey, którą mi przypisywałeś. Porwano mię tak, iak twoią *Laurette*, day Boże! przyjacielu, żeby z nią tego, co zemną nie uczyniono. Teraz tedy gdy od podeyrzenia na mnie, jesteś odwiedziony, powiedz czy nie masz jeszcze innego? Ginę w nich, odpowiedział *Luzy*; przebacż żalowi memu, moiey miłości i rozpaczy te kroki, do których mię teraz przynagliły. Zartujesz sobie, odpowiedział *Soligny*, nie sprawiedliwszego. Gdybym był wziął twoią kochankę, trzebaby ci się sprawić, i słusznie; ale ponieważ tak się nie stało, tym lepiey, bądźmy sobie dobrzy przyjaciele. Chcesz śniadać? — Chcę umrzeć. — Byłoby to rzeczą trochę gwałtowną, trzeba to lekarstwo zachować na groźniejsze nie-szczęścia. Twoia *Lauretta* jest ładna, chociaż z niey trochę ladaco; staray się ią odzyskać, szkoda żeby zginęła; jeżeli zaś tey nie znaydziesz, radzę postarać się o inną, i iak można nayprędzey.

Podczas gdy rozpaczający *Luzy* siłą pełną ręką pieniędze, dla znalezienia śladów *Lauretty*, ona przy oycu optakiwała błąd swój, albo raczej kochanka.

Bazyli powiedział być na wsi, iż nie mógł się obejść bez córki i przeto szukać iey poszedł. Tam ją piękniejszą jeszcze znaleziono. Wdzięki iey rozkwitnęły; w oczach nawet wieśniaków to, co się miną *Paryzką* zowie, nowych iey przydało powabów. Upragnione żądze starających się o nią chłopców odnowiły się i coraz żywszemi stawały. Lecz oyciec iey wszystkim odmawiał. Nigdy, rzekł, za życia mego za mąż nie pójdiesz; nikogo oszukać nie chcę. *Pracuy* i razem płacz zemną. Odesłałem niegodnemu kochankowi twemu, wszystko cokolwiek mi dał. Nie nam już od niego prócz wstydu nie zostało. *Lauretta* pokorna i podlegająca, była posłuszną oycu bez utyskiwania, bez ośmienia się podnieść nań oczu. Było to dla niey biedą niepoiętą wnieść znowu w nałóg niedostatku i pracy. Spulechniać i słabe iey nogi najmniejsza rzecz ra-

niła, pieszczone ręce iey pokaleczone zsiniały; ależ to te przykrości były jeszcze znośnemi. Dolegliwości ciała nieczym są, mówiła ięząc; te które duszę trapią, okrutniejsze są nierównie.

Choć *Luzy* był iey nieustannie przytomny, choć serce iey od niego odczepić się nie mogło, nie miała jednak ani woli ani nadziei powrócenia do niego. Wiedziała iaką gorycz obłąkanie iey na życie nieszczęśliwego oycy rozlało, tak dalece to czuła, iż gdyby iey nawet wolno go było odstąpić, nigdyby nie pozwoliła na to. Lecz obraz żałości, w iakiej swego zostawiła kochanka, śledził za nią, i ustawiczną zadawał mękę. Prawo które miał uskarżać się na iey wiarołomstwo i niewdzięczność, nową dla niey było katuszą. — Gdybym mu przynajmniej mogła napisać! Ale cóż kiedy mi ani wolności, ani sposobu nie dopuszczają. Mało jest *Luzego* opuścić, chcą żebym zapomniała o nim; sama się pierwej zapomnę! zarówno mi jest zapomnieć go niepodobna, iak nienawidzić. Jeżeli zawinił, miłość tego przy-

czyną, i nie do mnie ukarać go należy. W tym wszystkim co czynił, nie widział jak szczęście moje, jak szczęście oycza meiego. Sam się zawiodł, mnie obłąkał; ależ w iego wieku kochać tylko człek umie. Tak; winnam iest iemu, winnam sama sobie objaśnić go o postąpieniu moim, i w tym tylko oyciec mój usłuchany nie będzie. Trudnością już tylko było dostarczyć sobie sposobność napisania, lecz oyciec poniewolnie i niechęcący oszczędził iey to staranie.

Jednego wieczora *Luzy* powracając nadzwyczajnie smutny do domu, odbiera bezimienny tłomoczek. Ręka i podpis znajome mu nie były, ale po pieczęci dość się mógł dorozumieć. Otwiera z porywcznością, rozeznaje *Bazylemu* dany worek z pięćdziesiąt w nim liudorami i dwie podobne summy, które mu był odesłał. Widzę, rzekł, wszystko; wydano mnie. Rozgniewany oyciec odsyła dary moje. Wyniosły i surowy, jak iego zaznałem, skoro się o mieyscu bytności córki dowiedział, nieochybnie przybył iey szukać, i do iścia z sobą

przymusił. Zgromadza tegoż momentu ludzi służących *Laurette*, pyta ich, usiłując dociec, ieżeli z nich który nie widział u niey wieśniaka, iakiego im określa. Jeden z nich pamiętał, iż w samey rzeczy tego dnia kiedy odeszła, człowiek ze wszystkim temu podobny, którego opisuie *Hrabia*, wstąpił do drzwi powozu *Lauretty* i mówił z nią przez moment. Daley, szybko zawołał *Luzy*, przyprządź konie pocztowe do mey kolski.

Drugiey zaraz nocy, przybywszy o kilka mil przed *Coulange* kazał się za wieśniaka przebrać człowiekowi z sobą wziętemu, i wystanego oczekując, umyślił małym zasilić się spoczynkiem. Ale iestże spoczynek dla amanta w tak gwałtownym położeniu zostającego? Liczył długie minuty od wyjazdu postąńca aż do powrotu iego.

Mości Panie, mówił, ten służący przybywszy, dobre mu przywożę nowiny! *Lauretta* iest w *Coulange* przy oycu. — Ach! żyć zaczynam. — Mówią nawet o iey małżeństwie. — O iey małżeństwie?

.... Trzeba żebym się z nią widział. — Znajdziesz ją WPan w winnicy, cały tam dzień pracuje. — Nieba sprawiedliwe! cóż to za przykrość okrutna! Pójdźmy, będę się trzymał w utaieniu, ty zaś w wiejskim ubiorze upatruj momentu, kiedy się sama jedna znajdować będzie. Nie traćmy najmniejszej chwili i puszczajmy się w drogę.

Posłaniec *Luzego* szczerą mu prawdę powiedział. Podawała się *Laurette* partya dla stanu iey bogata, a *Xiędz Pleban* do przyięcia iey *Bazylego* namawiał.

Z tym wszystkim *Lauretta* pracowała w winnicy, myśląc iedynie o nieszczęśliwym kochanku. *Luzy* przybywa, spostrzega ją zdaleka, przybliża się ostrożnie, widzi ją samą, leci, i przybywając z niewypowiedzianą szybkością, ręce do niey wyciąga. Na łoskot między winnym liściem usłyszany, *Lauretta* podniosła głowę i obracając oczy, o Boże! zawołała napadnienie iey niespodziane, i radość odjęta moc mówienia; drżąc, już w iego ręku będąc, nie mogła nazwać go jeszcze. Ach!... *Luzy*!

WPan tu jesteś; otóż to to jest tylko o com Boga prosiła. Niewinna w oczach twoich, dość dla mnie, resztę nieszczęśliwości wytrzymam. Bądź zdrow, żegnaj cię ten raz na zawsze. Oddał się, żałuj *Lauretty*, o nic się ona nie uskarża na ciebie, będziesz iey kochanym aż do ostatniego westchnienia. Ja! krzyknął, przyciskając ją do piersi, iak gdyby mu ją kto jeszcze chciał wydzierać, ia ciebie mam odstąpić? O ty mnie samego nierozzerwana połowo! iazbym mógł żyć bez ciebie? ia! oddalony od ciebie! Nie, nie masz na ziemi tey mocy, któraby nas rozłączyć mogła. — Jest dla mnie iedna przemoc święta, a ta jest wola oycy mego. Ach! mój przyjacielu, gdybyś był wiedział tę głęboką żalność, w którą go ponurzyła moja ucieczka, tak tkliwy i tak dobry iak jesteś, oddałbyś mię był łzom iego. Od oycy powtornie mię porywać, albo nóż w sercu iego zatopić, byłoby mi zarówno. Nadto mię znasz dobrze, żebyś miał o to prosić *Laurettę*, nadto ludzki jesteś, żebyś sam tego miał pragnąć.

Strać nadzieję, którey i ja już nie mam. Dałyby to nieba bym pobłędzenie moje odpokutować mogła, lubo mi bardzo jest ciężko wyrzucać ie sobie na oczy. Zegnam cię, mówięc, oyciec może nadeydzie; straszliwą byłoby rzeczą, gdyby nas razem spotkał.

Tegoż momentu przybył *Bazyli*, a Hrabia przysunąwszy się o kilka kroków, rzucił się do kolan iego. Kto jesteś? czego żądasz? rzekł mu zadziwiony zrazu *Bazyli*. Lecz skoro nań wlepił swoje weyrzenia: nieszczęsny! cofając się zawołał, odeydz ztąd, odeydz, oczu mych nie urażay. — Nie. Skonam u nóg twoich, ieżeli mię wystuchać nie raczysz. — Zgubites ią, odiałeś honor córce, i śmiesz stawać przed oycem. — Jestem winowaycą, wyznaię, i oto iest czym mię ukarać, lecz ieżeli mię wystuchasz, tuszę sobie, iż się zlituiesz nademną. — Ach! rzekł *Bazyli* spoglądając na szpadę iego, gdybym był tak podłym, tak okrutnym iak ty iestes ... Patrz, mówił córce, iak iest nikczemna występność, iaką hańbę ciągnie za sobą, po-

nieważ obowiązue człowieka czołgać się u nóg rówiennika swojego i znosić iego pogardę. Gdybym nie był iak tylko występny, odpowiedział z wyniosłością *Luzy*, zamiast błagania cię, natrząsałbym się z mów twoich; nie przypisy upokorzenia mego, iak temu co nayuczciwszego i nayszlachetniejszego iest w przyrodzeniu, miłości, cnotcie samey, żądzy którą mam opłakać przewinienie, łatwe podobno do wybaczenia, i które ieżeli tak okrutnie sobie wyrzucam, to chyba dla tego tylko, iż nadto dobre mam serce. Wtenczas dopiero z wszelką czucia wymową silił się usprawiedliwić, przyznawaiąc wszystko żywym młodego wieku zapędom i gorącu swey namiętności.

Bardzo tedy świat iest szczęśliwy, odpowiedział *Bazyli*, że żądza pieniędzy nie iest namiętnością W Pana, byłbyś zapewne *Kartuszem* (struchlał na te słowa *Luzy*); tak *Kartuszem*. I za cóż nie? alboż nie iestes dość podłym do wierzenia, iż niewinność i honor mniey ważą niż bogactwa i życie? Nie

pożytkowałżeś z słabości, z niedołążności tej nieszczęśliwej, końcem zarwania iey tych dwóch nieoskarbionych kleynotów? a mnie oycu iey, myślisz, iż mniejsze złe wyrządziłeś, iak gdybyś mię był zamordował? Jeden *Kartusz*, ieden łotr w koło wpleciony bywa, bo kradnie dobra, bez których się obeysć można do życia, a ty? coś nam to wydał, co córka dobrze urodzona, co oyciec człowiek uczciwy nie mogą stracić bez śmierci, na cożeś ty zasłużył? Mówią żeś szlachcie, wierzysz, iż nim iesteś. Oto są sprawy tego szlachectwa, z którym się tak chlubicie. Właśnie tej chwili, kiedy najzłotliwszy człowiek litowałby się nademną, ty mię spotykasz, udajesz pożatowanie i mówisz w sercu: Oto jest nieszczęśliwy, który w świecie nie ma inney pociechy iak córkę swoją, ta jest iedynym dobrem od Boga mu zostawionym, intro mu ją wykradnę. Tak człowiecze wyrodny! tak zbrodniu! oto jest co się w twej duszy działo, a ja lekkowierny zadziwiałem się nad tobą, napetniałem

cię

cię błogostawieństwy, dopominałem się od Boga, żeby wszystkie życzenia twoje dopełnił, a te wszystkie życzenia dążyły do uwiedzenia mey córki. Co mówię? nieszczęśliwy! Powierzałem iey tobie, dałem iey biec za tobą, chociaż to wprawdzie było dla oddania ci tego złota, tego iadu, którym mię przepić myślałeś; zdawało się właśnie iakby mię Bóg przestrzegał, że dar twój szkodliwy był i zdradziecki; odpierałem tę myśl, to natchnienie; wziąłem się wierzyć żeś litosciwy, wspaniały, a tyś nie był iak zdrajcą, iak zakamieniałym człowiekiem; i ta ręka, którą bym był całował, łzami moimi pokrapiał, gotowała się wydrzeć mi serce. Patrz, mówił daley odkrywając łono swoje, i pokazując blizny, patrz, rzeczy, iakiego zniestawiłeś człowieka! Więcej wylałem krwi dla oyczyzny, niżli się w żyłach twoich znajduie, a ty niepożyteczny człowieku iakież cię zalecają czyny? Utrapić oycę, córkę znieważyc rozpustą, napuścić iadem dni iey i moje. Oto jest ta nieszczęśliwa

uwodzeń twoich ofiara, oto jest ta co dzisiaj we łzach moczy chleb, którym się żywi. Wychowana w prostocie niewinnego i pracowitego życia, słodziła w nim sobie, teraz iey jest obmierzłe. Pracę i ubostwo niecznościami iey uczyniłeś, straciła weselość razem z niewinnością swoją, i już iey niewolno więcej podnieść orzu bez zawstydzienia: Ale co mię do rozpacz przywodzi, czego nie wybaczę nigdy, to tego zapewne, iż mi zamknąłeś wstęp do serca mey córki, uczucia przyrodzenia w duszy iey wygasileś, uczyniłeś iey męką towarzyszenie z oycem, może już Przebóg! nie śmiem dokończyć może mię nienawidzi.

Ach oycze mój! zawołała *Lauretta*, która aż dotąd stała poniżona i wstydem pomieszana, przebóg! mój oycze, jest to zbyt surowo mię karać. Zastużyłam na wszystko wyjąwszy na wyrzucanie mi iżem cię kochać przestała. Te mówiąc słowa, leżała u nóg iego, których całowała ślady. *Luzy* sam przez zbytęk zmiękczenia rzucił się do nich. Oycze

mój, rzekł, wybacz iey, wybacz mi, uściskaj dzieci twoje; i jeżeli łupieżca *Lauretty* nie jest nadto niegodny imienia iey małżonka, zaklinam cię byś mi go nie odmówił.

Ten powrót do cnoty zmiękczyłby serce twardsze iak *Bazylego*. Gdyby był, rzecze, *Luzemu* inny sposób przywrócenia mi honoru i wam odzyskania niewinności, pewniebym na ten nie przystał. Ale ponieważ ten jest iedyny, przyjmuję go, bardziej nierównie dla was iak dla mnie, bo nie nie chcę, niczego od was nie oczekiwam, umrę uprawiając moją winnicę.

Mitość *Luzego* i *Lauretty* u stóp ołtarza poświęconą została. Wielu ludzi mówiło, iż wielką podłość uczynił, co bardzo chętnie przyznawał. Ależ to co mi przypisują za podłość, mówił, nie jest nią wcale. Do złe czynienia hańba jest przywiązana, nie do poprawy. Nie można było namówić *Bazylego* do porzucenia swojej ubogiej chaty. Wszystkich używszy środków na przyciągnięcie go do *Paryża*, J Pani *de Luzy*

otrzymała od męża wolność kupienia ziemi, wsi *Coulange* przyległej, a dobry oyciec dał się nakoniec namówić do przepędzenia tam ostatku dni sędziwych.

Dwa serca dla cnoty zrodzone niewypowiedzianie się cieszyły, iż ią straconą odzyskały. Żywe tych rokosz nieporównanych wyobrażeń, których używać poczęli, zgodność miłości z niewinnością nie im do żądania nie zostawiła, iak widzieć tak słodkiego zjednoczenia owoce. Bóg wysłuchał ślubów przyrodzenia i *Bazyli* przed śmiercią ścisnął wnuczęta swoje.

K O N I E C.

Z O N A

J A K I C H M A Ł O.

P O W I E Ś Ć M O R A L N A.

C Z Ę Ś Ć T R Z E C I A

T O M U I I I.



Z O N A
JAKICH MAŁO.
POWIEŚĆ MORALNA.

Używaj WPani wszystkich uciech w domu swoim; bądź w nim duszą i pieśszczą gószczących; ale się do niczego nie wdawaj.

Tak rozprawił od ósmiu lat, przepyszny *Meliſor* żonie ſwoiej. Takowa rada była przyjemna do wykonania; i dla tego młoda i żywa *Acelia* nie zaniedbała iey. Ale rozum przyszedłszy z wiekiem, rozpędził to omamienie, w którym zóstawiała.

Nieszczęściem było *Meliſora*, iż się urodził w bogactwach. Wychowany razem z młodzieżą szlachetną królestwa, zaszczycony wychodząc na świat zna-

cznym urzędem, był Panem dóbr swoich od czasu powzięcia rozumu; ten właśnie czas, był czasem błędów i nierozumu. Własność śmieszna rządząca nim ta była: że chciał żyć iak człowiek wysokiego urodzenia. Poufał się z wielkimi Panami, pilnie się uczył naśladować ich manier. A że wspaniałe i proste wdzięki ludzi prawdziwie dworskich nie są łatwe do przyjęcia; przywiązywał się do układności drobnych Panów, iako do najlepszych wzorów.

Byłoby dla niego wstydem, nie mieć do mówienia, *moje maieństwo*; *moi poddani*.... Zakupił więc za znaczną część pieniędzy dobra, których intrata była szczupła, ale prerogatywy obszerne i wspaniałe.

Słyszał o tym, iż wielcy Panowie miewają kommissarzy, którzy ich kradną; dłużników, którym nie płacą; i metressy, które ich zdradzają; miał więc za podłość słuchać rachunków, płacić długi, i być delikatnym w miłostkach swoich.

Starszy syn jego, ledwie doszedł siódmego roku, natychmiast był mu dany Ochmistrz, człowiek wiele o sobie mniemający a głupi; który inszey nie miał zalety, tylko że się z wdziękiem umiał kłaniać.

Ten Pan Ochmistrz miał za Protektora podchlebę *Melidora*, zwanego *Duranson*, człowieka hardego i podtego; podobnego do owych psów, którzy na przechodzących szczekają, a nie tają się tylko Panu swojemu. Jego postępowanie było człowieka nienawidzącego ludzi, pełne pychy i przykre go umysłu. Był bogatym; ale przytym będąc skąpym, mniemał być rzeczą wygodną mieć dom obcy, w którymby go cudzym wydatkiem sprawowane różnego rodzaju uciechy, nie nie kosztowały. Milczący podstrzegacz wszystkiego co się działo, rozwaliwszy się w krzesło, w kilku słowach sądził o wszystkim, i czynił się domowym cenzorem.

Biada człowiekowi poczciwemu, którego nie miał przyczyny obawiać się! szarpał sławę jego bez żadnego wzglę-

du; byleby mu się choć z twarzy nie podobał.

Skutki umysłu przykrego i ponurego, które *Duranson* wydawał, *Meliſſor* mniemał byż skutkami filozofii. Rozumiał, że w niey przyjaciel iego celował; i ztąd kadzidło, które mu człowiek tego charakteru dawał, przyjemnym dla niego było perfumem, strzegł się ten podchlebca wydać się czym był; i dla tego, publicznie, okiem tylko lub uśmiechem grzecznym potakiwał *Meliſſorowi*: pochwały zaś zachował na czas, kiedy sam na sam z sobą byli. Wtedy mu ich hojnie udzielał.

Meliſſor nie mógł się poznać w tych pochwałach, które *Duranson* iego dawał znacznym przymiotom; ale że przyjaciel *Duranson*, człowiek daleki od nudnego podchlebstwa, przyznawał mu ię, trzeba było nakoniec uwierzyć.

Mało na tym, aby się podobać mężowi. *Duranson* łudził się tą nadzieją, że mu się uda zwieść młodą żonę przyjaciela.

Zaczął od pochwał, które iey samey dawał; o rowiennicach zaś iey iak nayskorzy mowił. Ale *Acelią*, ani iego pochwały, ani satyry nie poruszyły. Domyslił się, iż był wzgardzony; dał tedy przez niektóre wyrazy złośliwe i uszczypliwe do zrozumienia *Acelii*, że byleby chciał, miałby ją z czego obmówić. I to mu się nie lepiej udało.

Mam może, rzekła do niego, niektóre śmieszne przymioty, pozwalam, aby ię nicowano; ale nie tak zbliśka, za pozwoleniem W Pana. Postrzegacz ustawiczny ledwie nierównie mię nudzi, iak płaszczący się podchlebca.

Ton odważny *Acelii* zmieszał *Durasona*. Poznał, iż zdaleka rzecz zacząć potrzeba, aby ją pokonać. Starać się należy, mowił sam w sobie, abym się iey uczynił potrzebnym. Potrzeba ją zasmucić, aby u mnie szukała pociechy; a gdy iey miłość własna urażona odda mi ją bezbronną w ręce, wtenczas upatrzę moment, w którym niechęć będzie gorowała. Przytrafia się często gęsto, że ten sam, który iest konfidentem dolegli-

wości urażonej kobiety, stać się szczęśliwym narzędziem jej zemsty.

Załużę cię wielce moja Pani, rzekł do niej, i nie mogę dłużej uciąć przed tobą przyczyny tak wielkiego smutku, w którym dla ciebie zostałem. Od niejakiego czasu *Meliſſor* wykracza, nierozumnie się sprawuje; jeżeli się nie upamięta, utraci wemnie przyjaciela.

Acelia, bądź z płochości, bądź też iż chciała się uciąć przed człowiekiem, którego nie szacowała; przyjęła tę nowinę, bez pokazania najmniejszego poruszenia. *Duranson* nie przestał na tym. Dowodził jej wielkość gorliwości swojej, mówił z uniesieniem się przeciwko niestateczności i wykroczeniom mężów teraźniejszego wieku, upewniał ją, iż *Meliſſorowi* to wszystko na oczy wyrzucić i zawstydzić go; a czyniąc porównanie wdzięków *Acelii* z próżnemi powabami tej, która męża ucięła serce, tak bardzo się zapalił, iż się zapomniał, i sam się wydał niebacznie. Rozśmiała się *Acelia* z nieostrożności oszusty. — Otóż właśnie, rzekła, takich ja

mam za przyjaciół, a nie owych podłych pasorzytów, którzy za pieniądze wielbią zbrodnie, i onym służą. Jestem pewna, żeś to wszystko w oczy *Meliſſorowi* powiedział, com od ciebie usłyszała? — Nie inaczej Mcia Pani; i więcej jeszcze. — Miałbyś więc tyle odwagi, wymówić mu przy mnie te krzywdy, które mi czyni, i zawstydzić go? — Jaki w obecności WPani? ach! strzeż się moja Pani tego żądać odemnie; odrzuciłabyś go na wieki od siebie. Ma serce wspaniałe; nigdyby nie mógł znieść, iż się musiał wstydzić przed tobą; i abym był w oczach jego wiarołomnym przyjacielem. A któż wie, czyby jeszcze nie uważał jakich skrytych pobudek w tym kroku? — Bądź co chce, chcę go przekonać, a w tobie pokazać mu świadka, którego by się nie mógł zaprzeczyć. — Nie czyni WPani tego; bo się zgubisz. Dysymulując rządzą nami kobiety. Ostrożne względy, łagodność, powaby: te to są oręża, któremi nas pokonywacie. Narzekania i wymowki zakwaszają tylko nasze umysły; a ze wszystkich źródeł

ków, których można zażyć do poprawienia nas; najgorszy jest ten, który nasze sprawia zawstydzenie.

Dobrze mówił, ale daremnie; *Acelia* nie słuchać nie chciała. Wiem dobrze, rzekła, na co się odważam; ale choćby mi się na wieki nieprzyjaźnić z mężem, nie myślę przez moje milczenie upoważniać postęпки iego. Wszystkie sposoby, których zażywał poszlakowany zdrayca, aby odwrócić *Acelię* od tego przedsięwzięcia, nie udały mu się. Przyszło do tego, że o wybaczenie żebrać, i jak nayspokorniej upraszać musiał *Acelii*, aby go nie karała za gorliwość, podobno nierostropną.

Otóż to, ta jest, odpowiedziała mu, owa szczerość odważna, którą nie ustraszyc nie może? będę ja rostropniejsza od ciebie; ale pamiętaj *Duranson*, nigdy o przyjaciotach twoich nie mówić tego, o czym nie chcesz, żeby oni słyszeli. Co się mnie tycze, niech się jak najgorzej mój mąż sprawnie. Zakazuję ci, abys mi o tym donosił.

Duranson roziały, iż mu się iego zamysły nie udały, i że tak źle był przyięty od *Acelii*, przysiągł na iey zgubę, wprzód jednak aby tego dokazać, trzeba było zgubić iey męża.

Nikt w *Paryżu* nie ma tyle przyaciół, co człowiek bogaty i rozrzutny. Przyjaciele *Melidora* zawsze go chwalili w oczu, przy stole, i tyle mieli uczciwości, iż dopiero z niego żartowali, gdy się obiad skończył. Dłużnicy, których codzień przybywało, nie byli tak grzeczniemi; ale przyjaciel *Duranson* zawsze ich odprawiał. Znał, iak powiadał, sposób wzbudzenia poszanowania w tych łotrach. Z tym wszystkim, gdy nie wszyscy byli zarówno bojaźliwi, trzeba było kiedy niekiedy, aby zaspokoić natrętniejszych, udać się do różnych sposobów. *Duranson* pod imieniem przybranym wspomagając przyjaciela, pożyczał mu na zastaw, największą biorąc od niego lichwę.

Im gorzej szły interessa *Melidora*, tym bardziej słuchać o nich nie lubił. Czyń co się podoba, mawiał do swego

kommissarza; ja się na wszystko piszę, a nie susz mi głowy.

Doniósł mu nakoniec kommissarz, że nie wie daley co czynić; że dłużnicy dobra iego zabierać chcą. *Meliſſor* całą winę na niego złożył, nazywając go oszustem. Kommissarz odpowiedział mu spokojnie: mów W Pan co mu się podobą; aleś winien; trzeba zapłacić; bo inaczej będziesz przyciśniony od dłużników.

Meliſſor, wezwawszy do siebie wernego *Duransona*, zapytał go się, czyli nie ma sposobu do wyjścia z tej biedy. — Jeden mu tylko zostaje i to najspewniejszy. Niech się *Jeymość* pisze za W Pana. — Dobrze; ale czyż ona zezwoli na to? — Zapewne zezwoli. Czyż może zastanowić się, gdzie o honor W Pana idzie? z tym wszystkim nie chcey ją zatrząwać; delikatnie tę rzecz rozpocznij, i day iey do poznania: że w tym obowiązku zawiera się tylko uroczystość zwyczajna, od której wykonania uwolnić się nie może. *Meliſſor* uści-

ska-

skawszy przyjaciela, poszedł do żony swojej.

Acelia, cała zanurzona w rozrywkach, nie wiedziała co się działo; ale szczęściem, obdarzyło ją niebo rozumem dokładnym i duszą stateczną. Widziałem, rzecze do niej *Meliſſor*, dopieruteńko twój nowy pojazd, przedziwny to będzie pojazd; konie też już przysły: Ach moja Pani, jaki piękny cug! *Hrabia de Pize* ie układa. Są one rzeskie, ale on ie poskromi. Najlepszy to jest woźnica w całym Paryżu. *Acelia* chociaż przyzwyczajona do równej grzeczności męża swojego; więcej jednak zadziwioną i ukontentowaną została. Ja cię nie szczę, rzecze do niego. — A czy mogę moja Pani lepiej zażyć dóbr moich, jak gdy ie obracam na to, co ci się może podobać? żąday wszystkiego bez żadney ochrony, używaj bez niespokojności: nie mam coby nie było twoim, i podchlebiam sobie, że ty myślisz to samo. Ale, ale, przydał nieznacznie, mam niektóre rozporządzenia uczynić; gdzie dla wykonania wszystkich uroczystości,

Tom III.

N

potrzebowałbym twego podpisu. Lecz w wieczór o tym pomówimy. Teraz mię najbardziej zatrudnia kolor twojej karety; malarz na twój gust tylko czeka — Pomyślę o tym, odpowiedziała mu *Acelia*, i co tylko mąż wyszedł, w głębokie wpadła zamyślenie.

Acelia była bogatą dziedziczką; a prawa ubezpieczały jej dobra. Przewidzawszy wszystkie skutki mające wyniknąć z tego obowiązku, który na się wzięść miała, w wieczór, zamiast na komedję, pojechała do swego pisarza. Jak wielkie jej było zadziwienie! gdy się tam dowiedziała: że *Melidor* był przymuszony udawać się do sposobów najbardziej go niszczących. Obróciła cały czas komedji na poznanie zupełnie interesów męża swego i na zasiągnięcie potrzebnej w tej mierze rady.

Powróciwszy do domu, starała się pokryć niespokojność swoją przed gośćmi; którzy u niej byli na wieczerzy: ale gdy mąż jej będąc z nią sam na sam, żądał po niej, aby się za niego pisała, odpowiedziała mu: — Ja ciebie nie opu-

szczę, bylebyś mi się ze wszystkim zaufał: ale żądam od ciebie zupełnego zaufania, i zupełnej mocy rządzenia domem moim.

Mieć za opiekuna żonę swoją; myślała *Melidora* wielce upokorzyła. Niepotrzebnie się moja Pani lękaasz, odpowiedział jej; nie dopuszczę nigdy, abyś się miała zatrudniać rozpatrzeniem się zbyt nudnym dla ciebie w interesach domowych. — Nie, mój Panie, zbyt je zaniedbałam; jest to moja wina, w której dłużej być nie chcę.

Melidor pomiarkował, że byłoby daremnie dłużej opierać się jej: a gdy się nazajutrz zgromadzili dłużnicy, rzekł do nich: Mospanowie, wizyty wasze mi się przykrzą; oto Jeymość, która się chce z wami rozmówić; porozumieście się więc z nią. *Acelia* rzekła do nich głosem poważnym i roztroptym: Mości Panowie, chociaż dobra moje należą do moich dzieci, sądzę jednak rzeczą być sprawiedliwą, aby niemi ratować ich oycę; ale proszę we wszystkim o rzetelność. Ludzie poczciwi znajdą wemnie

wszelką gotowość do zaspokoienia ich: o czym tych oszustów nie upewniam, którzy korzystali z nieuwagi marnotrawcy. Jutro przyniesiecie mi kopie dokumentów waszych pretensyi. Tylko mi tyle czasu potrzeba, abym je przeczytała; dłużej nie doznacie zwłoki.

Co tylko *Acelia* obięła rządy domu swego, natychmiast w inszą wcale przestoczyła się osobę. Obeyrzała się na przeszłe życie swoje; nie postrzegła w nim, tylko same błahie i nikczemne zabawy. Czy to takie są, rzekła; obowiązki matki? czy honor i spokojność powinny opłacać owe rokoszne wieczery, ekwipaże przepyszne i kosztowne fraszki?

Jutro przyniosą mi opis długów twoich, rzekła do męża; trzeba mi wiedzieć jakie są twoje dochody; zacznym każ przyiść kommissarzowi.

Przyszedł kommissarz i oddał rachunki. Nic nad te iasniejszego. Nie tylko żadnych pieniędzy w kassie nie było, ale jeszcze pokazało się, iż on swoje założył, i że mu się należało dwa

razy tyle, ile zaległa jego pensya wynosiła. Jak uważam, rzekła *Acelia*: Pan kommissarz lepiej swoje interessa sprawuje, niżeli my nasze.

Nie zostaje nam, tylko mu zapłacić, podziękowawszy ieszcze za to, iż mu się więcej nie należy. — Zapłacić, rzecze *Melidor* pocichu! a z kądże wziąć na to pieniędzy? — Z moiej kieszeni. Kto chce wprowadzać dobrą ekonomikę, powinien zacząć od odprawy kommissarza.

Wkrótce potym liczba ludzi, którzy zostali umnieyszona; a *Acelia* pierwszy przykład z siebie dała. — Dobrego umysłu, rzecze do *Melidora*: trzeba rzecz do żywego przeiść; nie na tym nie traciemy, tylko to co naszej podchlebiało próżności. — A przystoynność? — Przystoynność się na tym zasadza, aby cudzego nie trwonić majątku, a własnego beznagannie zażywać. — Ale W Pani odprawniając ludzi płacisz im, i przeto ogołacasz nas z ostatniego sposobu, który nam zostaje. — Nie turbuy się mój przyiacielu, mam kleynoty, mam niektóre kosztowności; a czyniąc

ofiarg z tych ozdób, zyskam dla siebie inną równie kosztowną.

Nazajutrz dłużnicy się zgromadzili, *Acelia* z niemi pomówiła. Ci, od których *Melidor* pozakupywał kosztowne meble, albo niepotrzebne osobliwości, zezwolili je nazad odebrać za umiarkowaną nadgodą. Inni zaś nięci grzecznością i ochotą *Acelii*, zgodzili się jednostajnie, na iey się spuścić dyskretyą, i tak wdzięki iednające połączyły wszystkich

szczególnie, z miną dosyć zawziętą, twierdził, że nie nie mógł z swoich pretensyi. Miał rzeczy kosztowne w zastawie, od których wielka była zapisana lichwa.

Acelia go zatrzymała u siebie, aby go, jeżeli można nakłonić. Ja Meia Pani, rzekł do niey, nie mogąc znieść iey zarzutów; ja nie jestem tu w moiej sprawie. Mógł sobie Pan *Duranson* kogo innego obrać do udawania tak brzydkiej osoby. — Jako *Duranson*! iako! on pod twoim imieniem? ... — Tak jest; on sam. — Więc nasze sprzęty są w ręku iego? —

Tak jest, nieinaczej; ma nawet i rewers, w którym zeznaię, iż mi się nie należy. — A czy nie mógłabym mieć kopią tego rewersu? — Z ochotą, natychmiast, bo się bardzo brzydę imieniem lichwiarza. Dostała więc *Acelia* oręża na *Duransona*. Ale jeszcze czas nie przyszedł, aby go nań zażyła, i oświeciła *Melidora*. Sądziła więc, iż lepiej jest jeszcze tę rzecz zatrzymać w milczeniu.

Oszczędziła *Acelia* w czasie dwudziestu i czterech godzin znaczną część intraty, i wiele zaspokoiła długów. Pisarz iey, który tak dobre rozporządzenie zobaczył, zadziwiony powiedział iey: Dobrze WPani zaczynasz. Oszczędność jest nayłatwiejszy i nayspewniejszy sposób. Można przez nią wkrótkim czasie strwonione odzyskać dobra.

Podczas ich rozmów, *Melidor* był zasmucony nad obnażeniem domu swiego. Ciesz się mój Panie, rzecze *Acelia* do niego, to tylko się uymuie, co nas śmiesznemi w oczach ludzkich czyniło. Ale *Melidor* świat tylko miał przed oczą-

mi, i upokorzenie wynikające z poniżenia. Odszedł niezmiernie pomieszany, zostawiając *Acelią* z pisarzem.

Młoda Dama ma niewypowiedzianą korzyść w sprawowaniu interesów. Nie wzbudzaając nawet tego, co się rozumie przez nadzieję i chęć podobania się; interesu nie, pociąga do powolności, której męszczyźni, jeden dla drugiego, nie ma. Przyrodzenie usposabia między dwiema płciami jakieś tajemne porozumienie się. Wszystko się ułatwia, wszystko się zaspakaia nieznacznie. Męszczyzna z męszczyzną iak z nieprzyjacielem traktuje, z niewiastą zaś po przyjacielsku się godzi. *Acelia* to samo nie raz doświadczyła, a pisarz iey z taką gorliwością i przywiązaniem służył, iakichby nigdy nie był doznał iey mąż.

Mościa Pani, rzekł do niey, uczyniwszy porównanie wartu dóbr *Meliđora* z wszystkimi długami, znajduję, że jest z czego zapłacić; ale dobra w potrzebie bezcennie się przedają. Daymy to, że dobra są dziś bez żadnego długu, możnaby na nich bezpiecznie lo-

kować dwakroć sto tysięcy talarów i więcej ieszcze, które Pan *Meliđor* winien. Jeżeli więc WPani chcesz się pisać za męża swego, możnaby zmniejszyć liczbę długów osławiających i niszczących, do małej liczby długów prostych i mniej szkodliwych. Uczyni WPan, rzecz *Acelia*, co ci się najlepiej będzie zdawało; ia na wszystko przystaę; piszę się za męża mego, byleby on o tym nie wiedział. Pisarz roztropnie sobie postąpił, a *Acelia* była umocowana zaciągnąć sumę imieniem męża swego.

Meliđor wszystkiego się zwierzył żonie, wyjąwszy jedną rzecz, której nie śmiał iey wyiawić. *Acelia* słysząc go raz wdychającego, usiłowała łagodnie go cieszyć. Nie wiesz ieszcze wszystkiego, rzecz do niey; a po tych słowach głębokie nastąpiło milczenie. Próżnie nalegała *Acelia*, aby iey się otworzył; wstyd mu mówić nie dopuścił. Jako, rzecz do niego: i ty to masz troski, których mi nie śmiesz poufać! czy masz nademnie przyjaciela pewniejszego,

bardziej do ciebie przywiązanego i wybaczącego tobie? Im więcej warta jesteś szacunku, odpowie *Meliſſor*, tym bardziej wstydzić się powinienem wyjawiać ci to, co mam do wyjawienia. Zapewnieś słyszała o nierządniczy *Elsonorze* ... cóż mam powiedzieć? ma ona odemnie wexle na pięćdziesiąt tysięcy talarów. *Acelia* z radością postrzegła porę odzyskania serca męża swego. Nie czas jest, rzecze do niego, wyrzucać ci błąd, którego się wstydzisz, i do którego podobno moje zbytnie rozrywki się przyłożyły. Zapomniemy i poprawmy nasze winy: ta ostatnia nie jest bez lekarstwa. *Meliſſor* nie pojmował tego, że żona jego dotychczas płoża, tak nagle rozumną stała się. Nierównie zadziwną była *Acelia*, iż mąż iey wiele pychy i próżności mający, nagle skromnym i umiarkowanym stał się. Czy nie dla dobra naszego staliśmy się nieszczęśliwymi? sami w sobie mówili.

Nazajutrz *Acelia*, dobrej zasiągnąwszy rady, udała się do *Eleonory*. Nie wiesz zapewne, rzecze do niej, kto

cię odwiedza? jestem twoja rywalka; i zaraz powiedziała swoje imię. Mościa Pani, odpowie *Eleonora*, wielce mię zawstydza ten honor, który mi WPani czynisz. Poznaję tę winę, którą mam względem ciebie; ale mój stan jest moją wymówką. *Meliſſora* tu winić potrzeba; i ja sama widząc WPanią mam mu szczerze za złe; daleko niesprawiedliwszym jest, niżelim rozumiała. Nie mam żalu ani do niego ani do WPanny, odpowie *Acelia*. Jest to ukaranie żony zanurzonej w rozrywkach, mieć męża rozpustnego; przynajmniej mam to ukontentowanie widzieć, że *Meliſſor* w swoich upodobaniach miał jeszcze cokolwiek delikatności. Masz rozum, wyraz uczciwości, i takie wdzięki, któreby mogły być ozdobą cnoty. — Zbyt dobrotliwie sądzisz o mnie moja Pani; i to dowodzi, com często słyszała: że Damy nayuczciwsze nayłagodniej o nas mówią. Nie mając nic nam do zazdrośczenia, mają tyle dobroci, iż ubolewają nad stanem naszym. Te zaś, które nam są podobne, są daleko niesprawie-

dliwsze; naśladować szarpią niemiłosiernie. Proszę mię postuchać, rzecz *Acelia*, która ią chciała na myśl swoją naprowadzić.

Nie ta to jest krewkość, której się często dopuszczają inne kobiety, która tyle nagany na was ściągą; ale inna passya daleko nienawistniejsza. Ogień młodości, skłonność do rokoszy, powab życia lubieżnego i wolnego, sentyment naostatek, bo i ten rozumem może mieć miejsce w sercu waszym; wszystko to może być dla was wymówką, ale zrzekając się cnoty poci naszey, tym bardziey obowiązane jesteście mieć cnotę poci męzkiey. Jest pewny rodzaj pocziwości, od której się nie uwalniacie? — Nie inaczej. — Powiedz mi więc tedy, jeżeli ta pocziwość dopuszcza na złe zażyć zapamiętania i nierozumu zaślepionego amanta, tak dalece, aby wciągnąć go w obowiązki szalone, i szkodliwe familii? *Melidor*, na przykład, dał ci wexle na pięćdziesiąt tysięcy talarów: czy znasz co z tym idzie? i jak surowo można na-

stępować na takie podeyscie? Mościa Pani, odpowie *Eleonora*, jest to podarunek dobrowolny, a Pan *Duranson* może mi bydź świadkiem, żem daleko lepszych nie przyięta. — Więcże znasz *Durasona*? — Znam Mcia Pani. On to jest, który mię poznał z *Melidorem*, za to darowała mu to wszystko, co mi był przyrzekł. — Bardzo dobrze: to on dług swój na registr przyjaciela złożył? — On mi to sam powiedział, a iam się dorozumiewała, iż się to z wolą *Melidora* działo. Wreszcie *Melidor* był Panem woli swoiey, to mam co mi dał, i rozumiem, że to jest dobrze nabyte. — W Panna tak rozumiesz: ale cożbyś rozumiała, gdybyś była owym dziecięciem ukrzywdzonym? postaw się na miejscu owey matki, której mąż tym sposobem się niszczy, która bliska jest tej chwili widzieć go prześladowanego, wypędnzonego z dóbr swoich, wyzute go z urzędu, przymuszonego kryć się przed oczami ludzkimi, i wystawiającego żonę i dzieci swoje wszystkim przykrościom, które wstyd i ból ciężki

czynić mogą; bądź na moment czasu tą kobietą czutą i utrapioną, a sądź się sama w tym stanie. Czegobys WPanna nie uczyniła? uciekałabyś się do praw, które są stróżami obyczajów; twoje skargi, twoje łzy, wznosiłyby się przeciwko nienawistnemu podeysciu Głos natury, i sprawiedliwości obstawaby za tobą. Tak jest, moja Panno, a nie inaczej, prawa się srożą przeciwko trucziznie, a przymiot podobania się, nią się staie, gdy jest na złe użyty. Prawda, że ten iad życiu nie szkodzi, ale nie przepuszcza czei i rozumowi; a gdy w zapamiętaniu, które też truczna sprawa, kto czego żąda, można otrzymać ofiary nierozumne, które nazywaśz darem dobrowolnym, a które w samey rzeczy są kradzieżą. Otoż to jest, coby ci kto inszy powiedział, i cobyś ty sama pewnie powiedziała, gdybyś na moim miejscu była. Zważże, że mam w tej mierze więcej umiarkowania. Przyznaję, że ci się należy, iestem tym końcem u ciebie, abym ci zapłaciła.

Wspaniale a nie bezrozumnie chcę z tobą rzecz zakończyć. Sześć miesięcy temu, iak cię *Melidor* kocha; a dając ci tysiąc luidorów, rozumiem, że się z tobą wspaniale obchodzi. *Eleonora* rozrzewniona i zawstydzona nie mogła nic odmówić *Acelii*. Wziąwszy z sobą węxle *Melidora*, poiechata z nią do iej pi-sarza.

Nie wołałabyś WPanna, rzecz do niey *Acelia*, mieć upewnioną roczną sumnę stu luidorów, aniżeli takową sumnę, któraby w ręku twoich wnet pewnie zmarnioną była? Sposób oderwania się od występku, iest wybić się z stanu potrzeby; spodziewam się, że przydzie ten dzień, gdzie będziesz rada mieć sposobność byđz cnotliwą.

Eleonora, całując ręce *Acelii*, i upuszczając kilka łez: Ach! Mościa Pani, rzecz do niey, iak miła i uymniąca iest cnota pod postacią WPani! ieżeli będę kiedy tak szczęśliwa, abym do niey powróciła, tobie moje serce tę będzie winno odmianę.

Pisarz, ucieszony obrotami *Acelii*, donosił iey, iż już się w iego ręku znajdują owe dwakroć sto tysięcy talarów, i tylko na iey czekają rozporządzenie.

Rozradowana dobrym powodzeniem *Acelia*, powróciła do domu, gdzie obaczywszy *Melidora* rzecze do niego: oto masz twoje cukrowe bileciki, z wielką trudnością mi je oddano, nie pisuy na potym tak uprzecznych. Przyjaciel *Duranson* był przytomny; a z miny ponurey *Melidora* poznała, iż go zawstydził, że się dał powodować swej żonie. Odbierasz W Pan oziębłe, rzecze do męża swego, co od miłej pochodzi ręki! — Chcesz W Pani, abym się cieszył, iż jestem pośmiewiskiem całego *Paryża*? wszędzie o moim upadku gadają, a W Pani go czynisz tak oczywistym, tak głośnym, że i przyjaciele moi nawet ukryć go przed światem nie mogą. — W Pana więc przyjaciele mieli inszy sposób zapobieżenia temu złemu w cichości? zapewne ofiarowali W Panu swój kredyt, i przyjacielskie usługi?

Pan

Pan *Duranson*, na przykład ... — Ja Mościa Pani? Nie jestem w stanie dania jakiey pomocy; ale rozumiem, iż bez uczynienia hałasu oślawiającego, można by znaleźć inne sposoby. — Dobrze mówisz; inne sposoby, któreby żadnego za sobą nie zostawiły sposobu? mój mąż aż nadto doświadczył tych sposobów, sam naylepiey wiesz o tym. Co się tyczy niestawy, którą łączysz do oczywistości naszego nieszczęścia; wiem iaka jest twoja delikatność, i tyle ją szacuję, ile warta. — Mościa Pani, jestem pocziwym człowiekiem, i każdy wie o tym. — Przynajmniej wiedzieć powinien, bo całemu światu o pocziwości twoiey powiadasz; ale że *Melidor* już w żadne miłośne nie będzie wchodził kontrakty, W Pana pocziwość, już jest niepotrzebna. *Melidor* na to słowo zapalił się gniewem, i rzekł żonie swojej: iż go obraża, obrażając przyjaciela. Chciała *Acelia* odpowiedzieć, ale on nie chcąc słuchać, wybiegł z gniewem z pokoju, i *Duranson* wyszedł za nim. *Acelia* to nie nie zmieszało; a dopuszcza-

Tom III.

O

iąc aby się z sobą na nią namawiali, zatrudniata się tylko rządami domu swego. Guwerner iey syna, któremu się urząd ten po zmniejszonym zbytku i okazałości, zbyt niskim zdawał, tak, że bez żadney ogrodki oświadczał to swoje poniżenie, był zaraz tego wieczora odprawiony. Jego mieysce objął dobry *Abbe*, człowiek prosto-szczery, skromny, i dosyć uczony; którego prosiła, aby był przyjacielem domu, i ćwiczył w tych obyczajach, iakie sam miał, iey syna.

Melidor, w którego *Duranson* wmówił, iż to panowanie, które żona jego sobie przywłaszcza, jest ostatnim dla niego zawstyżeniem, dowiedziawszy się, iż Guwerner odprawiony, mocno się rozgniewał. Dobrzem uczyniła, rzecze do niego *Acelia*. Dałam memu synowi za przykład i przewodnika człowieka mądrego, odprawiwszy nie nie umiejącego półgłówka. Pragnę jeszcze oddalić od ciebie zuchwałego podchlebę, który twoimi pieniędzmi zakupuie swoje uciechy. Otóż to, takowe są moje prze-

winienia; wyznaię ie, możesz ie wszędzie ogłosić. Niegodziwa rzecz iest, rzecze do niey *Melidor*, nie iey nie słuchając; niegodziwa rzecz iest, na złe zażyć tey sytnacyi, w której zostaię, aby mi prawa przepisywać. Nie, moja Pani, ieszcze moje nieszczęście do tego nie przyszło stopnia, aby mię uczyniło twoim niewolnikiem. Twoim obowiązkiem było pisać się za mnie: ale gdyś tego nie uczyniła, niczym więcey w oczach moich, nie iestes, a twoie starunki na nic mi się nie przydadzą. Dla ciebiem szczególnie fortunę stracił, ostatni śróddek mi zostaię, oddalić przyczynę nieszczęścia moiego, iutro między nami separacya nastąpi. Nie, mój Pani, ieszcze nie czas temu. Wkrótkim czasie będziesz posiadał spokojnie, i beznagannie fortunę uczciwą; będziesz wolnym, spokojnym, i szczęśliwym. Wtedy dopiero, gdy wprzód twój honor i spokojność utwierdzę; obaczę, czy mam mieysce ustąpić owym sprawcom twoiey zguby, i aby cię ukarać, opuścić cię nad brzegiem przepaści, z

którey cię teraz wydzwignę. Do tego czasu będziemy nierozdzielni, moje obowiązki i twoje nieszczęście są świętym węzłem w oczach moich. Nakoniec, jutro sam osądzisz, iakiego człowieka nademnie przenosisz. W przytomności iego, pokażę ci oczywiste dowody iego zdrady i oszustwa; i jeżeli się będzie śmiał zaprzec swoich zbrodni, zezwalam na to, abyś mię przestał szacować.

Melidor zdumiony wspaniałą odwagą *Acelii*, czuł całą noc na przemiany poruszenia niechęci i wdzięczności. Nazajutrz odebrał list, który w nim najwyższą wzbudził rozpacz. Doniesiono mu, że u dworu głośno mówią o iego zbytkach, wydatkach i z tych wynikającym upadku; że każdy go gani otwarcie, i że już ułożono jest przymusić go do złożenia urzędu. Czytaj W Pani, rzekł, zobaczywszy *Acelię*, i zadrżył nad stanem, do któregoś mię przyprowadziła. O mój przyjacielu, rzekł do *Duransona* (który właśnie nadszedł) iestem zginiony: tyś mi to przepowie-

dział. Ona rozgłosiła upadek mój, i to mię zhańbiło. Odbierają mi urząd i dostojenstwo. *Duranson* pokazywał, iakby go bardzo ta nowina zatrwożyła. — Nie lękay się, rzecz do niego *Acelia*, twój dług iest bezpieczny, lichwę tylko ową straszną, którąś chciał brać od przyjaciela, utracisz. Oto masz *Melidor* przed oczami naszego lichwiarza, który nam na zastaw pożyczął. — Ja, Mcia Pani! Tak iest, W Pan, W Pan sam, dowód tego iest w moich rękach. Czytaj, rzecz do męża. Ale nie dostaniesz tego. Ten zacny przyjaciel nie może cię kieszzeni płacić *Eleonorze*, za te grzechności, które od niey doznał; śmiał nawet powziąć zamysł zwiedzenia mię, donosząc mi o twoich miłostkach: słowem, niszczył cię pod obcym imieniem. Ach! już dłużej nie wytrzymam, rzekł *Duranson*, i chciał wychodzić.

Jeszcze na słowko proszę, rzecz do niego *Acelia*. Jeżeli tego momentu nie przyniesiesz do mego pisarza, gdzie na ciebie czekać będę, zastawy i obligacye, które masz od *Melidora*, natych-

miast zedrę z ciebie maskę i za godzinę będziesz poznany od całego miasta i dworn, ochydzony i osławiony przed całym światem. *Duranson* struchlał, zmieszał się i nagle wyszedł, zostawiając *Melidora* zawstydzonego i zmartwiałego, przejętego podziwieniem i gniewem.

Uspokój się mój przyjacielu, rzecze do niego *Acelia*, biorę na się uskromić tę burzę, która nam grozi. Byway zdrów. W wieczór nawalnica rozpędzona jest.

W tym *Acelia* pobiegła do pisarza; pisze się za męża, odbiera dwakroć sto tysięcy talarów, płaci długi, zdziera obligacye, zaczawszy od *Duransona*, który sobie w tej mierze roztropnie postąpił; potem wsiadłszy na pocztę, bez żadnej zwłoki jedzie do Wersalu.

Otwarcie jej wyraził minister swoje nieukontentowanie nad *Melidorem*, i powziętą rezolucyą przymuszenia go, aby złożył swój urząd. Nie pragnę ja go tu exkuzować, rzecze do niego *Acelia*; wiem dobrze, że rzeczą nierozu-

mną jest, w tym stanie, w którym jesteśmy, oddawać się przepychowi i zbytkom: ale w tej mierze iam bardziej błędziła niż mój mąż. Jego zbytnia dla mnie powolność szczególną jest winą; bo cóż się, mój Panie, nie czyni dla ukochanej żony! Byłam młodą i piękną w oczach jego, bardziej się mojej żądziryadził, aniżeli dochodów swoich. Niczego się nie obawiał, tylko mego nieukontentowania, inszego nieszczęścia nie znał, tylko zmniejszenie przywiązania mego. W tym jego była nieroztropność; już jest naprawiona. Nikomu nie jest dłużnym, tylko mnie mój posag, który mu chętnie sakryfikuję. — Jako, moja Pani, zawołał minister, więc się pisałaś za niego? — A któż miał uprzętnąć jego nieszczęście, jeżeli nie ta, która była jego przyczyną? Zastąpiłam go moim posagiem, ale przeto nabyłam dla siebie prawa ochrony majątku jego, i upewnienia fortuny dzieciom moim. *Melidor* do powolności pocziwość łączy. Nie wie o tym com dla niego uczyniła, a jednakowoż mi dać

pełną moc rządzenia wszystkim. Rządzę całym domem moim: gdzie wszystko do najsćcisleyszey przyprowadziłam oszczędności. Oto jest com uczyniła, to zaś zamysłam uczynić.

Tu powiedziała niektóre szczególności, które minister raczył z dobrocią słuchać. Ale, rzekła dalej, przyjaźń, szacunek, zaufanie męża mego wszystko utracę, jeżeli go karać będziesz za winę, którą mi potąd powinien wyrzucić, póki iej nie wygładzę. Jesteś sprawiedliwy, czuły, i ludzki; za cóż chcesz go karać? czy za to, że nadto kochał żonę swoją? że się zapomniał, że się stał ofiarą dla mnie? będzie więc mnie nienawidział, będzie ustawnie na pamięć przywodził moim dzieciom te błędy i niestawę, w którą go ich matka pogrążyła? I komuż chcesz żadosyc uczynić karząc go? ogólności? ach! Panie! większa część tey ogólności zawiśna i złośliwa, nie warta jest tego. Co się zaś tycze tey części ogólności obojętney i sprawiedliwej; dopuść nam, abyśmy pokazali widok pożyteczniejszy, i bar-

dziej poruszający, aniżeli ten, któryby w zgubie naszej mieć mogli. Obacz, jako żona rozumna może męża, przeciwnego człowieka na prostą naprowadzić drogę; jako serca dobrze urodzone, w cnocie i odwadze mogą znaleźć śródki niewyczerpane dla siebie. Nacza poprawa stanie za przykład, jeżeli będzie rzeczą chwalebną dla nas, dać z siebie przykład, dla tych stawy przybędzie, którzy pójdą za nim, widząc zaś nas, (gdyby kara nierostropności, która tylko nam szkodzi, przewyższała i przetrwała winę) nieszczęśliwych bez występku; każdyby był poruszony bez pożytku.

Z zadziwieniem iej słuchał mowy. Nie chcę przeszkadzać W Pani zamysłom, rzecze do niej, i owszem chcę się do nich przyłożyć przez ukaranie nawet twego męża. Potrzeba, aby złożył urząd swój. — Ach mój Panie! — Postanowiłem ten urząd zdać synowi twemu, a szczególnie przez wzgląd, przez poszanowanie, które mam dla ciebie, pozwalam oycu dożywocie tego u-

rzędu. *Acelia* zdumiona, iż zamiast ukarania, łaskę odbiera; ledwie nie upadła do nóg ministrowi. Panie, rzecze do niego; ten sposób poprawienia oycy jest godzien byź od ciebie użytym. Łzy, które widzisz, są wyrazem wdzięczności moiej. Moje dzieci, mój mąż, i ja, nie przestaniemy błogosławić tobie.

Meliſſor ze strachem oczekiwał powrotu *Acelii*, wnet niespokojność ustąpiła miejsca radości, gdy się dowiedział, z jaką łagodnością ukarano jego marnotrawstwo. A cóż, rzekła *Acelia* przyciskając go do serca; czyż się będziemy dziś z sobą rozstawali? czy masz iakiego przyjaciela, którego nad żonę swoją przekładasz?

Każdemu wiadomo, z jaką łatwością się po Paryżu wieści rozszerzają, i zatumiają. O nieszczęściu *Meliſſora* przez kilka dni mówiono, jego zaś rozporządzenie, albo raczy mężne przedsięwzięcie żony jego odmieniło wszystkich zdania i mowy, o samej tylko iey mądrości i stałości mówiono: i gdy

się pokazała na świat z ową skromną i swobodną miną, która ani uważa, ani się lęka zdania ogólności, wszędzie przyięta była z poszanowaniem, którego dotychczas nie wzbudzała. Uczuła wtenczas szacunek tego poważania, które cnota wzbudza; a te hołdy, które młodości i wdziękom oddawano, nie tyle dla niey miały słodczy. *Meliſſor* bojaźliwy, lub więcey próżności mający, nie wiedział, iak sobie postąpić, ni iak swoją ułożyć postawę. Mieymy, rzecze do niego żona, postać ludzi, którzy w szczerości serca wyznawali, iż byli nierostropnemi, i już się stali rozumnemi. Nikt nam nie ma co do wyrzucania: nie upokarzaymyż się więc sami. Jak świat postrzeże, żeśmy kontenci z własney poprawy, tym bardziey nas szanować będzie. A iakimże okiem, rzecze do niey *Meliſſor*, będziemy poglądać na ową zgraię obłudnych przyjaciół, którzy nas w potrzebie opuścili? — Tym samym okiem, którym ja ich widział, iako ludzi, których uciechy przywabiają, i którzy się z niemi od-

dalaia. Na jakimże fundamencie spuszczałeś się na ich pomoc? czy dla nich się dawały owe uczty i bale? Dom człowieka majątnego, jest to sala widowiska: gdzie każdy rozumie, iż za wniyscie dobrze zapłacił, gdy miejsce swoje z przyjemnością osiadał.

Po skończonym widoku każdy do domu powraca, i ieden drugiemu nie winien. Jest rzecz markotna tak myśleć, ale straciwszy to omylne zdanie, iż nas kochano, mamy w zysku doświadczenie pożyteczne; to lekarstwo jest podobne do inszych lekarstw, które im więcej mają goryczy, tym są lepsze. Chciey widzieć świat, tak, jakim jest, nie trzeba się wstydić, żeśmy go nie poznali, ani się chlubić, że go dziś lepiej znamy, a nadewszystko przed nikim nie trzeba wyiawiać naszych domowych zatargów, nie pokazujemy po sobie, iż iedno drugiemu ustąpiło, ale przeświadczaemy wszystkich, iż iednomyślnie wszystko czyniliśmy: a chociaż nie jest tak śmieszną, iako powiadaia, rzeczą, dać się powodować żonie, ie-

dnakowoż nie życzyć sobie, aby wiadzano, iż ia cię do tego nakłoniła przedsięwzięcia.

Melidor wszystko był winien żonie swojej, ale nie go tak bardzo nie uięło, iak ta delikatność *Acelii*, co też iey w szczerości serca oświadczył. *Acelia* głaszcząc próżność męża swego, miała w tym inszy zamysł. Chciała go próżnością samą zachęcić do trzymania ułożonego zamiaru. Jeżeli obaczy (mówiła sama w sobie,) że świat rozumie, iż wszystko czyni z własney woli i poczucia, wnet i on sam uwierzy. Sciślely się wykonywaią własne przedsięwzięcia, przez ów sentyment wolności, który się opiera cudzemu ułożeniu; w sztuce powodowania umysłami najsłotniejszy punkt jest, ukryć przed niemi to powodowanie. *Acelia* miała na baczności składać na męża swego pochwały, które odbierała, a *Melidor* z swojej strony z największym o niey mówił szacunkiem.

Z tym wszystkim obawiała się *Acelia*, aby mu się osobność i cisza w domu pa-

nuiąca nie sprzykrzyła. Ciężko takiego człowieka utrzymać, który się nudzi; a nimby *Melidor* wynalazł jakie dla siebie zabawy, trzeba mu było rozrywek.

Acelia więc starała się formować towarzystwo, nie liczne ale wyborne. Nie zapraszam was na uroczyste bale, mówiła do Dam, które wzywała; ale zamiast przepychu i zbytku, będziemy się cieszyć. Dam wam z szczerego serca dobrą, ale nie kosztowną wieczerzę. Będziemy w wolności wypijać zdrowie przyjaciół naszych, a co się rzadko na świecie trafia, będziemy weseli. Dotrzymała słowa swego; mąż iey tylko jeszcze żałował przeszłych zbytków i dostatków swoich. Starał on się wprawdzie przyzwyczaić się do tego życia skromnego, jednakowoż znać było po nim, że w sercu swoim tę samą czuł nudność, która się w domu iego wydawała. Ta spokojność i cichość, zadziwiały zmysły iego przywykłe do ustawicznego zgiełku. Z zazdrością jeszcze zapatrywał się na tych, którzy te-

mi samemi krokami, co i on, zbliżali się do zguby; a Paryż (gdzie wpośród uciech był iakby skazany na wstrzymanie się od nich) zaczął mu być nie miłym pomieszkaniem.

Acelia do swego dążąca zamiaru, z ową statecznością, która się tylko w kobietach znajduie; spostrzegłszy to, namówiła go, aby razem poiechali zobaczyć kupione dobra. Przed wyjazdem jeszcze zleciła pisarzowi swemu, aby na miejsce pałacu, w którym mieszkali, najął dom skromny z wygodami, w którymby mogli mieszkać, powróciwszy do Paryża.

Melidor miał trzy majątności, ale dwie najznaczniejsze, ledwie trzecią część prowizyi z kapitału intraty przynosiły. Zgodzono się na to, iż potrzeba ie sprzedać. Jedna zaś majątność przez niedozór spustoszona, mogłaby znaczne przynieść pożytki: gdyby pracy i pieniędzy nie żałowano. Otóż tę majątność nie trzeba z ręki wypuszczać, rzecze *Acelia*. Staraymy się, aby ią do iak naylepszej przyprowadzić pory. Po-

wietrze w niey jest zdrowe, okolica rokoszna, pola żyzne, przepędziemy w niey nayspokojniejsze dni w roku, i wierz mi, że się tam kochać będziemy. Zona twoja nie będzie więcej miała owych grymasów, dziwactw i umizgów; ale dobrą i uprzejmą przyjaźń pokazywać ci będzie; która mnie, ciebie, i dzieci nasze uszczęśliwi, i sprawi wesele całego domu: jeżeli ją uwzajemniać będziesz. Przyznam ci się, od tego czasu, iak tchnę powietrzem wiejskim, mój gust bardziey się zgadza z naturą. Zdać mi się, że szczęście jest bliższe mnie i powolnieysze moim żądzom: a w niewinności obyczajów wiejskich widzę to szczęście pogodnieysze i bez chmury, i pierwszy raz wystawiam sobie na myśli, pogodę życia niewinnego, które upływa w pokoju aż do końca. *Melidor* słuchał żony swojej z grzeczną powolnością: a iako balsam rokoszny rozchodziła się po sercu iego pociecha.

Z przykrością to przyszło *Melidorowi*, iż zezwolił na sprzedanie tych dóbr, któ.

których prerogatywy naybardziey iego próżności podchlebiały. Pisarz iego tak dobrze rozporządził wszystkie interesy, iż po pół roku *Melidor* zupełnie wybrnął z długów.

Trzeba było ieszcze utwierdzić go w tym dobrym przedsięwzięciu, przeciwko ponęcie natogu. *Acelia*, która wiedziała iak zażyć męża swego; nie wątpiła, iż w nim zatłumi skłonność do przepychu, wzbudzając w sercu iego inną skłonność rostopnieyszą i więcej spokoyności przynoszącą. Majętność, która im została, otwierała pole pracom pożytecznym: a *Acelia*, dla lepszego rozporządzenia rolnictwa, umyśliła złożyć radę z rolników. Ta rada składała się z siedmiu gospodarzy ludzi rozsądnych, którzy co niedziela u niey iadali. Takowy obiad zwał się biesiadą siedmiu mędrców. Rada odprawowała się przy stole. *Melidor*, żona iego i *Abbe* znaydowali się przy niey. Rozważano na tey radzie własności gruntów i nayprzyzwoitszą dla nich uprawę. Gatunek nasion i szczepów, wydobyć no-

wych folwarków, podzielenie gruntów, na lasy, pastwiska i role, bydła, do pracy i do opasu, odwracanie wód i ich zażycie, szczepienie i ogrodzenie; zgoda na drobniejsze szczególności gospodarstwa wiejskiego, na tey roztrząsano radzie.

Nasi mędrcom przy kielichu zagrzewali się, jeden drugiego nauczał. Słyszając ich mówiących, zdawało się widzieć skarby zakopane w ziemi, które tylko czekały, aby ich dobyto.

Takowe nadzieie cieszyły *Melidora*; a osobliwie to panowanie, które w rozrządzeniu prac gospodarskich miał, podchlebiało jego próżności: rozumiał zaś, że nie miał tego sposobu, aby mógł wszystkiemu wystarczyć. Zaczniemy tylko, rzecze *Acelia*, a ziemia nam potem pomagać będzie. Pierwszego roku nie wiele zrobiono: dosyć jednak, aby wzbudzić w *Melidorze* przedsmak ukontentowania wynikającego z udziałania rzeczy iakiey.

Przy wyjeździe do miasta, *Acelia* udarowała onych rolników; a iey uprzej-

me serce pomnożyło szacunek tych upominków, które im dała. *Melidor* powróciwszy do miasta, niewymownie był kontent z pomieszkania swojego, było wygodne i wesołe, meblowane z gustem bez zbytku.

Takie pomieszkanie nam przystoi, rzecze do niego żona, jeżeli będziemy rostopnemi, potrafiemy w nim być szczęśliwemi. Miała tę pociechę *Acelia*, iż postrzegła nudzącego się w Paryżu *Melidora*: gdzie nieznaczny w tłumie ludzi, wzdychał wyiechać na wieś; dokąd go żądza panowania pociągata.

Przed wiosną jeszcze wyiechali na wieś: gdzie zgromadzeni mędrcomie ustanowili całoroczne okół gospodarstwa roboty.

Melidor widząc, iż za iego staraniem ożywiona ziemia pracą wielu ludzi, stawała się dla niego żywną; uczuł niewymowną ztąd radość. Nowo wyrudowane grunta przez niego, za zdaniem rady obsiane, rozweseliły go pierwszym żniwem.

Codzień nowey doznawali pociechy; uważając, iż te pola, które dwiema laty przedtym puste odłogiem leżały, teraz robotnikami, trzodami, drzewem, zbożem, i ogrodowemi ziołami okryte są; a *Melidor* z niechęcią widział, iż się przybliżała pora wyiechania do Paryża.

Nie mogła *Acelia* wstrzymać ochoty widzenia się z ministrem, który iey podał rękę w nieszczęściu. Odmalowała mu obraz szczęścia, którego doznawali, tak uymuiący; iż wskrósł był nim przenikniony. Jesteś, rzecze do niey, wzorem wszystkich kobiet; dałby Bóg, aby ten przykład we wszystkich sercach ten uczynił wyraz, który się stał w moim! Kończ WPani; możesz się spuścić na mnie we wszystkim. Nadto mi honoru sprawuie, iż mogę przytożyć się do tego dobra, które WPani czynisz.

Nadchodząca wiosna wezwwała *Melidora* z *Acelią* na wieś. Ta szczęśliwa maieństwo ofiarowała obraz obfitości i dobrego gospodarstwa: ale edukacya, którą dzieciom dawali, daleko bardziey uymuiący wystawiała widok.

Chwalono w okolicy dwoje małżonków, którzy oddaleni od świata, w wesolej osobności, na tym swoją zasadzali szczęśliwość, aby dać iak naylepsze dzieciom swoim wychowanie.

Nawiedzmy ich, rzecze do męża swego *Acelia*; bierzmy od nich nauki. Przybywszy do pomieszkania ich, zobaczyli żywe wyobrażenie szczęścia i cnoty, Ichmość Państwa *de Lisbe* wpośród młodey familii, zatrudnionych iedynie staraniem, ukształcenia iey rozumu i serca.

Wdzięki, przystoyność, a nadewszystko postawa wesola tych dzieci uięty *Acelią*. Nie miały one owej dzikiey bojaźni, ani tey natrętney poufalości dzieciniego wieku: ich mowa, ich ruszenie, ich przystęp nie pokazywały tylko skutki udoskonaloney natury, które zwyczaj łatwemi uczynił.

Nawiedzamy WPanią, rzecze *Acelia* do Pani *de Lisbe*, ale do tego nie grzeczność była powodem, ale chęć nauczania się od WPani wychowania dzieci naszych. Upraszamy tedy WPanią, abyś nam w tey mierze udzieliła swoich pra-

wideł i swego sposobu, które ci się tak dobrze udały.

Nasz sposób jest prosty, odpowie Jmć Pani *de Lisbe*. Nasze prawidła na tym się zasadzają, abys się z dziećmi obchodzić podług ich wieku, czynić im zabawkę z rzeczy pożytecznych, uogólnić im to, co się do nauki podaje, a nie podawać im tylko to, coby pojąć mogli. Sposób zaś jeszcze łatwiejszy jest; prowadzimy ich przez ciekawość do nauki, a pod tym powabem ukrywamy przed niemi myśl pracy i przymusu, kierujemy ich ciekawość, wystawiając umysłowi ich niektóre powabne wyobrażenia.

Naycięższa zaś rzecz jest wzbudzić w nich emulacyą, bez zazdrości: co jeżeli nam się udało, szczęściu raczy aniżeli umiętności przypisać musimy. — Musieliście im wybrać dobrych nauczycieli? — Zadnych Mościa Pani. Myśmy się sami tego nauczyli, cośmy chcieli, aby dzieci nasze umiały. Nie uważasz WPani, iako gołębica żuic pokarm dla swoich piskląt? my ją naśladowujemy, a dwojaką zjad mamy korzyść i

pociechę: Sami się nauczamy, i dzieci nasze.

Ta mała praca, rzecze Pan *de Lisbe*, jest dla nas zabawką, ile żeśmy te wiadomości głębokie, które potrzebują wielkiego namysłu, odłożyli do wieku dojrzałego, a nasze nauki zastanawiają się tylko nad tym, co pod zmysły podpada. W wieku dziecinnym imaginacya jest nayżywsza, pamięć naypoiętniejsza; otóż ku celom tych własności obracamy umysł dzieci naszych. Widzimy oczami naszymi ziemię; historia ludzi i przyrodzenia wystawia nam obrazy; wiadomość języków na słyszeniu zawisła; część ta matematyki, która zmysłom podlega, zamyka się w liniach, wszystkie sztuki mogą być opisane, religia nawet i nauka moralna, bardziey się wzbudzaią przez sentyment, niżej się poymiają myślą: zgoła wszystkie nasze pojęcia proste i pierwiastkowe przez zmysły wprowadzone bywają, zmysły zatym dziecinnego wieku, mają daleko więcey przenikłości, delikatności, i żywości, aniżeli wieku dojrzałego.

Więc najlepiej w tym wieku użyć sposobności i siły natury, do pojęcia i poznania tego wszystkiego, gdzie nie potrzeba kombinacyi rozumu. Można i to przydać: że umysł wolny od wszystkich starunków cały się oddać takowym naukom; że jest chciwy wiadomości bez uprzedzenia: i że wszystkie komórki pojęcia i pamięci, będąc próżnemi, można w nich do upodobania osadzić myśli; zwłaszcza, gdy się w sposobie wprowadzenia ich zachowuje porządek naturalny, i gdy nie zażywając zbytniego pośpiechu, dać im czas ułożenia się, każdej na swoim miejscu.

Jak uważam, rzecz *Acelia*, to w tym potrzeba nieprzerwaney baczości. Ale to mię nie odstrasza. Takowa baczość, odpowie Pani *de Lisbe*, nie nie ma w sobie przykrego, i trudniącego; dzieci nasze są ustawicznie przy nas, mamy je zawsze na oczach, rozmawiamy z niemi, przyzwyczajamy ich do rozsądku i uwag: bez pokazania najmniejszey niecierpliwości pomagamy im do wytuszczenia myśli swoich, nie odra-

żamy ich, pokazując im gniew, lub wzgardę. Surowość, której z pożytkiem zażyć można na odwrócenie złego z zaniedbania wynikłego; na nie się nie zda w edukacyi nieustannej: a gdy się nie dopuszcza, aby natura wykroczyła z kolei, nie masz potrzeby przymuszać ją, aby się do niey wróciła.

Czy nie popełnię niewzględności winy, rzecz do niey *Acelia*, oświadczając chęć przysłuchania się takowym lekcjom? Jmć Pani *de Lisbe* zawołała swoje dzieci, które się z sobą bawiły na drugim końcu sali. Przybiegły zaraz do matki swojej z ową niewinną radością, którą *Acelia* była wskroś przenikniona. Moie dzieci, rzecz do nich matka, Jeymość chce się przysłuchać waszym odpowiedziom. Zadam wam niektóre pytania. Porządek wiadomości, których nabyły, zadziwił *Acelią*: ale najbardziej iey się podobały wdzięki i skromność, z któremi odpowiadały na przemiany; porozumienie dobre między niemi będące, i to ukontentowanie, które

pokazywało jedno z pomyślnych odpowiedzi drugiego.

Cel *Acelii* był uiać *Meliđora* takowym widokiem; i w samey rzeczy iey się udało; bo *Meliđor* aż do tćz poruszony został. O iak bardzo iesteś szczęśliwy, ustawicznie powtarzał do Pana *de Lisbe*. O! iak bardzo iesteś szczęśliwy, takie mając dzieci. Jest to naywiększe, które tylko zażyć można w życiu, ukontentowanie.

Acelia żegnając swych sąsiadów poleciała się ich przyiaźni; a uściskawszy tysiąc razy dzieci, prosiła, aby mogła czasem byđż przytomną ich naukom.

Czy może byđż rzecz iaka, więcey podziwienią sprawuiąca, i łatwieysza w wykonaniu? rzekła po drodze do *Meliđora*; czy może byđż aby ukontentowanie tak czyste, tak mało znane było; i aby to co wypływa z natury, tak rzadką było rzeczą na świecie? mamy dzieci, a nudziemy sobie wpośrząd farnilii swoiey! szukają się zabawy i rozrywki u obcych, mając w domu tak tkli-

we uciechy, i tak wielkiey wagi obowiązki do wykonania! Prawda jest, rzecz *Meliđor*, że nie wszystkie dzieci z takowemi się rodzą talentami. A któż nas upewnił, odpowie *Acelia*, że i dzieciom naszym Bóg tego nie użyczył daru? Obwiniamy przyjaciela naturę, a byśmy się od nagany uwolnili: i abyśmy się usprawiedliwili, oskarżamy ją. Wtenczas dopiero słusznie można ją obżałować, gdyśmy wszystko uczynili, aby ją poprawić. Nie mamy nieudolności ani serca złego, dzieci nasze nie powinny mieć tego. Żyjmy z niemi i dla nich; upewniam cię, iż nam będą podobne.

Widzisz w nas dwóch kolegów twoich, rzekła *Acelia* do *Abbe*; dopierośmy zakosztowali pociechy wynikającej z wychowania dzieci: i opowiedziała mu co widzieli, i co słyszeli. Chcemy tego samego się chwycić ułożenia, przydała. W Pan będziesz ćwiczyl dzieci nasze w ięzykach, *Meliđor* zaś rozpatrzy się w sztukach i w naturze; i przez to usposobi się do dania w tćy mierze

nauk. Dla siebie zaś zachowuję rzeczy najłatwiejsze, to jest: wdrować w serce dzieci moich obyczaj i uczucie. Spodziewam się, że za rok doydę ciebie.

Do ciebie zaś należeć będzie, pokazać nam źródła a podług naykrócey zebranego ułożenia podawać nam sposób nauczania się. Pochwalił *Abbe* takową emulacyą, a każdy z nich przykład się do wykonania wydzielonego obowiązku z gorliwością, która coraz bardziej a bardziej się pomnażała.

Już więc *Meliſſor* nie doznawał tęsknoty na wsi; zdawało mu się, iż czas daleko prędzszym szedł biegiem, nie stawało mu dnia do pilnowania prac rolniczych i nauk. Rzekłbyś, że te zabawy kradły go sobie na przemiany. Gospodarstwo domowe i nauczanie dzieci dzieliły między się cały czas *Acetii*. Przyłożyła się natura do uskutecznienia ich zamysłów. Dzieci ich pilne i pojętne, bądź to za przykładem rodziców, bądź też za powodem emulacyi zobopólney, podejmowały wszystkie pra-

ce z ochotą, czyniąc sobie z nich zabawę.

Ale takowa pomyślność, chociaż zupełnie zaspokoili serce dobrej matki, nie była nayistotniejszym celem iey starań. Upewniła *Meliſſorowi* niewyczerpane i iedyne źródło przeciwko tęsknocie osobności, i ponęcie życia rozrzutnego. Gdy widziała skłonność do nauk utwierdzoną w sercu iego: jużem tedy spokojna, rzekła. Takowe ukontentowanie nie wiele kosztuje, a wszędzie go znaleźć można; nigdy nie nudzi, a bawiący się nim nie ma przyczyny uciekać przed sobą samym. *Meliſſor* przyszedłszy zupełnie do siebie, nie tylko się nie wstydził przyznawać się, iż żonie swojej był winien poprawę swoją, ale do tego się chlubił, opowiadając wszystko co dla niego uczyniła, a by go zobłądzenia wyprowadziła. Ustawicznie chwalił iey odwagę, rozsądnosc, łagodność i stałość, którey w tey mierze użyła, a każdy słuchając go mówił: oto żona, iakich mało.

PRZYIAZN
NA DOSWIADCZENIU
POWIEŚĆ MORALNA.

CZĘŚĆ TRZECIA
TOMU III.



PRZYJAZN
NA DOSWIADCZENIU
POWIEŚĆ MORALNA.

WJEDNEY z tych szkół obyczajności, gdzie się młodzież Angielska ćwiczy w powinnościach człowieka i obywatela, rozum doskonali i uzacnia serce; *Nelson* i *Blanford* wstawili się przyjaźnią godną wieku złotego. A iako ta przyjaźń zasadzała się na doskonałej równości sentymentów i prawideł, czas ią tym bardziey utwierdzał: a codzień nabierała więcej oświecenia, ściśleyszą się stawała, ale ta przyjaźń była wzięta na doświadczenie; które ledwie wytrzymać mogła.

Po skończonych naukach każdy sobie obrat stan, podług skłonności wrodzonych. *Blanford* obrotny, czerstwy i mężny udał się do woyska i służby na

morzu. Zeglugi były jego szkołą. Przywykły do trudów, nauczony niebezpieczeństwem doszedł stopniami do rangi rządcy okrętu.

Nelson, obdarzony wymową mężką, rozumem dojrzałym i głębokim, był z liczby tych, z których naród składa swój senat, i wkrótce się wielce wstawił.

Tym sposobem każdy służył ojczyźnie, szukając uszczęśliwienia swego w przydawaniu iey się. Gdy *Blanford* walczył z okropnościami wojny i żywiołów, *Nelson* opierał się ponęcie faworów dworu i ambicyi. Oba stali się przykładem gorliwości heroiczney: rzekłbyś, że jeden zazdroszcząc drugiemu, ubiegali się na wyścigi do sławy i cnoty, albo raczej, że ze dwóch końców świata jeden duch obydwóch zagrzewał.

Nie ustaway, pisywał *Nelson* do *Blanforda*, służ ojczyźnie, zaszczycaj przyjaciół, żyj dla iedney, jeżeli można, umieraj dla drugiej, jeżeli potrzeba śmierć, którą opłakują, waży więcej, niż najdłuższe życie.

Nie ustaway, pisywał *Blanford* do *Nelsona*; obstawaj za prawami narodu i wolności, jeden uśmiech oyczyzny więcej waży, niżeli łaska królów.

Blanford, czyniąc powinność, zbogacił się; zawinął do brzegów oyczystych z plonem nabytym na morzu. Naywiększym zaś skarbem jego była młoda *Indyanka*, rzadkiey w każdej części świata piękności.

Pewny *Bramin*, któremu niebo w nagrodę cnót wielkich tę dało iedynaczkę, powierzył ją umierając opiece wspaniałego Anglika.

*Koral*y jeszcze nie doszła piętnastego roku; iedyną była pieśczętą sędziwego oycy, i najmilszym starań jego celem. Wieś, w której mieszkał, dobyli i pustoszyli Anglicy. *Solinzeb* (tak się nazywał ten godny starzec) stawa na progu domu swego. Stóycie, woła na zaciektych żołnierzy, którzy do ubogiej doszli chaty; stóycie: bądźcie co chcecie, Bóg przyrodzenia, Bóg dobroczynny jest waszym i moim Bogiem.

Szanujcie wemnie opowiadacza praw
iego.

Te słowa, dźwięk głosu, weyrzenie
czci godne wzbudziły poszanowanie,
lecz próżno. Śmiertelny pocisk już wy-
puszczony, na śmierć ranny Bramin
upada na łono drżący córki.

W tym momencie *Blanford* przybiega.
Przybywa wstrzymać zapalczywość żoł-
nierzy. Wrzeszczy, przebił się przez
tłum, widzi wspierającego się Bramina
na młodej dziewczynie, która go le-
dwie utrzymuje, i sama chwyciła się
obleva łzami spłotniałą twarz starca.
Na ten widok natura, piękność i mi-
łość rozszerzają dzielność swoją w ser-
cu *Blanforda*. Łatwo poznał, iż *Solinzeba*
jest oycem tej, która go z tak uprzej-
mym bolem do serca przytulała.

Okrutnicy! zawoła na żołnierzy; od-
dalcie się. Czy się nie wstydzicie z słab-
bami i z niewinnymi, z starcami i z
dziećmi wojować? Czci godny mąż!
rzuć do Bramina; żyj, żyj, dopuść
abym nadgrodził występki tych dusz
dzikich.

Wyrzekłszy to, bierze na ręce star-
ca, składa go na łożu, obciera jego ra-
ny, i wzywa na pomoc wszystkie u-
miejętności sztuki lekarskiej. *Koral*,
widząc takową pobożność i czułość w
cudzoziemcu; rozumiała, iż bóstwo ia-
kie zstąpiło z nieba, dla dania ulgi i
pomocy iey oycu.

Blanford, który nie opuszczał na krok
Solinzeba, starał się utagodzić gorycz
bólów jego córki: ale ta zdawała się prze-
czuwać nieszczęście: dzień i noc na
wylaniu łez przepędzała.

Bramin, czując nadchodzący zgon ży-
cia: chciałbym, rzecze do *Blanforda*, u-
mrzeć nad brzegiem Gangesu, i oczy-
ścić się w wodach tej rzeki. Mój oy-
cze, odpowie mu młody Anglik, gdy-
by wszystko było bez nadziei, bez tru-
dności, mogłbyś mieć tę pociechę: ale
na cóż do niebezpieczeństwa, w któ-
rym twoje życie zostaje, przydawać
niebezpieczeństwo boleśney podróży?
daleko tu ztąd do Gangesu! A do tego
(niech cię móla otwartość nie uraża)
Bóg przyrodzenia serce tylko chce mieć

czyste: a jeżeliś wykonywał prawo, które on w sercach naszych wydrążył, jeżeliś tyle dobrego ludziom uczynił, ileś mógł, jeżeliś unikał szkodzić im; Bóg który ich kocha, będzie cię kochał.

Umiesz wzbudzać pociechę, odpowie mu *Bramin*. Ale ty, który zasadzasz powinności człowieka na szczerey pobożności i obyczajach czystych; iakże się możesz znajdować na czele tych najeźdźców, którzy pustoszą Indya i broczą się posoką ludzką?

Widziałeś, rzecze *Blanford*, iż nie upoważniam takowe pustoszenia. Handel nas przyciąga do Indyi: a gdyby ludzie byli dobrej wiary i rzetelni, zobopolna zamlana wzajemnych potrzeb z sprawiedliwością i w pokoiu odprawicby się mogła. Gwałt waszych *Panów* przyniewolił nas do rzucenia się do broni, dla własnego bezpieczeństwa. Od bronienia się do napaści, krok jest zbyt bliski, tak, że za najpierwszą pomyslnością, za najmnieyszą korzyścią

z uciemiezonego staie się uciemieźciel.

Woyna, iest to stan gwałtowny, którego ciężko w swych wstrzymać obrębach. Niestety! gdy człowiek staie się odrodkiem przyrodzenia, czy możeż on bydź sprawiedliwym? Tu iest moim obowiązkiem, bronić i zasłaniać handel narodu Anglików, wzbudzać poszanowanie i cześć dla oyczyzny moiey. Wykonywając ten obowiązek, staram się ile mogę, oszczędzać krwi i łez, które woyna wytacza; miałbym się za szczęśliwego, gdyby śmierć człowieka sprawiedliwego, śmierć oycy *Koralu*, była z liczby tych zbrodni i nieszczęść, od którychbym świat mógł uwolnić! Tak mówił cnotliwy *Blanford*, przytulając do serca zdumionego starca.

Wmówiłbyś wnet wemnie, rzecze do niego *Solinzeb*, że cnota iest wszędzie jedna i nieodmienna. Lecz nie widzisz w Boga *Wistnou*, i w dziewięć przeobrażeń iego; iakimże sposobem człowiek pocziwy uwierzyć nie może? Posłuchay mię mój oycze, rzeczo

Anglik. Miliony milionów są ludzi na świecie, którzy w życiu swoim, i słowa nie słyszeli o Bogu *Wistnou*, i o jego przypadkach; z tym wszystkim tym ludziom słońce świeci, oddychają powietrzem czystym, piłą zbawienne wody, a ziemia udziela im owocu każdej pory roku. Czy wierzyć mi będziesz? między tym ludem, tak właśnie iak między dziećmi *Bramy*, znajdując się ludzie cnotliwi i sprawiedliwi. Stusznosc, otworzystosc, prosto-szczerość, dobroczynność i pobożność są w poszanowaniu u nich, nawet i u złych. O mój oycze! wyobrażenia myśli różnią się podług kraju: ale uczucie jest wszędzie nieodmienne; a światło, z którego to wynika, rozrzuca nakształt słońca wszędzie swoje promienie.

Ten cudzoziemiec mię oświeca i zadziwia, mówił sam w sobie *Solinzeb*. To wszystko, co serce, co rozum, co wewnętrzne natchnienie natury do wierzenia mi podają; on temu także wierzy, i to tylko w moim obrządku nagania, czego ja sam pochwalić nie mo-

gę. Ty wierzysz więc, rzekł do *Blanforda*: że człowiek sprawiedliwy może spokojnie umierać? — Nieinaczej. — I ja tak sądzę, i czekam śmierci, iak snu miłego. Ale gdy umrę! gdzież się moja córka podzieje? spustoszenie i niewola ogarniają moję oycyznę! moja córka mnie tylko miała na świecie; a ja wnet żyć przestanę. — Ach! jeżeli nie-szczęście przeznaczyło, aby utracić oycę; racz ją powierzyć mojej opiece. Biorę Boga na świadectwo, iż iey niewinność, czystość, i wolność będą pod strażą pocziwości moiej; i nigdy nie będą naruszone. — W iakieyże wie-rze będzie wychowana? — W twoiej, jeżeli tego żądasz; a jeżeli mi wierzyć zechcesz, w moiej: ale zawsze w skromności i uczciwości, które wszędzie czynią zaszczyt niewiasty. — Młodzień-cze! (odpowiedział mu *Bramin* z postawą wspaniałą i groźną) Bóg słyszał twoją przysięgę, a ten starzec, z którym ty mówisz, wkrótce stanie przed obliczem iego. Nie potrzeba, odpowie *Blanford*, abyś mi dawał uczuć świę-

tożliwość przyrzeczeń moich. Jestem człowiekiem, i krewkim człowiekiem: ale nie na świecie tak nie jest statecznego, iako poczciwość serca mego. Te słowa, wyrzeczone z stateczną odwagą, przeniknęły Bramina. — Chodź *Koralę*, rzecz do córki swojej; chodź uściskać konającego oycę, chodź uściskać twego drugiego oycę, niech będzie po mojej śmierci twoim przewodnikiem i nauczycielem. Oto masz moje dziecię, przydał, *Veydam* książkę prawa oyców twoich. Rozważywszy ją dobrze, dasz się nauczyć wiary tego cnotliwego cudzoziemca, a potym z tych dwóch obrządków obierzesz sobie ten, który ci się najzdatniejszy zdawać będzie do uczynienia ludzi cnotliwemi.

Następujący nocy Bramin umarł. Córka jego napełniając krzykiem swoim powietrze, nie mogła się oderwać od martwych i spłotniałych zwłoków, które łzami oblewała. Nakoniec przez wielkość bólu upadła na siłach. Korzystało z tej niemocy, aby ją od tego nie-
szczęsnego oddalić miejsca.

Blanford, którego powinność przywoływała z Azyi do Europy, wziął z sobą w tę podróż młodą Indyankę. Ta chociaż była piękna, i łatwa do zwiedzenia, on młody, i żywo zakochany, niewinność jej żadnemu nie była wystawiona niebezpieczeństwu. W przeciągu podróży zatrudniał się nauczaniem języka Angielskiego, i obyczajów Europejskich: usiłował przesady, których w swym kraju nabyła; z pojętnego wygładzić umysłu.

Nelson zabiegł drogę przyjacielowi. Przywitali się z niewymowną radością: ale natychmiast widok *Koralę* zastanowił i zasmucił *Nelsona*. Cóż czynisz z tym dzieckiem? rzekł do *Blanforda* głosem surowym. Twoja to branka? czy niewolnica? Czyś nie wykradł ją rodzicom? czyś nie strapił przyrodzenia? *Blanford* opowiedział mu, co się stało, odmalował mu obraz uymujący niewinności, szczerości i czułości młodej Indyanki, który rozrzewnił *Nelsona*. Takie jest moje ułożenie, rzekł daley *Blanford*, przy matce mojej, i pod jej

dozorem będzie się uczyła obyczajów naszych, ukształcę iey serce proste, i pojętne: a jeżeli będzie mogła być szczęśliwą zemną, poymę ją za żonę.— Odetchnąłem, jużem spokojny: bo znalaznię przyjaciela mego.

Opisywano nie raz zadumienie, i różne poruszenia młodey cudzoziemki, dla której wszystko nowością; *Koraty* doznała to wszystko. Lecz szczęśliwa łatwość, z którą wszystko poymowała i nięta; uprzedzała staranie około nauczania iey miane. Rozum, talenta, i wdzięki były wrodzonym iey darem; które bez wielkiej pracy mogły być udoskonalone.

Szesnastego dochodziła roku, gdy *Blanford* miał się z nią przez uroczyste złączyć śluby. Wtym matka iego umarła. *Koraty* opłakiwała iey śmierć, iak własney matki swojej; a te usiłowania, których zażywała na cieszenie *Blanforda*, nięty serce iego. W przeciągu żałoby, dla której odłożono śluby; odbiera *Blanford* rozkaz, aby się puścił na morze.

Pobiegł do *Nelsona*, powierzył mu wielkość umartwienia swego, które ponosił, nie dla tego, iż się oddała od młodey *Indyanki*, (byłby go albowiem zawstydził *Nelson*) lecz dla tego, iż ją zostawie sierotą, wpośród nieznanego jeszcze świata. Gdyby matka miała żyła (rzekł) miałaaby nad nią pieczę: ale nieszczęście, które prześladowie to biedne dziecko; zabrało mu tę jedyną ucieczkę. Czy zapomniałeś, rzecze mu *Nelson*, że mam siostrę, i że dom mój, jest domem twoim? ach *Nelson*, odpowie mu *Blanford*, wlepiwszy w niego oczy; gdybyś wiedział iaki to jest skarb, który pragniesz abym ci powierzył! Na te słowa, gorzko się uśmiechnął *Nelson*. Otóż osobliwsza niespokojność, która nam obiemu wiele czyni sławy! Jako! boisz się powierzyć mi kobiety? *Blanford* zawstydzony zapłonał się. Przepuść, rzecze, tey słabości, wystawiła mi niebezpieczeństwo, gdzie twoja cnota żadnego nie widzi. Podług mego serca o twoim sądziłem: mnie tedy samego ta podeyrzliwość u-

pokarza. Nie mówmy więcej o tym. Spokojny odieżdżam, skarb miłości oddaję pod straż przyjaźni. Ale kochany *Nelson*, jeżeli mi każą umrzeć wyroki, żądam po tobie, abyś moje miejsce zastąpił. — Dobrze, oycem dla niey będę, więcej nie wyciągay. — Dosyć mi na tym: już mię nic nie zatrzymaie.

Pożegnanie *Koral*y z *Blanfordem* rzewnemi było oblane łzami: ale łzy *Koral*y nie wypływały z miłości. Żywa wdzięczność, poszanowania pełna przyjaźń, były iedyne sentymenta, które w sercu iey wzbudził *Blanford*. Sama ieszcze swojey czułości nie znata, niebezpieczna korzyść wskrzeszenia iey, była zachowana dla *Nelsona*.

Blanford był urodziwszy, niż iego przyjaciel: ale iego uroda, tak iak charakter, miała w sobie coś męskiego i surowego. Te sentymenta, które powziął do swojey sieroty, bardziey tchnęły duszą oycy, niżeli amanta. Były to starunki bez przypodobania się, dobroć bez przyjemności, chęć uprzejmy przydawania iey się, ale smutna. Bardziey

pragnął uczynić ią szczęśliwą z sobą, aniżeli bydź szczęśliwym z nią.

Nelson, będąc charakteru powolniejszego, miał więcej łagodności w postawie i w mowieniu. Oczy iego nade wszystko miały wymowę duszy. Jego wyrzeczienie uprzejme, zdawało się przenikać do gruntu serca, i z nim sobie taiecznie sprawiać porozumienie; głos iego, który był nakształt gromu, gdy bronił oyczyzny swojey, praw, sławy i swobod; niewymowny miał wdzięk i przyjemność w poufałym posiedzeniu. Ale go naybardziey przyjemnym czyniła skromność, po całej iego okazująca się postawie. Ten człowiek, któryby będąc na czele narodu, zastraszył Tyranów, w towarzystwie miał lęklwą boiaźń; iedno słowo na pochwałę iego wyrzeczone, oblewało go rumieńcem.

Siostra iego, *Julianna Lady Albury*, wdowa, miała rozsadek głęboki, i serce wyborne; ale rostopność iey niepokojna uprzedzata zawsze iakie niebezpieczeńście, i zamiast oddalić, przyspie-

szalała ić. Tey tedy zlecono było, aby cieszyła młodą Indyanke. — Utraciłam mego drugiego oycy, rzecz do niey to miłe dziecko. Nie mam nikogo na świecie, tylko ciebie i *Nelsona*. Moie życie, i moje serce wam iest oddane.

Gdy czyniła *Juliana* przymilenia, *Nelson* nadszedł, *Koraly* wstała z miejsca z twarzą uśmiechającą się i pogodną; ale jeszcze łzami oblaną.

A cóż, rzecz *Nelson* do siostry, czyś ukoila żal tego dziecka? Oh jużem ukoiona: nie iestem już do pożalowania, zawołała młoda Indyanke, ocierając śliczne czarne oczy. Wtym, posadziwszy *Nelsona* przy siostrze; upadła przed niemi na kolana, wzięła ich ręce, a iedną z drugą złączywszy, swoimi mocno ścisnęła. Oto moja matka, rzekła do *Nelsona*, z weyrzeniem, któreby było i marmur zmiękczyło; a ty *Nelson*, czym ty będziesz dla mnie? — Ja Mościca Panno? dobrym przyjacielem. — Dobrym przyjacielem, rzecz najmilsza! więc i ja będę twoją dobrą przyjaciółką, zawsze mię tak nazyway. —
Z och-

Z ochotą moja dobra przyjaciółko; kochana *Koraly*, twoja naiwność mię uymuje. O mój Boże! rzecz do siostry, jakie śliczne dziecko! sprawi szczęście życia twoiego! Oby tylko nie sprawiła nieszczęścia, twego, odpowie mu przewidzająca siostra. *Nelson* się uśmiechnął z wzgardą. Nie moja siostro, odpowie, nigdy miłość nie zatłumi w sercu moim prawa świętey przyiaźni. Nie troszcz się w tey mierze, a bez żadney boiaźni bierz się do udoskonalenia tak pięknych przymiotów. Niezmierną *Blanford* uczucie pociechę, gdy za powrotem iego będzie dobrze umiała ięzyk. Pokazują się w niey niektóre myśli, i wewnętrzne poruszenia, które że wyrazić w słowach nie może, smuci się. Jey weyrzenie, ruszenie, i wyraz twarzy obwieszczają iakieś dowcipne myśli, które tylko na słowa czekają, aby się wyraziły. Wielce cię to dziecko moja siostro bawić będzie; zobaczysz, iak się rozum iey naksztatt kwiatka, rozwiać będzie. — Tak iest braciszkę; naksztatt

kwiatka, który dla nas wiele ukrywa kolcy.

Lady *Albury* uczyła ustawnie po Angielsku swoją sierotę, która niewymownego tej nauce dodawała powabu; łącząc do niej wyrazy sentymentu, z ową delikatnością i żywością, która tylko jest własnością szczerzej natury.

Cieszyła się wielce, gdy się nauczyła jakiego słowa wyrażającego jakie słodkie wewnętrzne poruszenie duszy; zażywała tego słowa, wyrażając naiwne i uprzejme rzeczy. Gdy *Nelson* nadszedł, biegła do niego, powtarzała mu swoje lekcye z radością i prostotą; która go tylko dotychczas bawiła. *Julianna* sama postrzegła ztąd wypływające niebezpieczeństwo. Chciała temu zapobiedz.

Zaczęła tedy od przełożenia *Koral*y: iż nie jest grzecznością mówić sobie ty: między bratem a siostrą to tylko uchodzi: trzeba mówić *Waszmość Pan*. Prosiła *Koral*y o wytłumaczenie tego słowa *grzeczność*; a potem spytała się, na

co się ta grzeczność zda, gdy iey brat i siostra nie potrzebują? powiedziano iey: że grzeczność na świecie zastępuje miejsce życzliwości.

Wniosła ztąd sobie, że ludzie, którzy sobie szczerze dobrze życzą, mogą się obejść bez niej. A gdy dołożono, iż grzeczność pokazuje chęć podobania się i obowiązania, odpowiedziała, że takowa chęć oświadczyć się może bez grzeczności; a dając na przykład pieśka *Julianny*, który ją nigdy nie opuszczał, i ustawicznie iey się łasił, zapytała się, czy i ten piesek był grzeczny.

Stała *Julianna* na przystoyności: iż z nią się nie zgadza zbyt wolne i wesole z *Nelsonem* obchodzenie się. *Koral*y, która znała zazdrość (gdyż natura iey dała uczucie) domyślała się, iż siostra zazdrości iey tych dowodów przyjaźni, które od brata odbierała. Nie będą więczy zasmucała W Panią; kocham ją, będę posłuszną, i *Nelsonowi* będę, *Waszmość Pan*, mówiła.

Odmiana sposobu mówienia *Koralę* zadziwiła *Nelsona*, żalił się oto przed *Julianą*. Bardzo mi się, (rzekł) to *Waszmość Pan* w iey ustach nie podoba, nie zgadza się z iey naiwnością. I mnie się także nie podoba, odpowie *Indyanka*, ma w sobie coś odrażającego, coś ostrego: a to słowo *ty* ma coś łagodnego, uprzejmego, i przyciągającego! — Uważaszże moja siostrzo? zaczyna umieć nasz ięzyk. — Ach! to mię wcale nie obchodzi. Dusza taka, iak iey, aż nadto dobrze się tłumaczy. Proszę mię nauczyć, rzekła *Koralę* do *Nelsona*, zkąd się ten śmieszny wziął zwyczaj, iż mówią do jedney osoby *Waszmość Pan*. — Ma on, moje dziecko, swój początek w pysze i słabości człowieka, rozumie, że małą rzeczą jest, gdy tylko jest jednym, stara się podwoić i pomnożyć się w myśli. — Poymuię ja to głupstwo, ale ty, *Nelson*, ty nie masz tey próżności. — Znowu *ty*, przerwała *Juliana* głosem surowym. — Ach moja siostrzo, czy ią chcesz łązać? chodź *Koralę*, chodź do

mnie. — Ja iey zakazuję. — Jakżeś okrutna! czy może byź dla niey iakie niebezpieczeństwo, przy mnie? czy mnie masz w podeyrzeniu, iż iey siła stawiam? Ach! zostaw iey tę czystą wrodzonosc, zostaw iey miłą otworzystosc iey krai i wieku! dla czego kazić ten kwiat niewinności, daleko kosztowniejszy, niżeli cnota sama; który nasze obyczaje ledwie naśladować mogą. Mnie się zdaie, że się zasmuca natura, gdy wiadomość ztego do iey dochodzi duszy. Jest to iadowite ziele, które samo rośnie, nie potrzeba ie siać. — Bardzo pięknie mówisz, ale ponieważ iest złe na świecie, trzeba go się strzedz; aby go się ustrzedz, potrzeba ie znać. — Ach moja biedna *Koralę*! do iakiego iestes przeniesiona świata! iakie to obyczaje! które każą utracić iedną część niewinności, aby drugą w całości zachować.

Im więcej nabywała wiadomości moralnych *Koralę*, tym mniej pokazywała żywości i otwartości wrodzoney. Każdy przepis zdawał się byź nowym pę-

tem. Otóż znowu obowiązek! mówiła. Otóż znowu zakaz! moja dusza niemi spętana wkrótce się nie będzie mogła ruszyć. Ze to nazywano występkiem, co innym mogło szkodzić, poymowała to bez trudności *Koralę*: ale tego nie mogła pojąć, aby to, co nikomu nic złego nie czyniło; mogło być rzeczą złą. Czy może być coś szczęśliwszego na świecie, jak żyjąc razem, widzieć się z radością? za cóż ukrywać przed sobą to słodkie wzruszenie?

Radość jest dobrodziejstwem; dla czegoż mam ją tać przed tym, który ją wzbudza w sercu moim? Tu zmyślają radość z ludźmi, których nie kochają; zmyślają, iż iey nie czują z ludźmi, których kochają! iakiś nieprzyjaciel prawdy, powymyślał takowe obyczaje.

Tym podobne uwagi zanurzyły tę zbyt czułą Pannę w głęboką melancholię; a gdy iey to wymawiała *Julianna*: Wiesz WPani przyczynę, odpowiedziała iey. To wszystko co się sprzeciwia naturze, powinno ją zasmucić: a

w obyczajach waszych wszystko w brew jest przyrodzeniu.

Koralę, pokazując niecierpliwość i markotność; miała coś łagodnego i uprzymego: czym tknięta *Lady Albury*, żałować poczęła, iż ją zbytnią zasmuciła ostróżnością. Najlepszy sposób cieszenia i powrócenia wesołości był, gdy iey *Julianna* co robić rozkazała. Myślała, iż się stawiała użyteczną, niezmiernie ją cieszyła, starała się uprzedzić żądanie *Julianny*, ale też same przysługi, które czyniła siostrze, chciała, także czynić bratu; bardzo ją martwiono, gdy iey gorliwość w tym hamowano.

Przysługi niewolnicze (mówiła) są podłe i nikczemne, ponieważ nie są dobrowolne; ale gdy z dobrej woli pochodzą, nie mają w sobie nic sromotnego: bo przyjaźń ie uzacenia. Nie obawiaj się moja dobra przyjaciółko, abym się dała poniżyć. Chociaż bardzo młoda byłam, nim wyjechałam z Indyi, jednakowoż wiedziałam dobrze zacność tego pokolenia, z którego pochodzę: i gdy wasze piękne damy, i młodzi Lor-

dowie przychodzą przypatrywać mi się z zbyt poufatą ciekawością, ich wzgarda bardziej duszę moją podnosi, i znam to, że tyle ważę, co oni. Ale z WPanią i z *Nelsonem*, którzy mię iak córkę kochacie; cóż może być upokarzającego dla mnie?

Nelson zdawał się być podczas zawstydzonym, przez przysługi, które mu czyniła *Koralę*. Musisz być pysznym, mówiła do niego; ponieważ cię zawstydza, iż moich potrzebniesz usług, iam nie jest tak harda, usługny mi; bardzo mi to będzie podchlebiato.

Wszystkie te wyrazy duszy czułej i prosto-szczerey, zasmucały *Lady Albany*. Lękam się, rzekła do *Nelsona*, gdy byli sami; lękam się, aby to dziecko ciebie nie kochało, i żeby ta miłość nie była dla niey nieszczęściem. *Nelson* powiedział iey, iż krzywdę czyni niewinności. Otóż, rzekł daley, tym sposobem złe użycie słów odmienia i przeobraża myśli. *Koralę* mię kocha, wiem o tym; ale ona mię tak kocha, iak ciebie. Cóż może być naturalniejszego,

iak przywiązywać się do tego, co nam dobrze czyni. Opaczne tłómaczenie w obyczajach naszych słodkich i żywych wynurzeń sentymentu sprawiedliwego i chwalebnego, czy może obwiniać to wdzięczne dziecko; w której myśli to nigdy nie postało, co się im przypisuje występnego? — Nie, mój braciszku, nie rozumiesz mię. Nie nie jest niewinniejszego nad tę miłość, którą ma ku tobie; ale... — Ale moja siostrzyczko, na cóż się domyslać, na cóż chcieć, aby to było miłością? nie innego to nie jest, tylko dobra i prosta przyjaźń, którą ma dla mnie, którą ma równie dla ciebie. — Koniecznie chcesz wierzyć, iż to jest ieden sentyment. Chceszli doświadczyć? udaymy przed nią, iakobyśmy się rozłączyć mieli; daymy iey na wolą wybrać sobie, przy kim będzie chciała zostać. — Otóż podeyście! otóż siódła! Dla czegoż ją zwodzić? dla czego nauczać ją zmyślania? Ach! czy zmyśla kiedy przed nami? — Zaczyna sobie przykrzyć zemną, i od tego czasu, iak ciebie kocha, boi mnie się. —

A czemuś w niej wzbudziła bojaźń? Chcemy otworzystości, a przywiązujemy do niej niebezpieczeństwo: żądamy prawdy, a gdy się wymknie, naganiamy ją. Nie można natury obwiniać; gdyby miała wolność, byłaby szczerą; przymus, którego zażywamy, skłania ją do kłamstwa. — Bardzo poważne czynisz reflexyę w rzeczy, która dobrze zważona jest tylko żartem. Koniec końcem, o cóż tu chodzi? na moment zafrasować *Koralę* dla obaczenia, ku której stronie skłaniać się będzie iey serce? — Ale w tym trzeba użyć kłamstwa, a co najgorsza kłamstwa martwiącego. — Nie myślmy więcej o tym. Daremno jest rozważyć rzecz iaką, której wiedzieć nie chcemy. — Ja, moja siostra, ja chcę byż oświeconym, abym wiedział iak sobie postępować; sposób mi się tylko nie podobał; lecz niech się i tak stanie, cóż chcesz abym czynił? — Udaway milczenie i postawę poępną. *Karoly* nadchodzi; usłyszysz nasze rozmowy.

Cóż to znaczy, rzekła *Karoly* zbliżając się do nich; *Nelson* na jednym końcu, *Juliana* na drugim! czy się gniewacie na siebie? — Uczyniliśmy pewne ułożenie, które nas zasmuca, odpowiedziała *Juliana*: ale trzeba było koniecznie to uczynić. Nie będziemy mieszkać pod jednym dachem, każde z nas będzie miało dom swój, stanęliśmy na tym, abyś sobie obrała przy kim chcesz zostać.

Na te słowa, *Koralę* wlepiła w *Julianę* oczy wyrażające ból i zadziwienie. Ja jestem, rzecze, przyczyną, iż chcesz opuścić *Nelsona*. Gniewasz się, iż mnie kocha, zawiścisz mi tej litości, którą w nim wzbudza młoda sierota. Ach! czegoż nie będziesz zazdrościła, gdy zazdrościsz litości, a do tego zazdrościsz tej, która ciebie kocha, któraby za ciebie łożyła życie swoje; to jedyne dobro, które jeszcze posiada. niesprawiedliwą jesteś, moja Pani: oh! niesprawiedliwą jesteś! Jeżeli mię brat twój kocha; to nie umniejsza w nim miłości ku tobie; i gdyby można było, bar-

dzieyby cię jeszcze kochał; bobym weń wlała wszystkie moje sentymenta, które tchną miłością i uprzejmością ku tobie.

Próżno starała się *Juliana* wybić iey te myśli z głowy; upewniając ią, iż się w dobrej przyjaźni rozstają. To bydź nie może, rzecze, w spólnym pożyciu zasadzaliscie wasze szczęście; od któregoż czasu potrzebuiecie mieć osobne pomieszkania? Ludzie którzy się kochają, nigdy sobie nie czynią zawady; tym tylko się podoba rozstanie, którzy się nienawidzą. Wy? o mój Boże! wybyście się mieli nienawidzić, zawołała; a któż się będzie kochał, jeżeli dwoje serc tak dobrych, tak cnotliwych przestanie się kochać? iam to jest nieszczęśliwe dziewczę, któram wniosła zamieszanie w dom pokoju. Póydę precz od was: oy póydę; zaklinam was, odeszlycie mnie do moley oyczyzny: znajdę tam dusze czułe, które moje nieszczęścia i łzy poruszają, i które nie poczytają mi za występki, gdy wzbudzę cokolwiek litości.

Czyś zapomniała, rzecze do niey *Juliana*, żeś jest zastawem naszey polecenym straży? Jestem wolna, odpowiedziała z wyniosłością *Indyanka*; nie zabroniono mi iest rządzić sobą. A cóż ja tu czynić, przy kimże zostawać będę? jakim okiem patrzeć się będziecie na tę, która was poróżniła? Czy zastąpię siostrę *Nelsonowi*? czy tobie nadgrodzę stratę brata? ja nędzna przeznaczona iestem, abym sprawiła nieszczęście, tego, co kocham iedynie! nie, nie opuścicie się; moje ręce będą łańcuchem dla was. Wtym pobiegła do *Nelsona*, a uchwyciwszy go za rękę: chodź, rzekła do niego, przysięż siostrze twoiey, iż nad nią nic bardziej nie kochasz na świecie. *Nelson*, wskroś przenikniony, dał się prowadzić do *Juliany*. Rzuciła iey się na szyję *Kordy*: o ty, rzekła, jeżeliś iest moją matką, przepuść mu, iż kochał twoie dziecię, serce iego wystarczy nam obiema: a jeżeli na tym co stracisz? moje serce obficie ci nadgrodzi tę stratę. Ach! niebezpieczne dziecko, rzekła rozrzewnio-

na Angielka; iak wiele ty nam gotujesz trosków! ach moja siostró, zawołał *Nelson*, który czuł iako go *Koralę* do piersi *Julianny* przytulała; czy masz tyle serca zasmucać to dziecko!

Koralę rozradowana z wygranej, uprzeymie całowała *Juliannę*. Właśnie wtenczas, gdy *Nelson* twarz swoją przy licach siostry trzymał, uczuł, iż rozpalone lice *Koralę*, łzami jeszcze zmoczzone, iego się dotykały twarzy. Pomieszanie i wzruszenie, które w nim to zdarzenie sprawiło, zadziwiło go mocno. Szczęściem, mówił sam w sobie, zmysły tylko są poruszone, ale dusza jest spokojna. Umiem sobą rządzić, mogę się spuścić na siebie. Ukrywał jednak to przed siostrą, co chciał przed sobą utaić. Uskramiał łagodnemi słowy smutek *Koralę*, oświadczając iey, iż to co się powiedziało dla uczynienia iey niespokojności, było szczerym żartem. Ale ta rada moja kochana *Koralę*, którą ci daję, nie jest żartem, to jest: abyś nie dowierzała sercu twojemu zbyt czułemu i prostemu. Nic nie

jest miłszego nad twój charakter uprzeymy i życzliwy: ale naylepsze rzeczy, stają się często gęsto niebezpieczne, gdy nie są umiarkowane.

Racz ukoić moją niespokojność, rzekła *Koralę* do *Julianny*, skoro *Nelson* wyszedł. Mówcie co chcecie, nie jest rzeczą naturalną czynić sobie zabawkę z mego bólu. Coś poważnego w tym upatruję żarcie; widzę cię bydz żałośnie poruszoną; *Nelson* sam iakąś okropnością był zdięty; czułam iako ręka iego drżała w moiej ręce. Moie oczy z iego się zeszyły; widziałam w nich coś rzewnego i bolesnego razem. Lękam się moiej czułości. Kochana przyiaciółko, powiedz mi, czy kochanie jest złym? — Tak jest, moje dziecko, ponieważ ci trzeba prawdę powiedzieć, jest złym dla ciebie i dla *Nelsona*. Niewiasta, iakęś w Indyi mogła widzieć; niewiasta jest przeznaczona bydz towarzyszką iednego człowieka; przez uroczyście i święte węzły złączona, rokosz kochania jest dla niey powinnością. Wiem, rzecze w prostocie *Koralę*, i to

się nazywa małżeństwem. — Tak jest *Koralu*: a ta przyjaźń chwalebna między dwoma małżonkami, jest zakazaną przed małżeństwem. — Co to, to nierozumnie się dzieje, odpowie młoda Indyanka: chcąc się złączyć przez uroczyste śluby, potrzeba wprzód być pewnym, jeżeli wzajemna miłość trwać będzie; a tylko z kochania, które już jest, można wnosić o kochaniu, które będzie. Naprzykład, gdyby mię *Nelson* tak bardzo kochał, iak ja go kocham, rzeczą byłoby oczywistą, żeśmy sobie przeznaczeni; — a nie uważaszże *Koralu*, iak wielu względnościom i przyzwyczajnościom jesteśmy podlegli; i żeś ty nie jest przeznaczona *Nelsonowi*? Zrozumiałam *WMPanią*, odpowie *Koralu* spuszczaąc oczy; *Nelson* bogaty, ja uboga: ale przynajmniej to nieszczęście nie zabrania mi wielbić i kochać cnotę dobroczynną. Gdyby drzewo miało uczucie, lubiłoby widzieć tego, który je pielęgnuje, spoczywającego pod jego cieniem, jego kwiatów tchnącego zapachem, i smakującego słodkie owoce.

ce. Jam jest to drzewo pielęgnowane rękami waszemi: a natura dała mi duszę.

Uśmiechnęła się *Juliana* nad tym porównaniem, ale wnet przewiodła ją, iż to, co iey się zdało rzeczą sprawiedliwą, jest nieprzystoyną. *Koralu* słuchata iey pilnie, zarumieniła się, i od tego czasu żywość i prosto-szczerłość wrodzona ustąpiła miejsca zbytney ostrożności i postawie bojaźliwey.

Naybardziej nierówność zbytney bogactw iey się nie podobata w naszych obyczajach, chociaż równe przykłady w Indyi widzieć mogła; nigdy ją iednak ta nierówność nie zasmucała i upokarzała. Pierwszy raz dopiero uczuła smutek i poniżenie.

Młoda Pani, rzekła nazajutrz do *Juliany*, życie moje upływa na nauczaniu się rzeczy mniej pożytecznych. Przemyśl, który dać sposób do życia, byłby dla mnie pożyteczniejszy. Nie będziesz tego potrzebowała, odpowie *Juliana*; nie wspominając ci nasze do ciebie przywiązanie, upewniam cię, że

Tom III. S

Blanford nie płonne obrat ci się oycem. Dobrodzieystwa, rzecze *Indyanka*, obowiązują często więcej, niżeli sobie życzymy. Nie jest rzeczą hańbiącą odbierać je; ale ja czuję, iż daleko uczciwiej jest obywać się bez nich. Daremnie się *Angielka* uskarżała na ten zbytek delikatności. *Koralę* słuchać nie chciała o żadnych zabawkach i niepożytecznych naukach. Z tych robót, które delikatne ręce znieść mogły, najbardziej takie wybierała, które najbardziej zręczności i przemysłu potrzebowały; i przykładając się do tych robót, pilnie, pokazywała w tym tylko swoją troskliwość: czy dają sposób do życia?

Chcesz mię więc opuścić? rzekła do niej *Juliana*: — chcę siebie nauczyć, obeyść się bez wszystkiego, oprócz bez potrzeby kochania was. Jeżeli jest na zawadzie waszemu szczęściu, oddalę się od was: lecz jeżeli będę mogła się przyczynić do waszego uszczęśliwienia, nie bójcie się, nie opuszczę was. Na nic wam się nie przydam, jednakże mię ko-

chacie; ta bezzyskowność z strony waszej, staie się dla mnie przykładem godnym do naśladowania.

Nelson nie wiedział, co miał myśleć o pilnym przykładaniu się *Koralę* do robót wcale mechanicznych; nie poymował tey odrazy, którą pokazywała do rzeczy zabawnych i przyjemnych. Uważał z równym zadziwieniem, z jaką skromną prostotą się stroiła; pytał iey się o przyczynę. Doświadczam się bydyć ubogą, odpowiedziała mu z uśmiechem, a oczy iey łzami się zalały. Te słowa i tzy wskroś wzruszyły *Nelsona*. O Boże! rzekł, zapewne siostra wzbudziła w niej boiaźń ubóstwa i sieroctwa! *Nelson*, gdy był sam na sam z *Julianą*, prosił ją, aby mu tę objaśniła tajemnicę.

Wysłuchawszy ją: ach moja siostro, rzecze, z jakim okrutnym staraniem usiłujesz zaprawiać trucizną iey i moje życie! Jeżeli nie dufasz iey niewinności, przynajmniej powinnas się spuścić na moją pocziwość. — Ach *Nelson*! nie występku się lękam, ale nieszczęścia. Widzisz z jakim szkodliwym bez-

pieczeństwem poddaie się rokoszy widzenia ciebie; nieznacznie przywiesznie się do ciebie; iako natura ią pociąga, mimo iey wiedzy, do ukrytych siდეł; wierzay mi *Nelson*, w iey wieku, w twoim wieku imie przyiaźni tylko jest płaszczykiem. Ach! za cóż ia was nie mogę zostawić w omamieniu! ale, *Nelson*, ia więcey ważę twoią powinność, niż twoią spokojność. *Koral*y ma bydz żoną twego przyjaciela, sam ci ią powierzył; a ty nie chcący wydzierasz mu ią? Kto, ia? moja siostro! czy możesz mi to przepowiadać! — Abyś się tego uchronił, potrzeba, aby *Koral*y kochając ciebie zezwoliła na zamęście z *Blanfordem*; aby on sobie podchlebiał, iż iest kochany, aby był z nią szczęśliwy; lecz ona czy z nim będzie szczęśliwa? A choćbyś tylko miał czułość do przyięcia litości, której ona tak bardzo godna; iakim bolem nie byłoby zdęte serce twoie, widząc się bydz przyczyną nieszczęścia tego biednego dziecka? nakoniec, cudemby to było, widzieć ią umierającą z kochania, a nie

udzielać iey tylko litość. Kochać ią będziesz co mówię? ach! *Nelson*, dałby Bóg, aby już po niewczasie nie było! — Jeszcze czas moja siostro takie ułożyć przedsięwzięcie, iakie ci się здаwać będzie. O to cię tylko proszę, abyś ile możności ochroniła delikatność tey niewinney duszy, i nie bardzo ią martwiła. — Twoie oddalenie się zapewne ią zmartwi, ale to iest iedyny środek do nleczenia iey. Pora wyiechania na wieś nadeszła; miałam za tobą wyiechać i wziąć *Koral*y z sobą; teraz sam tylko pojedziesz, my zostaniemy w Londynie. Pisz z tym wszystkim do *Blanforda*, iż iego obecność tu iest potrzebną.

Gdy zobaczyła Indyanka, iż ią *Nelson* zostawił z *Julianą* w Londynie, здаwało iey się, iż ią zostawiono na puszczy, iż od całej opuszczonej byta natury. Ale, że się nauczyła rumienić, a zatym i zmyślać, udawała, że wymówka, którą sobie czyni, iż stała się przyczyną oddalenia się brata od siostry, ten ból ciężki w niey sprawowała.

Miałaś za nim wyiechać, mówiła do *Juliany*, a ja cię tu zatrzymuję: ach! iak bardzo jestem nieszczęśliwa! zostaw mię tu samą, opuść mię. To wyrzekłszy, gorzko płakała. Wszystkie starania *Juliany* do uskromienia iey bolu użyte, bardziey go pomnażały. Wszystkie otaczające ją cele, zlekka dotykały iey zmysły; iedna myśl całą iey duszę zabawiata. Trzeba było użyć niejakiego gwałtu, aby ją od niey oderwać; i skoro tylko była zostawiona na wolności, natychmiast zdawała się myśl iey lecieć do tego celu, od którego ją oderwano.

Gdy wspomniono imię *Nelsona*, żywym rumieńcem oblewały się iey lica, piersi się wznosiły, drgały wargi; a po całym ciele widocznym była zdęta drżeniem.

Juliana zastawała ją nie raz na przechadzce, kryślącą na piasku tu i owdzie litery tego słodkiego imienia. Portret *Nelsona* zdobił pokój *Juliany*; oczy *Koralu*, gdy miały wolność, zawsze wciąż wlepione były; i chociaż chciała je od-

wrócić od niego, same się nazad wracały przez owe tajemne wzruszenie, o których dusza nie wiedząc, do nich się przykłada. Tęskności, w których pogrążona była ta biedna Panna, niknęły na ten widok; robota iey z ręku wypadała, i to wszystko, cokolwiek ból i miłość mają w sobie uprzedniego, ożywiało iey piękność.

Lady Albury sądziła bydl jeszcze potrzebą, i ten słaby od niey oddalić obraz. Tu rozumiała *Koralu*, że ostatni cios nieszczęśliwości ją uderzył. Jey rozpacz była bez pomiarkowania. Okrutna przyjaciółko! masz upodobanie zasnuć mię; chcesz abym całe życie moje w bolach i w goryczy przepędzała; a ieżeli co mi osładza moje umartwienie, ty mi to niemiłosiernie wydzielasz. Nie dosyć na tym, żeś oddaliła tego, którego kocham; cień iego ma nawet nadto dla mnie powabów: zazdrościsz mi tey pociechy, tey słabej pociechy widzenia iey. — Ach nieszczęsne dziecko! czegoż pragniesz? — Kochać go, wielbić go, żyć szczególnie

dla niego; choćby i on żył dla inney. Niczego się nie spodziewam, niczego nie żądam. Moje ręce wystarczą na wyżywienie mię, a moje serce do kochania. Jeżeli ci jest natrętna, może i nienawistna! oddal mię od siebie, ale mi zostaw ten obraz, w którym on żyje, albo przynajmniej mi się здаie, iż żyje. Będę mu się przypatrywała, z nim będę rozmawiała; łudzić się będę tą myślą, iż widzi łzy moje, słyszy wzdychania, i niemi jest tknięty. — Ach! na cóż podsycać ten okrutny ogień, który ciebie pożera? prawda, iż cię zasmucam, ale to dla twego dobra, dla spokojności *Nelsona* czynię. Chcesz go uczynić nieszczęśliwym? będzie nim, gdy się dowie, iż go kochasz, a daleko bardziej, gdy ciebie kochać będzie. Nie jesteś w stanie słuchania moich przełożeń, ale wierzay mi, iż ta skłonność, którą mniemasz być słodką; zaprawiłaby trucizną całe życie jego. Miej litość, najmilsze dziecię, nad twoim przyjacielem, nad bratem moim, uwolnij go od zgryzot i wewnętrznych

walków, któreby go o śmierć przyprowadziły.

Koralę zadrzała na te słowa. Prosiła usilnie *Milady*, aby iej powiedziała, dla czego by miłość *Nelsona* ku niej, była dla niego nieszczęśliwością. Gdybym ci się jaśniej wytłumaczyła, odpowie *Julianna*, uczyniłabym ci nienawistnym tego, któregoś powinna na zawsze kochać. Ale day mi wiarę, kochana *Koralę*: iż najświętszy obowiązek zabrania *Nelsonowi*, mieć nadzieję być twoim małżonkiem.

Jakim sposobem opisać tu smutek, w który *Koralę* zanurzoną została! iakież to obyczaje, iaki kraj, mówiła, gdzie nie można sobą rządzić, i gdzie najpierwsze dobro miłość wzajemna, jest złem okropnym! mamże się więc lekkać, widzieć się z *Nelsonem*! mamże się obawiać być ukochaną od niego! bądź ukochaną! niestety! dałabym życie moje, abym mu się na jeden moment tak podobiała, iak on mnie. Oddalmy się z tej nieszczęśliwej ziemi, gdzie bądź kochaną jest nieszczęściem.

*Koral*y często słyszała mówiących o okrętach, które do iey płynęły odczynny. Postanowiła u siebie puścić się na morze, bez pożegnania się z *Julianną*. Jednego wieczóra, podczas pory snania, *Julianna* uczuła, iż całując iey rękę, przyciskała wargi swoje do nich z większą rzewnością niż zwyczajnie: i że iey się wymykały głębokie westchnienia. Dziś odchodzi odemnie, mówiła sama do siebie zatrwożona *Julianną*, z większym nadzwyczaj poruszeniem. Wlepiała oczy swoje wemnie z wyrażeniem najwyższej uprzejmości i bólu. Cóż się znowu nowego w iey sercu dzieje? Ta niespokojność całą noc ją martwiła. Nazajutrz zaraz postąpiła dowiedzieć się, czy jeszcze *Koral*ty spoczywa. Doniesiono iey, iż wyszła zrana sama tylko, w nayskromniejszym ubiorze, i ku portowi się udała.

Porywa się z łóża zstruchlała *Albury*, wysyła ludzi, aby szukali *Indyanki*. Znajdują ją przy okręcie, proszącą o miejsce, otoczoną maytkami, których iey młodość, piękność, dźwięk głosu,

a nadewszystko niewinna prostota proźb iey uymowały i zadziwiała. Nic więcej z sobą nie wzięła, tylko co koniecznie potrzebowała; oprócz serduszka kryształowego od *Nelsona*, wszystkie kosztowności zostawiła.

Gdy iey wspomniano imię *Lady Albury*, usłuchała bez najmniejszego przeciwieństwa, i dała się odprowadzić. Stała przed nią cokolwiek zawstydzona swoją ucieczką; ale gdy iey *Julianna* czyniła zarzuty, odpowiedziała: iestem nieszczęśliwą i wolną — Ach! kochana *Koral*ty, czy same tylko przeciwności tu widzisz? — Gdybym tylko moje nieszczęście tu upatrywała, nigdybym się ztąd nie była oddaliła. Nieszczęście *Nelsona* mię zastrasza; i dla iego spokojności chcę tu ztąd uciekać.

Nie wiedziała co na to odpowiedzieć *Julianna*; nie śmiała iey wspomnieć o prawach *Blanforda*, które nabył do niey; byłoby go iey uczynić nienawistnym, jako przyczynę iey nieszczęścia. Wołała raczej zmniejszyć iey lękania. Nie mogłam ci zataić, rzecze do niey, wiel-

kość niebezpieczeństwa z płonnej wynikającego miłości; ale to złe nie jest bez lekarstwa. Sześć-miesięczna nieobecność, rozum, przyjaźń, inszy cel Przerwała Indyanka, mów raczej śmierć, ta jest jedynym lekarstwem. Jako? rozumby odmienił kochanie człowieka naydoskonalszego, i naygodniejszego! sześć-miesięczne niewidzenie, czy mi da inną duszę, która go kochać nie będzie? czas czy odmienia przyrodzenie? Przyjaźń litować się nademną będzie, ale mnie nie uleczy. Inszy cel wiem, że temu nie wierzysz, nie czynisz nam tey krzywdy; nie masz dwóch *Nelsonów* na świecie; a choćby ich i tysiąc było, jedno tylko mam serce, a to już jest oddane. Mówisz, iż to jest nieszczęsnym upominkiem, ja tego nie poymię; ale jeżeli tak jest, dopuść, abym się tu ztąd oddaliła, abym ukryła przed *Nelsonem* moją postać, i moje tzy. Ma duszę czułą, byłaby poruszona na ten widok: a jeżeli nieszczęściem dla niego jest mnie kochać, litośćby go do tego doprowadziła. Ach!

czy można z obojętnością widzieć się bydź kochanym iak oyciec, czczonym iak Bóg! czy można! widzieć się bydź kochanym tak wielką, iaką ja mam, miłością, a nie kochać wzajemnie? Nie wystawisz go na to niebezpieczeństwo, rzecze *Juliana*, będziesz tała przed nim twoją miłość, i będziesz się starała pokonać ją. Nie na sile ci zbywa *Koral*, ale na odwadze cnoty. — Niestety mię! mam odwagę przeciwko nieszczęśliwości, ale czy jest iaka, którejby można przeciwko kochaniu użyć? ach iakąż mam cnotę tey miłości zastawić! Wszystkie cnoty się z nią zgadzają. Nie, moja Pani, mów co chcesz, mgłą napełniasz mój rozum, a naymniejszego w nim nie sprawujesz światła. Koniecznie mi trzeba widzieć i słyszeć *Nelsona*: on moim losem rozrządzi.

Lady Albury zostawała w okrutney zawitości, widząc iak twarz nieszczęśliwey *Koral* wędniała i usychała, częstemi oblewając się łzami: iak koniecznie żądała, aby iey pozwolono odie-

chać; nie miała innego sposobu przeciwko temu złemu, iak pisać do *Nelsona*, aby odradził temu zmartwionemu dziecku zamysł powrócenia do Indyi, i wybawił ją od tęsknoty, która ją codzień pożerała.

Nelson niemniej litości z swojej strony był godzien; ledwo co się oddalił od *Karolę*, poznał, z wstrętu oddalenia się od niej, niebezpieczeństwo widzenia się z nią. To co mu się zdało być zabawką przy niej, stało się rzeczą wielkiej wagi przez oddalenie się od niej. W zaciszu osobności, począł roztrząsać skłonności serca swego: znalazł w nim przyjaźń omdlewającą, gorliwość dobra publicznego zestabioną, i ledwie nie wygasłą; a miłość samę rządzącą owym słodkim i strasznym panowaniem, które w sercach dobrych zwykło rozpościerać. Poznał z strachem, że i rozum dał się uwieść. *Blanforda* prawa w oczach jego już nie były tak święte, iak przedtym; niedobrowolny występki wydarzenia mu serca *Karolę*, przynajmniej mógł być wymowionym;

nakoniec *Indyanka* była wolna, i *Blanford* sam nie byłby ją chciał przymuszać, aby poszła za niego. Ach! nędzniku, zawołał *Nelson* zastraszone takiemi myślami, dokąd mię ślepa zapędza miłość! iad występku mię zaraża; serce moje już jest naruszone. Czy należy do mnie rozważać: jeżeli zastaw mi powierzony jest własnością tego, który mi go zaufa? i czy uczyniłem się sądzią, gdy przysięgłem, iż go strzedz będę? *Indyanka* jest wolna; ale czy ja sam jestem wolen? czy powątpiewałbym kiedy o prawach *Blanforda*, gdybym ja sobie nie chciał przywłaszczyć? mój występki jest niedobrowolny, ale stanie się rozmyśloną zbrodnią, gdy nań zezwolę. I iak to usprawiedliwiam wiarotomstwo! ja! omawiam niewiernego przyjaciela? Czybyś był pomyślał wtenczas, gdyś serdecznie przytulał do serca cnotliwego *Blanforda*, iż będziesz się rozmyślał, jeżeli ci wolno jest wydrzeć mu tę, która ma być jego małżonką, i którą poufał twojej wierze? Ach! iak dalece miłość upo-

dla człowieka, i jakie osobliwsze zapamiętanie sprawuje. Ach! niech moje serce rozszarpie, ale mię nie uczyni przeniewiercą, ani podłym, a jeżeli rozum mię opuści, moje sumnienie przynajmniej mię nie zdradzi. Jego światło jest czyste, mgła namiętności nie może je zaćmić: gdy jest moim przewodnikiem honor, przyjaźń, dobra wiara, mają jeszcze podporę.

Z tym wszystkim obraz *Koral* wszędzie ustawicznie mu się wystawiał. Gdyby nie był widział, tylko iey wdzięki, ozdobioną szczególnie urodą swoją, mającą na czele wesołość niewinności, uśmiech otworzystości na wargach, płomienie żądzy w oczach, i we wszystkich powabach iey postawy, wyraz uymwiający roskoszy, byłby znalazł w swoim sposobie myślenia, w ostrości obyczajów, czym się oprzeć zwodniczy miłości: ale zdawało mu się, iż widział to nadobne dziecko, równie czułe, jak i on, daleko słabsze od niego, nie mające ku obronie swojej tylko obce prawidła, oddające się niewin-

nie

nie miłości, która je miała nieszczęśliwym uczynić; litość którą w nim wzbudzał stan *Koral*, dawała podniecie miłości.

Nelson miał za występpek kochać *Koral*, ale żałować ją, litować się nad iey dolą, nie było najmniejszą winą. Żywo czując te umartwienia, których był sprawcą, nie mógł sobie iey też wystawiać, aby razem nie miał myśleć o pięknych oczach, które je wylewały, o piersiach niemi skropionych: tym sposobem przedsięwzięcie, które czynił zapomnieć o niey, bardziey mu ją umilało.

Ale czym słabszym się bydź czuł, tym więcey nabywał mężstwa. Przestałmy, rzekł, starać się o uleczenie: wysiłam się daremnym mocowaniem; jest to paroxyzm, który trzeba wytrzymać. Goreję, omdleвам, umieram; ale to wszystko na cierpieniu się kończy, a ja nie powinienem nikomu się sprawować z tego, co się wemnie dzieje, i byleby się nie wydawała moja miłość, mój przyjaciel nie ma przyczyny na-

Tom III.

T

zdekania. Jest to nieszczęście być słabym, a ja mam odwagę być nieszczęśliwym.

W tym właśnie przedsięwzięciu będącego umrzeć raczy, aniżeli zdradzić przyjaciela, zastał list siostry. Czytał go z niewymownym poruszeniem i drzeniem. O słodka i uprzejma duszo, zawołał, ięczysz, i chcesz się stać ofiarą mojej spokojności i powinności! daruj mi: Bóg jest świadkiem, iż daleko żywiej czuję niżeli ty, te dolegliwości, których iestem przyczyną. O niechby iak najprędzey powrócił mój przyjaciel, twój oblubieniec, aby otarł te łzy kosztowne! moją miłością ciebie kochać, a w twoim uszczęśliwieniu swoje czerpać będzie. Jednakże trzeba ią widzieć, a bym ią zatrzymał i pocieszył. Trzeba ią widzieć! ach! na cóż się narażam! iey powaby tkliwe, iey ból, miłość, łzy które wyciskam, które zebrać byłoby roskosz; westchnienia, które serce proste i szczerze wypuszcza; wymowa przyrodzenia, którą dusza nayszczulsza tłó-

maczy się z otworzystością: iakie doświadczenie do wytrzymania! cóż się zemną stanie, i cóż iey powiem? niech się stanie co chce, potrzeba ią widzieć, mówić z nią iako przyjaciel, iako oyciec. Obaczywszy ią bardziey będę trapionym, bardziey nieszczęśliwym; ale nie o moją tu, lecz o iey spokojność idzie: a nadewszystko o szczęście tu przyjaciela idzie, dla którego trzeba aby żyła. Jestem pewien, iż się przezwyciężę i aczkolwiek ciężka będzie ta walka, byłoby słabością i wstydem unikać iey.

Za przybyciem *Nelsona*, *Koral*ę drżąca i pomieszana, ledwie śmiała stanąć przed nim. Pragnęła gorąco powrotu iego, a gdy go zobaczyła, śmiertelnym po wszystkich żyłach była przeięta mrozem. Stanęła przed nim iako przed sądzią, który miał jednym słowem wyzdec iey wyrok.

Jak wielkie było rozrzewnienie *Nelsona*, gdy widział na ślicznych ustach żywe młodości różę powiędte, żywość oczu przytłumioną! chodź rzekła *Ju-*

Lianna do brata, uspokoić umysł tego dziecka, i uleczyć iey smutek. Niezmiernie sobie tęskni przy mnie, i pragnie powrócić do Indyi.

Nelson mówiąc do niey z uprzejmością, chciał ią pociągnąć przez łagodne wymówki do wytłómaczenia się przy siostrze: ale *Koralę* nie mówić nie chciała. *Julianna* pomiarkowawszy, iż jest na przeszkodzie, oddaliła się.

Cóż ci to *Koralę*? cożemy tobie uczynili, mówił do niey *Nelson*; iakież boleść cię dolega? — Czy nie wiesz? nie powinienżeś być uważać, że moja radość i mój smutek nie mogą mieć tylko jedną przyczynę? okrutny przyjacielu, twoją tchnę duszą; ty uciekasz przedemną i chcesz śmierci moiej!... lecz nie, ty iey nie chcesz; przywieziony jesteś do tego; więcej czynią, wyciągają po mnie, abym się ciebie zrzekła i zapomniała o tobie. Napętniają mnie trwogą, zasmucają duszę moją, a ciebie przymuszają, abys mię do rozpaczey przyprowadził. O jedną cię łaskę tylko proszę, rzekła daley rzucając

się do nóg *Nelsona*, powiedz mi kogoż obrażam kochając ciebie? iakież obowiązek gwałcę, i iakie nieszczęście sprawuję? czy tu są prawa tak okrutne; tyrani tak surowi, aby mi zabraniali najlepszego zażycia mego serca i rozumu? czy nie wolno kochać na świecie, a jeżeli wolno, czy mogłam lepszy uczynić wybór?

Moja kochana *Koralę*, odpowiedział iey *Nelson*; nie prawdziwszego, nie bardziej uprzejmego nad tę przyjaźń, którą mam ku tobie. Byłoby rzeczą niepodobną, niesprawiedliwą nawet, gdybyś nie miała być na to czułą; — ach przychodzę do siebie, dżó to jest rozumnie powiedziano. — Ale chociaż, najśłodszym byłoby dla mnie szczęściem być jedynym przywiązania twego celem, ja jednak tego żądać nie mogę, ani na to pozwolić nie powinienem. — Niestety! już cię więcej nie rozumiem. — Gdy mój przyjaciel poufał ciebie moiej wierze, był tobie wtenczas zapewne miłym — i jest dotychczas — byłabyś sobie poczytała za szczęście być iego

oblubienicą — bydź to może — onego nadewszystko kochałaś na świecie. — Jeszczem ciebie nie znała. — *Blanford* twój wybawiciel, stróż niewinności twojej, kochając ciebie, powinien bydź kochany wzajemnie. — Jego dobrodzieystwa są zawsze w świeżey u mnie pamięci. Kocham go iak drugiego oycy: — wiedząc więc, że postanowił złączyć się z tobą, przez węzły daleko słodsze, daleko świętsze, aniżeli są te, które dobrodzieystwa sprawują. Powierzył mi połowę duszy swojej; a gdy się powróci, będzie chciał przyspieszyć szczęście swoje stając się twoim mężem. — Ach! rzekła *Koralu* odetchnąwszy, taż to tylko jest przeszkoda, która nas rozłącza; nie troszcz się przyjacielu, już jest uoprzątniona, — iako? — nigdy, poprzysięgam, nigdy *Koralu* nie będzie żoną *Blanforda*, — potrzeba koniecznie aby nią była — nie podobno: *Blanford* sam przyzna, iż się to stać nie może. — Jako! ten, który ciebie odebrał z rąk umierającego oycy; i który potym stał ci się oycem? — z tego szacownego imię-

nia považam *Blanforda*, ale niech więcej po mnie nie wyciąga. — Postanowiłam nikogo nie zdradzać. Gdybym się była oddała *Blanfordowi*, a *Nelson* chciałby mego życia, dałabym życie moje *Nelsonowi*, i stałabym się wiarołomną *Blanfordowi*, — ach co mówisz? — to, co bym śmiała samemu *Blanfordowi* powiedzieć i dla czegoż miałabym przed nim zmyślać? czy odemnie zawisło kochać? — ach czynisz mnie występny! — ciebie! w czym? żeś miłym iest w oczach moich? niebo rządzi sercami naszymi. Niebo dało *Nelsonowi* te wdzięki, te cnoty, które mię uymuią; niebo mi dało taką duszę, która właśnie dla *Nelsona* jest stworzona. O gdyby wiedziano, iak ona iest napełniona obrazem *Nelsona*, i iak iey iest niepodobna kogo więcej kochać iak ciebie; tak kochać iak ciebie! ... ach niech mi nikt o życiu nie wspomina, jeżeli mi nie dadzą żyć dla ciebie. — I toć to iest, co mię do rozpaczey przyprowadza. Jak sprawiedliwe mi może czynić wyrzuty mój przyjaciel! — on! a o cóż ma się uskarzać? cóż

utracił? cożes mu wydarł? kocham *Blanforda* iak uprzejmego oycę; kocham *Nelsona* iak siebie samę, i bardziey ieszcze iak siebie samę: takowe sentymenta mogą byđz pogodzone, gdyż ieden drugiego nie wyłącza. Jeżeli mię *Blanford* tobie powierzył, iako rzecz do niego należąca, to nie ty, ale on iest niesprawiedliwym; — ale ja iestem przyczyną, iż mu chcesz odebrać to dobro, które mu wydzieram, gdyby nie ja, byłabyś jego własnością. Ja stróż tego skarbu, staię się wydziercą — nie mój przyjacielu, sądz sprawiedliwicy. Samam do siebie należała, teraz iestem twoją; iam się sama mogła komu oddać, tobiem się oddała. Przyznawaiąc prawo przyjaźni, którego ona nie ma, przywłaszczasz ie dla niey, i staiesz się uczestnikiem gwałtu, który mi czynią — kto? on! mój przyjaciel miałby ciebie gwałtem przymuszać? — i cóż mi ztąd? czy on sam, czy ty za niego, czy iestem przeto w mnieyszey niewoli? Jeden cel ciebie szczególnie zatrudnia i dotyka. Lecz gdyby mię kto inszy,

nie twój przyjaciel trzymał w niewoli, zamiast upoważnienia takowego postępku, szukałbyś dla siebie chwaty w uwolnieniu mnie. Dla przyjaźni więc tylko zdradzasz i gwałcisz przyrodzenie! co mówię przyrodzenie! a miłość, *Nelson*, miłość czy nie ma praw swoich? czyż się nie znajduię w waszym kraju iakie ustanowienie przez wzgląd na dusze czule uknowane? iest to sprawiedliwie, iestże wspaniale zatrważać, zasmucać, i w rozpacz wprowadzać kochającą; szarpać bez miłosierdzia serce, którego szczególnym występkiem iest kochanie?

Łkania przerwały mowę *Koralę*; *Nelson* widząc ją niemi zatchniętą, nie miał czasu zawołać siostry, śpieszy się aby rozwolnić ściśnione piersi, rozwiązuie wstęgi; aliści cokolwiek w pierwszym młodości kwieciu byđz może powabów, wystawuie się oczom *Nelsona*. Strach którym był przerażony, uczynił go w początku nieczułym, ale gdy Indyanka przyszedłszy do zmysłów, czuiąc się byđz ściśnioną od *Nelsona*, miłość i ra-

dość swoją wyraziła; gdy powlokłszy śliczne omdlate oczy, wlepiła je w oczy *Nelsona*: Boże! zawołał, wesprzyj mię, moja cnota mię opuszcza. Zyi kochana *Koralu* — chcesz abym żyła *Nelson*! więc chcesz abym cię kochała — broń mię Boże. Stałbym się wiarołomnym przyjacielem; nie byłbym godzien żyć na świecie; nie byłbym godzien widzieć mego przyjaciela. Ach! on mi to przepowiedział, a ja nie raczyłem mu wierzyć. Zbyt wyniośle o moim sercu sądziłem. Ulituj się nad nim *Koralu*, ulituj się nad tym sercem, które okrutnie ranisz. Pozwól, abym się oddalił od ciebie, i siebie przezwyciężył. Ach! ty żądasz mojej śmierci, zawołała, upadając bez zmysłów przy nogach jego. *Nelson* mniemając, iż umiera nayukochańsza amantka, chciał ią do serca przytulić, ale spostrzegłszy nadchodzącą *Julianę* zatrzymał się nagle: siostró, rzecze do niej, ratuj ią: do mnie należy umierać; to wyrzekłszy wyszedł.

Gdzież on jest, pytała się *Koralu*, otworzywszy oczy? cożem mu uczyniła? dla czego ucieka odemnie? a ty *Juliano* daleko okrutniejsza od niego, czemuż mię przywracasz do życia?

Gdy się dowiedziała, iż *Nelson* odiechał, boleść iey się powiększyła, ale uwaga dodała iey cokolwiek nadziei i odwagi. Pomieszanie i rozrzewnienie, które *Nelson* nie mógł przed nią utaić, strach, którym go widziała bydz przeżonym, słowa uprzejme które mu się wymknęły, gwałt który sobie czynił, przezwyciężając i oddalając się, wszystko przeświadczało *Koralę*, iż była ukochaną. Jeżeli mię *Nelson* kocha, rzekła, jestem szczęśliwa. *Blanford* się powróci, ja mu wszystko wyznam; jest zbyt sprawiedliwym, zbyt wspaniałym, aby mię chciał dręczyć. Ale to podchlebne mniemanie wnet zniknęło.

Nelson odebrał na wsi list od przyjaciela swego, którym mu donosił o swoim powrocie. Spodziewam się, mówił w końcu tego listu, za trzy miesiące, złączyć się z tym wszystkim co ko-

cham.. Wybacz przyjacielu, że ci da-
ię w sercu moim za towarzysza miłą i
uprzejmą *Koralę*. Dusza moja, która
dosyć długo całą twoją była, dziś się
dzieli. Powierzyłem tobie iedyny i
najsłodszy cel chęci moich; widziałem
iako przyjaźń upoważniała i uchwalała
poczucia miłości. Jedno i drugie czy-
nią moje uszczęśliwienie. Ta myśl po-
mnaża uczucie szczęścia mego, że za
staraniem twoim, za staraniem siostry
twojej obaczę moją kochaną sierotę z
rozumem ozdobnym, nowemi wiadomo-
ściami, ubogaconą duszę nowemi cno-
tami, daleko miłszą ieżeli można, a na-
dewszystko daleko skłonnniejszą do ko-
chania mnie. Będzie dla mnie czystą
roskoszą posiadać w niej dobrodziej-
stwo waszej przyjaźni.

Czytaj ten list, pisał *Nelson* do sio-
stry, day go do czytania *Koralę*. Jaka
nauka dla mnie! jaki wyrzut dla niej!

Stało się, rzekła *Koralę* przeczyta-
wszy ten list, nie będę nigdy żoną *Nel-
sona*, ale niech tego po mnie nie wy-
ciąga, aby mię kto inny miał pozyskać.

Wolność kochania go, jest to dobro,
którego zrzec się nie mogę. To przed-
sięwzięcie utrzymywało ją, a *Nelson* w
swoiej osobności był daleko od niej nie-
szczęśliwszym.

Jakim przeciwnym losem dzieie się,
mówił do siebie, iż to rokoszne do-
bro: byź ukochanym, które jest po-
wabem przyrodzenia, i pieszczotą wszy-
stkich serc, staie się moim udręczeniem.
Co mówię? byź kochanym! ale byź
kochanym od tej, którą nadewszystko
kocham! byź bliskim szczęścia! i tyl-
ko mu się poddać!... ach więcę czynić
nie mogę tylko uciekać: nienaruszona
i święta przyjaźń, niech więcę po mnie
nie wyciąga. W jakimże stanie widzia-
łem to dziecko! w jakim stanie opuści-
łem ją! może z słusnością mówić, iż
jest niewolnicą moich powinności, i
smutną staie ich się ofiarą; z iey szko-
dą iestem wspaniały. Więc tedy są ta-
kie cnoty, które urażają przyrodzenie;
potrzeba tedy czasem byź niesprawie-
dliwym i okrutnym, aby zostać przy
poczciwości! o nayukochańszy przyja-

cielu! obyś mógł być szczęśliwym z nieszczęścia mego, w posiadaniu tego dobra, które ci ustąpię! ach szczerze żądam, Bóg jest świadkiem, iż szczerze żądam, aby ciebie kochała, i z wszystkich moich trosków ta jest naydotkliwsza, iż powątpiewam o skutku życzenia mego.

Niepodobną było rzeczą, aby przyrodzenie wytrzymać mogło, tak gwałtowne poruszenia. *Nelson* po długiej walce szukał odpoczynku; ale już go znaleźć nie mógł. Stateczności mu nie stało, umysł utrudzony w śmiertelną wpadł niemoc; słabość rozumu jego, nieużyteczność cnoty, obraz życia przykrego i bolesnego, nieszczęśliwość, do której byłaby dusza jego przywiedziona, gdyby przestał kochać *Koralę*; a daleko bardziej myśl straszna, w najwierniejszym przyjacielu mieć rywala, wzbudzaającego zawist, a podobno i nienawist; to wszystko dręczyło go niezmiernie, i przyniewolało do skrócenia sobie życia tak nieszczęśliwego, ale daleko mocniejsze pobudki, wstrzyma-

ły go od wykonania tak gwałtownego przedsięwzięcia.

Sposób myślenia który miał, nie nauczał go, aby człowiek i obywatel miał wolność rządzenia życiem swoim. Miał sobie za powinność żyć, a za ulgę nieszczęścia, stać się użytecznym światu. Ale smutek i tęsknota pożerały go wewnątrz, i uczyniły na wszystko nieczułym.

Czas naznaczony powrotu *Blanforda* zbliżał się. Było istotną rzeczą, tak wszystko przygotować, aby to złe przed *Blanfordem* utajone było, które podczas niebytności jego stało się. A któżby nakłonił *Koralę* do zmyślenia, jeżeli nie *Nelson*? powrócił więc do Londynu stały, znędziony, i niepodobny do siebie. Stan jego napełnił boleścią *Julianę*; ale iakiż wyraz on uczynił w sercu *Koralę*! *Nelson* podjął się uskromić smutek iey; ale to gwałtowne przemożenie siebie, dokonało słabości jego. Febra wolna która go pożerała, zmocniła się, na wszystkich upadły siłach w ciężką wpadł chorobę. Tu było widzieć

nowe utarczki między siostrą i Indyanką; ubiegali się na wyścigi, kto pierwszy, do czynienia przystug choremu; nie chciała *Koral*y opuścić łożka *Nelsona*. Usilnie prosiła, aby iey dopuszczono pilnować go, i mieć o nim staranie. Oddalono ją przez litość na iey stan, i przez wzgląd na stan *Nelsona*; ale ona nie miała przeto tey spokojności, którą iey tym sposobem sprawić chciano. Co chwilka widziano ją w nocy, błagającą się koto pokoju *Nelsona*, albo nieruchomą na progu drzwi stojącą; oczy we łzach, nawpół żywa, pilnego nadstawiając ucha na najmniejsze ruszenie, które ją przerażało strachem.

Nelson spostrzegł, że siostra z ciężkością pozwala Indyance widzieć się z nim. Nie zasmucał ją, rzecze do niey, to się już na nic nie zda, już nie czas zażywać ostrości: przez łagodność i cierpliwość trzeba się starać o nasze uleczenie.

*Koral*y moia kochana przyjaciółko, rzecze do niey dnia pewnego przy *Juliannie*, dałabyś zapewne cokolwiek, aby
mi

mi zdrowie przywrócić, wszak prawda? — o mój Boże! dałabym życie moje. — Możesz za mniey mię uleczyć. Nasze przesady są może niesprawiedliwe, nasze początki niehumanitarne, ale poczciwy człowiek jest ich niewolnikiem. Jestem przyjacielem *Blanforda* od dzieciństwa. Tak mi dufa, iak sobie samemu. Umarwienie które ztąd ponoszę, iż mu wydieram powierzone moiey straży serce; gotuję mi grób. Sama widzisz, jeżeli co nadto powiedział. Nie taie przed tobą zródła zwolna mię pożerającey trucizny. Ty sama możesz je zatamować. Niczego nie wyciągam od ciebie: masz wszelką wolność czynienia co ci się będzie podobało, ale upewnić cię szczerze mogę, że daremnie byłoby szukać innego lekarstwa dla mnie. *Blanford* powróci. Jeżeli postrzeże wstręt twój ku sobie; jeżeli mu umkniesz ręki, którą, gdybym nie ja był, byłby otrzymał z łatwością, bądź pewna, że nie przeżyje iego nieszczęścia i moich zgryzot. Nasze przywitania, będą ostatnim pożegnaniem. Rozważ to sobie

moje kochane dziecię, a jeżeli chcesz abym żył, pojednaj mię z sobą samym, i uwolnij mię od winy względem przyjaciela mego. Ach żyj, i czyni zemną cóż się podoba, zawołała *Koralę* zapominając się. Te słowa w ostatni smutek zanurzające miłość; wzbudziły pociechę w sercu przyjacieli.

Lecz, rzekła Indyanka po długim milczeniu; jakimże sposobem mogę się oddać temu, którego nie kocham, mając serce napełnione tym, którego kocham? — moje dziecię! serce pocziwe umie przezwyciężyć wszystko. Straciwszy nadzieję byź moją żoną, wkrótce i pamiątkę tego utracisz; z ciężkością ci to przyjdzie czynić bez wątpienia; ale tu gra o życie moje, będziesz miała pociechę wybawienia mię od śmierci. — To nadewszystko przenoszę; poddać się pod tym warunkiem. Uczyni zemnie ofiarę: ięczyć będę, ale będę posłuszną. Ty jednak *Nelson*, który jesteś prawdą, żądasz abym się taita, abym oszukała przyjaciela twego! czy chcesz mię nauczyć sposobu zmyślania?

— Nie *Koralę*, zmyślanie tu jest niepotrzebne. Moje nieszczęście jeszcze nie doszło do tego stopnia, abym miał umorzyć w tobie wdzięczność, szacunek i przyjaźń; winnaś te sentymenty dobrodzieiowi twojemu, dosyć na nich będzie i mężowi. Więcey mu nie oświadczay. Co się zaś tyczy tej skłonności, której nie masz dla niego, winnaś mu z niej czynić ofiarę, ale nie wyznanie. To co szkodzić może, gdyby było wiadome, powinno na zawsze być ukryte; a prawda niebezpieczna znajduje w milczeniu ucieczkę.

Juliana skróciła tę scenę przykrą dla obuch. Wyprowadziła za sobą *Koralę*, nie było tych przymileń, pochwał, którychby nie użyła na pocieszenie tej zmartwionej Panny.

Tym sposobem, rzekła Indyanka z gorzkim uśmiechem, tym sposobem nad brzegiem Gangesu łagodzą podchlebstwem boleść wdowy, która idzie się spalić na stosie męża swego. Stroją ją, uwieniczają kwiatami, i odurzają pieśniami na pochwałę iey śpiewanemi.

Niestetyż, iey ofiara się wkrótce kończy, moja będzie okrutna i nieskończona. Moja dobra przyjaciółko jeszcze nie mam osmnastu lat! o jak wiele też jeszcze mi przydzie wylać aż do chwili, w którą się oczy moje zawrą na zawsze. Po tej smutney myśli poznała *Julianna*, iż dusza *Koral*y ciężką obarczona była boleścią. Już tu nie można było ją cieszyć; ale się trzeba było razem z nią smucić. Cokolwiek przyjaźni ma w sobie naytkliwszego, powolność, uleganie, namowy, wybacząca i czuła litość, wszystkiego użyła *Julianna*, bezskutecznie.

Przychodzi nakoniec wiadomość, iż *Blanford* stanął w porcie. *Nelson* słaby chwiejącym się krokiem poszedł powitać i uściskać przyjaciela. *Blanford* zobaczywszy go wybladłego i wcale zmienionego, zdumiał i zmieszał się niezmiernie. Nie troszcz się, rzecze do niego *Nelson*: bardzom chorował; ale już przychodzę do siebie. Widzę ciebie powracającego w dobrym zdrowiu, radość którą ztąd czuję, jest to balsam,

który mię wnet do zdrowia przywróci. Lecz nie sam ja tylko przez nieobecność twoją doświadczyłem odmiany zdrowia; twoja wychowanka, też się cokolwiek odmieniła; powietrze naszego kraju może być po części tego przyczyną. Wreszcie co do przymiotów, znaczne uczyniła postęпки, iey rozum i talenta udoskonaliły się, i byleby ten rodzaj niemocy, w której zostaje, ustąpił, będziesz w niej posiadał kobietę wszystkiemi od natury uraczoną darami.

Słabość i odmiana postawy *Koral*y, już nie zadziwiła *Blanford*a, ale go wskrós przeraziła. Zapewne, rzekł, chciało niebo umiarkować radość moją, i skarać mię za niecierpliwość, którą oddalony od was powinności moje wykonywałem. Dziś iestem wolen, powrócony sobie, powrócony miłości i przyjaźni. Na te słowo miłość zadrzała *Koral*y: *Blanford* spostrzegł iey pomieszanie. Mój przyjaciel, rzecze do niej, miał cię przygotować do przyjęcia tego oświadczenia, które ci czynię. — Wiadoma mi jest twoja dobroć, ale czyż

mogę iey zbytek pochwalić? — Otóż sposób mówienia, który trąci grzecznością Europejską: chcey iey zapomnieć zemną. Szczera i uprzejma *Koral*y, pamiętam, iż był taki czas, w który zapytana odemnie, czy chcesz bydz moją żoną? byłabyś mi odpowiedziała bez ogródki: zezwalam, albo też nie moge zezwolić; użył i dziś tey samey szczerości. Kocham cię *Koral*y; ale chcę ciębie widzieć szczęśliwą. Szczęście moje od twoiego zawisło. *Nelson* drząc patrzył na *Koral*y, nie śmiał domyślać się iey odpowiedzi. Równa boiaźni twoiey, odpowiedziała *Blansfordowi*, sprawując wanie moje. Dopókim w tobie nie widziata tylko przyjaciela, drugiego oycy, mówiłam sama w sobie: moje poszanowanie, moja uprzejmość, będą w oczach iego dokładnym dowodem wdzięczności; ale gdy dziś imię małżonka do tych świętych imion łączysz, czegoż nie powinienes się spodziewać, a ia czy mam czym ci się wyplacić? — Ach! ta uymująca skromność, warta jest zdobić cnoty twoje. Nieinaczey, moja nay-

milsza oblubienico, wykonałaś wszystkie twoie obowiązki, ieżeli uważamiasz miłość. Obraz twój był mi wszędzie przytomny; a dusza moja dążąc ku tobie, przebywała przepaści, które nas rozdzielały: nauczyłem odgłosy tamtego świata powtarzać imię *Koral*y. Mcia Pani, rzekł do *Julian*ny, wybaczysz mi WPani, iż iey zazdroszczę szczęścia posiadania iey. Będzie wnet czas, abym sam miał staranie o zdrowiu iey szacownym dla mnie. Oddaie WPani pieczy zdrowie *Nelson*a równie szacowne. Bądźmy szczęśliwi naymilsi przyjaciele: wyście mi dali uczuć szacunek życia, a narażając ie na niebezpieczeństwa doświadczyłem, iż mocne więzy mię przy nim trzymały.

Ułożono, aby za ośm dni uroczyste odprawiły się śluby. Tym czasem *Koral*y ieszcze została przy *Julianne*, a *Nelson* nie opuszczał iey. Ale iego odwaga wysilała się utrzymując w niey młodą *Indyan*kę. Pożerać łzy własne ocierając łzy ukochaney osoby, która czasem pogrążona w smutku u nóg iego,

czasem omdlewająca na łonie zaklinała go, aby miał litość nad nią, a z tym wszystkim najmniejszey sobie nie pozwolić krewkości, ustawicznie na myśl iey przywozić okrutne przedsięwzięcie; takowa męczarnia zdaie się przewyższać siły przyrodzenia. Co chwila też iego cnota stabiła. Puść mię, mówił do niey, nieszczęsne dziecko, iam nie iest tygrysem, mam duszę czułą, a ty ią okrutnie ranisz. Czyń coś się podoba, rozrządzay moim życiem, ale dopuść, abym umierał wierny przyjacielowi memu. — Ach! czyż mogę co czynić z niebezpieczeństwem życia twoiego? *Nelson!* przynajmniey day mi przyrzeczenie, iż żyć będziesz; inż nie dla mnie ale dla siostry twoiey, która cię wielce kocha! — Zawiodłbym cię *Koralu*. Nie myślę ukracać sobie sam życia, ale widzisz stan, do którego mię moje dolegliwości przywiodły; widzisz rychłe skutki zawstydzienia i zgryzot moich; czybym był mniey nienawistnym sobie; mniey nieubłaganym dla siebie, gdyby był występki wykona-

ny? — Wspominasz o występku; a czy to nie iest występkiem dręczyć mię nie-miłosiernie? — Jesteś wolna, niczego od ciebie nie wyciągam, nie znam nawet twoich powinności; ale znam dobrze moje obowiązki, i nie chcę ie prze-stąpić.

Tym sposobem ich rozmowy bardziey ieszcze pomnażały wewnętrzną boleść, ale obecność *Blanforda* niewymownym była dla nich umartwieniem.

Codzień bywał u nich i kilka przepędzał godzin, nie na płonnnych oświadczeniach miłości, ale na opowiadaniu starań, aby pomieszkanie uczynił przyjemne i wygodne, gdzieby wszystko uprzedzało żądania żony iego, i przykładło się do iey uszczęśliwienia.

Jeżeli umrę bezdzietny, rzekł, połowa dóbr moich do niey przypadnie, a druga połowa należeć będzie do tego, który po śmierci moiey będzie umiał iey się podobać i pocieszyć ią, iż mię utracił. Do ciebie się to ściąga *Nelson*; rzadko ludzie mego rzemiosła dochodzą starości; gdy umrę, mieysce mo-

je zastąpisz, nie mam tę nienawistney próżności, abym żądał po żonie moiey zachowanie wierności popiołom moim. *Koralę* jest stworzona, aby zdobyła świat, i z bogacą przyrodzenie płodnością swoją.

Snadniey pojąć aniżeli opisać sytuacyą naszych kochanków. Kównie byli oboje zmiękczeni i pomieszani, ale *Nelson* miał przynajmniej nieiaką ulgę widząc *Koralę* w tak godnych ręk; dla niej zaś dobrodzieystwa i miłość *Blanforda* stawała się nowym udręczeniem.

Tracąc *Nelsona*, wołałaby być od całej opuszczonej natury, aniżeli być celem dobrodzieystw i miłości tego, który nie był *Nelsonem*. Jednakowoż trzeba było się poddać losowi; zezwoliła sama na wszystko, sądząc dalszą zwłokę niepotrzebną.

Przyprowadzona jako ofiara do tego domu, który będąc iey pierwszą ucieczką, niegdyś niewymownie był miłym; dziś z okropnością jako do grobu do niego wstępowała.

Blanford przyjmuje ją jako Panią samowładną; pomieszanie, którego ukryć przed nią nie może, przypisuje niespokojności, którą w iey wieku doznają zbliżające się do łoża małżeńskiego.

Nelson wszystkie sity duszy stoicznej zebrał, aby przy tej uroczystości pokazać się twarzą wesolą.

Czytano *intercyzę*, którą *Blanford* kazał ułożyć. Całe te pismo dowodem było miłości, szacunku i dobroczynności. Wszyscy do tego rozrzewnieni zostali, i *Koralę* sama nie mogła swoich wstrzymać.

Blanford zbliżył się do niej z poszanowaniem, a podając iey rękę, rzekł: chodź najukochańsza moja, przydać temu pismu, temu przyrzeczeniu twoiey wiary, temu zapewnieniu szczęśliwości moiey, uroczystość nienaruszoną, którą ma być stwierdzone.

Koralę ostatnich dobywając sił, ledwie się mogła zbliżyć i wyciągnąć rękę do pióra. Ale co tylko podpisać się miała, oczy iey mgłą zasłży, po całym

ciele drzeć poczęła, od wszystkich sił opuszczona, byłaby na ziemię upadła, gdyby iey nie był utrzymał *Blanford*, który zmieszany, struchlały od strachu, patrzy na *Nelsona*, widzi że bladeść śmiertelna iego opanowała lice.

Lady Albury, przyskoczyła trzeźwić *Koralę*. O mój Boże, zawołał *Blanford*, cóż ja widzę. Ból i śmierć mię otacza. Ach! cóż chciałem uczynić? cóżescie tailli przedemną? Ach! mój przyjacielu czy bydz może?... *Koralę* przychodź do siebie, iam nie jest okrutny, nie jestem niesprawiedliwym, twego uszczęśliwienia szczególnie szukam.

Kobiety które przybiegły, usiłowały otrzeźwić *Koralę*, *Nelson* z *Blanfordem*, przez przystoynność, oddalił się na stronę. *Nelson* stał iak wryty, mając oczy wlepione w ziemię iak winowayca. *Blanford* się zbliża do niego, przytula go do siebie. Czy iuż nie jestem twoim przyjacielem, czyś nie jest zawsze połowicą duszy moiej? otwórz mi serce twoie, a powiedz mi co się to dzieje?... ale nie,

nie mi nie powiaday, wiem wszystko. To dziecko nie mogło ciebie widzieć, styszeć, żyć przy tobie, aby cię nie miało kochać. Ma serce czułe, twoja dobroć, twoje cnoty ią tknęły; nakazałeś iey milczenie, żądałeś aby wykonała nayboleśniejszą ofiarę. Ach! *Nelson*, gdyby była wykonana, iakie bytoby się stało nieszczęście! Bóg sprawiedliwy tego nie chciał; a przyrodzenie, któremu czyniłeś gwałt, odebrało swoje prawa. Niech cię to nie zasmuca, uwolniła cię ta okoliczność od występku. Wierzay mi *Nelson*, ten uczynek poniewolny *Koralę* jest występkiem obrażoney przyjaźni. Wyznaję, rzekł *Nelson*, rzucając mu się do nóg, bez moiej woli sprawiłem twoje nieszczęście, moje, i tey miłej sieroty. Ale nasumnienie, na przyjaźń, na honor przysięgam... Porzuć te przysięgi obrażające nas obuch, przerwał *Blanford*; nie przytulałbym cię tak serdecznie do siebie, mówił daley podnosząc go, gdybym ciebie miał w podejrzeniu o przemieszanie haniebnego. To

com przewidział, uiszcilo się, bez twojego zezwolenia; to com widział, jest tego dowodem, i ten dowód jest zbyt czyny, gdyż twój przyjaciel, nie potrzebuje żadnych dowodów szczerości i poczciwości twojej. Zaiste, odpowie *Nelson*, nie nie mam sobie do zarzucania, tylko zbyt w sobie zadufanie i nie-rostropność.

Ale dosyć na tym, będę dostatecznie za to ukarany. *Koral* nie będzie twoją żoną, ale ja nigdy nie będę jej mężem. Czy tym sposobem wzajemniasz czynności przyjacielskie, odpowie *Blanford* głosem poważnym i surowym; czy widzisz się być w potrzebie zachowania zemną dziecinnych względów? *Koral* nie będzie moją żoną, ponieważ zemną nie byłaby szczęśliwą. Byłaby kochaną jakiego poczciwego człowieka, z którym mogła być szczęśliwą, gdyby ciebie nie była poznała; tyś się stał przyczyną tej straty, powinieś jej nadgrozić. Kontrakt ślubny już ułożony, imiona tylko poodmieniać trzeba, ale

wszystkie artykuły, chcę, aby zostały nieodmienne. Com zapisał *Koral* jako jej oblubieniec, daruję jej jako przyjaciel, nareszcie jako oyciec. *Nelson*, nie zawstydzaj mnie przyjmując moich darowizn. Twoja wspaniałość, odpowie *Nelson*, nie podziwienie, ale pomieszanie wemnie sprawuje. Powiniennem się poddać woli twojej, i onę w milczeniu szanować. Gdybym nie wiedział, jak bardzo poszanowanie się zgadza z przyjaźnią, nie śmiałbym cię więcej nazwać przyjacielem.

Podczas tych rozmów *Koral* przyszedłszy do siebie, z okropnością obaczyła światło, do którego przywróconą została. Jak wielkie było jej zadziwienie, jak nagła rewolucja w jej duszy, gdy *Nelson* przytulając ją do siebie powiedział: już wszystko wiedzą, wszystko nam przepuszczają, upadnij do nóg dobrodziecia naszego, z jego ręki twoją odbieram.

Koral radością, wdzięcznością wskroś przejęta, chciała wylać serce swoje w

dziękczynieniach. Jesteś dzieckiem, rzekł do niej *Blanford*, trzeba mi się było wszystkiego zwierzyć. Nie mówmy już więcej o tym; ale to mieymy zawsze na pamięci, że są takowe doświadczenia, na które narażać się sama nawet cnota bez niebezpieczeństwa nie może.



MISAN-



MISANTROP
POPRAWIONY.
POWIEŚĆ MORALNA.

NIE można wrodzoności poprawić, powiedzą mi, ja sam to przyznaję; ale między tysiącami przymiotami złaczonymi, które składają charakter, któreż oko jest tak bystre, aby mogło dostrzedz tę niewygluzowaną wrodzoność? o! jak wiele występków i bezdrożów przypisujemy naturze, do których się ona nigdy nie przykłada. Takową jest wczłowieku nienawiść ludzi; jest to charakter utworzony; przymiot, który humor daie, a natóg utwierdza, w którym dusza sobie przykrzy, i wygląda uwolnie-

Tom III.

W

nia. To co się stało z Misanthropem, którego nam *Molier* opisał, może być za przykład dane. Obaczemy, jakim sposobem poprawiony został.

Alcest niekontent, iak wiemy, z kochanki i sędziów, przeklinając miasto i dwór, przedsięwziąwszy uciekać przed ludźmi, schronił się daleko od *Paryża* do kraju *Voges* blisko miasta *Laval* nad brzegami *Vologue*. Ta rzeka, w której się perły potawiają, szacowniejsza daleko jest przez żyzność, którą udziela brzegom swoim. Piękne błonia w dolinie leżące oblewa; z iedney strony wznoszą się wesołe pagórki, to drzewami to chałupkami obsadzone, z drugiej rozciągają się obszerne pola okryte buynym żniwem. Tam *Alcest* zapomniony od całej natury obrał sobie pomieszkanie. Bez trosków, bez powinności, oswobodzony od nienawistnego widzenia wielkiego świata odychał sobie, i wielbił niebo, iż zerwał wszystkie z nim związki. Czytanie ksiąg, przechadzki, uciechy nieżywe, ale spokojne słodkiego próżnowa-

nia, słowem życie spokojnie czynne, wybawiało go od tęsknoty życia osobnego: niczego nie pragnął; niczego nie żałował.

Naymilszą w osobności swojej miał pociechę: że na około dobrze uprawione i żyzne pola widział żywiące lud, który się zdawał być szczęśliwym. Człowiek, który przez cnotę jest Misanthropem, rozumie, że dla tego szczególnie nienawidzi ludzi, ponieważ ich kocha. *Alcest* widząc sobie podobnych bogatych pracą rąk swoich, uczuł rozrzewnienie połączone z radością. Ci ludzie są szczęśliwi, mówił, ponieważ są nawpół dzicy; wnetby ich obyczaje naruszone były, gdyby byli bardziej obyczajeni.

Przechodząc raz po polu, przystąpił do wieśniaka, który orał i śpiewał. Pannie Boże dopomóż, dobry człowieku, widzę wesoły iesteś; iak zwyczajnie, odpowie wieśniak. — Bardzo mię to cieszy; musisz więc być kontent z twórego stanu; — dorychczas jeszcze Bogu chwala, nie miałem racyi być niekon-

tent. — Czy masz żonę? — mam Bogu dzięką. — A dzieci masz też? — miałem ich pięciorgo, jedno mi z nich umarło, ale to mały kłopot, Bóg da znowu. — Twoja żona czy młoda? — Dwa-dzieścia i pięć lat iey. — A czy ładna? — dosyć ładna dla mnie, a nadewszystko, jest dobra z niey kobieta, a to lepiej niż kawałek urody. — Musisz ją kochać? — Oh czy ją kocham! a któżby więc ją kochał? — I ona bez wątpienia ciebie kocha? — Oy co kocha to kocha i z całego serca kocha, tak iak przed małżeństwem. — Toście się kochali przed małżeństwem? — A czybyśmy się byli pobrali? — A dzieci wasze udają się dobrze? — Oy i iak Mci Panie. Starszemu jeszcze nie pięć lat, a już ma więcej rozumu niż oyciec. A córki moje Mci Panie. Aż miło spoglądać na nie. Musiałby się kaduk w to wmieszać, żeby mężów nie dostały. Najmłodszy syn jeszcze przy cycku; ale walny chłopak będzie z niego mocny i iędrny. Czy mi będziesz WPan wierzył, iż już bi-ie siostry, kiedy przychodzą matkę ca-

łować; zawsze się boi, aby go od cycka nie oderwano. — Tym sposobem wszyscy iesteście szczęśliwi? — Szczęśliwi? zapewne. Trzebaby widzieć iak wszyscy weseli, kiedy z pola powracam. Rzekłbyś, iż mię rok cały nie widzieli. Nie wiem z kim się wprzód nacieszyć. Zona moja za szyję mię obłapia, dziewczęta na łono mi się drą; starszy chłopak u nóg mi się wiesza; a Jasek na łożku matczynym się chroboce i łapki ku mnie wyciąga; a ia się z radości i śmieję i płaczę, i całuję ich; da-libóg wszystko mię rozrzewnia. — Wierzę temu. — WPan sam czuć musisz, bo zapewne już iesteś oycem. — Nie mam tego szczęścia, — tym gorzej: nic nadto lepszego nie masz na świecie. — A iakże życie? — bardzo dobrze. Chleb mamy smaczny, nabiał, owoce z naszego sadu. Zona kawałkiem słoniny, sporządza nam iaką strawę, którejby i Król mógł pokosztować. Mamy też i iayka od naszych kokoszek, a w niedziele się uraczamy, napijamy się trochę wina. — Dobrze. Ale kiedy rok

nienrodzayny? — Już się to przewidziało; żyjemy skromnie i ostrożnie, tym cośmy za dobrych czasów ucinęli. — Ale jeszcze wielkie niewygody i znoje masz do wytrzymania, zimno, stogę, upały. — Do tego się człek przyzwyczai. A potem, gdybyś WPan wiedział, jak miło jest po upale, wieczorem na chłodzie sobie wytchnąć, albo podczas mrozu, rozgrzewać się przy ognisku między żoną i dziećmi. Smacznie się potem zje wieczera, potem się spać idzie, i czy rozumiesz WPan, abym miał wtenczas myśleć co się dzieie na dworze. Czasem mi żona mówi, a czy słyszysz jaki wiatr i jaka burza? Ach! żebyś ty teraz był na polu. — Nie jestem żono, jestem przy tobie, odpowiadam iey, a potem abym ią o tym przewiodł, przyciskam ią do siebie serdecznie. Wierz mi WPan, iż wielu jest ludzi bogatych na świecie, którzy w takim ukontentowaniu nie żyją iak my. — A podatki? — Płacimy je ochotnie: bo tak trzeba. Nie każdy może być Szlachcicem? Ten, który nami zawiaduje,

i ten co nas sędzi, nie może przychodzić uprawiać rolę. Oni za nas pracują; my za nich; a każdy stan iak powiadaią, ma swoje trudy. Jakaż słuszność! rzekł Misanthrop, otoż we dwóch słowach zawiera się całe rozporządzenie społeczeństwa pierwiastkowego. O naturo! tyś sama jest sprawiedliwą, w twoiey niekształconey prostocie można znaleźć zdrowy rozum. Ale gdy płacicie z taką ochotą podatek, czy nie daćcie okazy do nałożenia nowych? — Baliśmy się tego przedtym, ale Bogu chwala, Pan nasz od tego nas wybawił strachu. Sprawuje on urząd Króla, nakłada na nas podatki, wybiera ie od nas, a w potrzebie własnemi pieniędzmi nas zastępuje. Tak nas ochrania iak własne dzieci swoje. — I któż to ten zacny człowiek? — *Vicomte de Laval*. Dosyć jest znany, a cały kraj go poważa. — Czy mieszka w swoim zamku? — Całe ośm miesięcy do roku. — A potem gdzie? — rozumiem że w *Paryżu*. — Mieważ on gości u siebie? — Mieszczanie z *Bruyeres* i czasem nasi starcowie

bywają u niego na kawałku chleba, i z nim gwarzą. — A z *Paryża* nikogo z sobą nie przywozi? — nikogo, tylko córkę swoją. — Dobrze czyni. A czymże się przecię zabawia? — Sądzi nas, go dzi nas, żeni dzieci nasze, utrzymuje jedność między nami, a podczas ciężkich czasów wspomaga nas. Pójdę zobaczyć jego majątność, rzekł *Alcest*, wszystko tam musi być warte widzenia.

Wielce był zadziwiony, gdy zobaczył drogi nawet i drożyska opatrzone żywym płotem, lecz gdy spostrzegł ludzi pracujących około równania ich: Ach! rzekł, otóż i robocizna! Robocizna zaś? odpowiedział starzec mający dozór nad robotnikami: tu każdy za pieniądze robi, nikogo do roboty nie przymuszają. Jeżeli się czasem trafi jakiś włóczęga, lub próżniak, to ni go tu przyszlą; chce sobie zarobić na kawałek chleba, to sobie zarobi; nie chce, to sobie z Panem Bogiem dalej idzie. — A któż ustanowił ten szczęśliwy porządek? — nasz dobry Pan, oyciec nas

wszystkich. — A któż nakłada na te koszta? — gromada; a ponieważ ona sama na się bierze te obowiązki, nie przytrafia się tu iak gdzieindziej bywa, że bogaty uchyla się od podatkowania z szkodą uboższego.

Coraz bardziej się pomnażał szacunek w *Alceście*, ku mądrymu i dobroczynnemu człowiekowi, który rządził tym małym ludem. Jak bardzo byłby możliwy Król, rzekł, i naród szczęśliwy, gdyby wszyscy wielcy Panowie, takowy naśladowali przykład! Ale *Paryż* pochłania i dobra i ludzi: z wszystkiego ogałaca, wszystko zagarnia.

Przybywszy do wsi *Alcest*, zobaczył obraz wesoły zdrowia i obfitości. Wszedł do domu obszernego, którego budowa miała pozor domu publicznego, spostrzegł tam znaczną liczbę dzieci, kobiet, i starców zatrudnionych pożyteczną robotą. Samym tylko słabym pozwolone było próżnowanie. Dzieci ledwie nie wychodząc z kolebki nabierały nawyknienia i ochoty do pracy, a starcowie nad grobem jeszcze drzące rę-

ce swoje w niej ćwiczyli. Podczas tey pory roku, w którą ziemia nie zatrudnia rolników, zgromadzali się do warsztatu, ludzie silni, a czołkiem, piłą, siekierą dawali nowy szacunek produktom przyrodzenia. Już mię nie zadziwia, rzekł *Alcest*, iż ten lud nie zna występków i potrzeb: jest bowiem pracowity i ustawnie zatrudniony. Spytał się, iakim sposobem ten warsztat ustanowił się. Nasz dobry Pan, odpowiedziano mu, założył nań z swojej kieszeni. W początkach, gdy żadnego nie można jeszcze było dostrzedz pożytku, wszystko się iego kosztem działo na iego zysk lub stratę. Ale gdy poznał oczywiste korzyści, ustąpił nam wszystkiego; teraz się wcale do niczego nie wdaie, wspiera tylko nasze prace, dając nam co rok iakie narzędzia potrzebne do naszych rękodzieł; a ten upominek nam czyni, gdy najpierwsze w roku w naszej wsi odprawia się wesele. — Muszę widzieć tego człowieka, iego charakter, z moim się zgadza.

Idąc głębiey w wieś, zobaczył dom, do którego wchodzono, i wychodzono z niespokojnością. Spytał się coby to znaczyło? powiedziano mu, iż gospodarz tego domu w ostatnim zgonie. Wchodzi, widzi starca, który konałym ale pogodnym weyrzeniem zdawał się żegnać z dziećmi swoimi, ięczącemi i płaczącemi około łoża. W tłumie uważa człowieka zmiękczonego, ale nie tak bardzo zasmuconego, który ich cieszył, i serca im dodawał. Po sukni prostey i poważney sądził go bydz lekarzem tey wsi. Mci Panie, rzekł do niego, niech to WMPana nie zadziwia, iż tu widzisz nieznaomego. Nie próżna ciekawość mię tu wprowadziła. Ci poczciwi ludzie mogą potrzebować iakiey pomocy, w tak smutney chwili, przychodzę... Mci Panie, rzecze do niego Jmć Pan *de Laval*, moi chłopci dziękują WMPanu; spodziewam się, iż póki żyć będę, nie będę w potrzebie cudzych żądać posiłków; gdyby pieniądze mogły przedłużyć życie sprawiedliwego; ten poczciwy gospodarz nie

byłby zabrany dzieciom swoim. Ach! Mci Panie, rzekł *Alcest*, poznając po tej mowie Jmć Pana *de Laval*, daruy mi WMPan tę niespokojność, którą nie powinienem być mieć. Nie obraża mię to, odpowie Jmć Pan *Laval*, iż się zemną kto o dobry uczynek ugania; ale mogęż wiedzieć, kto WMPan jesteś, i co tu WMPana przyprowadza? Na imię *Alcesta* przypomniał sobie owego cenzora narodu ludzkiego, którego surowość była mu dobrze znaioma, ale to go bynajmniey nie zastanowiło. Bardzo mię to cieszy Mci Panie, rzekł do niego, mieć WMPana w sąsiedztwie moim; jeżeli się mogę na co przydać WMPanu, proszę mię użyć.

Alcest odwiedził Jmć Pana *de Laval*. Przyjęty był z ową uczciwością, prostą i poważną, która nie pokazuje żądzy, ani potrzeby, ścisłego sprzyjażnienia. Otóż mi człowiek, rzekł *Alcest*, sam w sobie, który się nie wylewa; tym bardziey go szacuję. Powinszował Jmć Panu *de Laval* wszelkich przyjemności życia osobnego. WMPan tu ży-

iesz, rzekł do niego, oddalony od ludzi, i masz w samey rzeczy przyczynę uciekać od nich. — Ja Mci Panie! ia nie uciekam przed ludźmi. Nie mam słabości bania ich się, ani pychy pogardzania niemi, ani nieszczęścia nienawidzenia ich. Ta odpowiedź tak dobrze wypadła, iż *Alcesta* cokolwiek zmieszana, ale on chcąc utrzymać swoje zdanie, zaczął Satyrę całego świata. Ja żytem na świecie, odpowie Jmć Pan *de Laval*, iak i kto inszy, jednakowoż nie poznałem, aby świat był tak bardzo złym. Są w nim cnoty, i występki, dobro, i złe, przyznaję; ale przyrodzenie jest wszędzie tym sposobem przeplatane: potrzeba umieć znosić to wszystko. W tym przeplataniu, odpowie *Alcest*, dobro jest tak drobną rzeczą, a złe tak się rozpościera, iż pierwsze wcale zatłumia. Ach! Mci Panie, rzecze Jmć Pan *de Laval*, gdybyśmy się z taką passją unosili, mówiąc o dobrych rzeczach, z iaką złe obmawiamy, gdybyśmy je z równą gorliwością rozgłosili, gdyby dobre przykłady tak były rozpo-

szone, jak są złe; czy wątpisz WMPan, aby dobre nie przeważało? Ale wdzięczność cicho mówi; skargi głośno się odzywają, iż pierwszy słyszeć niepodobno. Szacunek i przyjaźń są powszechnie umiarkowane w swoich pochwałach; naśladowią w chwaleeniu ludzi dobrych skromność ich, wtenczas gdy uraza, i obelga wrzask czyniąc, powiększają nad miarę wszystkie rzeczy. I tak przez szkiełko pomniejszające patrzymy na dobre; a przez mgłę widzimy złe, która je powiększa.

Mci Panie, rzecz *Alcest* do Jmć Pana *de Laval*, wzbudzasz wemnie żądze równego być z WMPanem zdania; a chociażbym miał na moją stronę smutne przeświadczenie; błąd WMPana wartby był, aby go nad prawdę przenosić. — Oh! zapewne, bo na cóż się zda zły humor. Sliczna mi rola dla człowieka dąsać się, krzywić się niby dziecko, a potem zaszedłszy w kąt czwarzyć się z całym światem. A to wszystko dla czego? dla niektórych waśni i zatargów społeczeństwa, w którym żyje, iak że-

by cała natura była uczestniczką, i w odpowiedzi tych bezprawioń, któremi się obrażamy. Sprawiedliwie WMPan mówisz, odpowie *Alcest*, byłoby rzeczą niesłuszną żądać, aby ludzie byli odludkami; ale Mci Panie iak wiele wykroków zarzucić im można w powszechności. Wierzay mi WMPan, że moje w tym uprzedzenie, ma potężne i poważne pobudki. Jak mię lepiej poznasz, rozumiem, iż mi w tey mierze uczynisz sprawiedliwość.

Pozwol WMPan, abym się z nim często widział. Często, rzekł Jmć Pan *de Laval*, trudno będzie, iestem bardzo zabawny, moja córka i ja mamy swoje nauki, które nam bardzo mało czasu zostawiają; ale czasem, jeżeli się WMPanu podoba, będziemy się bawić po sąsiedzku swobodnie, bez uczynienia sobie przykrości. Nayosobliwszym przywilejem dla mieszkających na wsi iest, iż im wolno być bez gościa, gdy im się podoba.

Ten człowiek iest osobliwszy w swoim rodzaju, rzekł *Alcest* odchodząc. A

córką jego, która nas z łożeniem poszanowania uprzedymgo pełnym ku oycu słuchała, ta wychowana pod okiem oycowskim, przywykła do życia prostego, obyczajów czystych, i niewinnych uciech, będzie, jeżeli się nie mylę, szacowną kobietą, byleby ją ten *Parry* nie zepsuł, gdzie się wszystko gubi.

Gdyby kto chciał sobie wyobrazić postać delikatności i sentymentu, mógłby sobie wystawić piękność *Ursuli* (tak nazywano Jmę Pannę *de Laval*) iey talia właśnie była taka, jaką imaginacya najmłodszej Gracyi przypisuje Ośmnaście lat skończyła; świeżość i regularność iey wdzięków pokazywały, że dopiero z rąk natury wyszło naydoskonalwsze iey dzieło. Gdy umysł iey był spokojny, lilie iey oblicza przewyższały róże, ale za najmniejszym poruszeniem duszy, róże zalewały lilie; nie to, że miała kolor kwiatów, ale płec iey, miała ich delikatność, ich łagodność, ich gładkość, którą nie ieszcze zatrzcć nie mogło. Na twarzy *Ursuli* tysiączne przyjemności, ustawicznie odmie-

mieniane, następnie się wyłuszczały. W oczach iey czasem omdłałość skromna, bojaźliwa czułość, zdawała się wynurzać z iey duszy, i wyrażać się weyrzeniem, czasem szlachetna surowość poważna z łagodnością, przytłumia ich blask przenikający; panowały w nich na przemiany, surowa przystoynność, lęklivy wstyd, żywa i uprzejma rokosz. Głos zaś i usta iey tak były wdzięczne, iż gdyby innych powabów *Ursula* nie miała, tedyby ją same były upiękniły. Naymnieysze ruszanie ust, nowe odkrywało powaby, a gdy się uśmiechnąć raczyła, milczenie nawet iey miało w sobie coś dowcipnego. Nic nie było skromnieyszego nad iey ubiór, ale też nic milszego. Na wsi dała rość swoim pięknym blondynowym włosom, które w nieprzymuszane składając się kędziory po śnieżney szyi, na naypięknieysze spadały łono.

Alcest uważał w niey postawę nayuczciwszą, i ruszenie się nayprzystoynieysze. Szkoda byłaby, rzekł, gdyby się w złe dostała ręce; możnaby z niey

zrobić naydoskonalszą kobietę. W samey rzeczy, im bardziey się nad tym zastanawiam, tym więcey sobie winszuję, iż mam w iey oycu dobrego sąsiada. Człowiek to prosto-szczery i uczciwy. Zdania ma nie naylepsze, ale za to upatruję w nim serce wyśmienite. W kilka dni potym Jmć Pan *de Laval*, przechodząc się odwiedził *Alcesta*, który z nim mówił o ukontentowaniu, które czuć musi czyniąc ludzi szczęśliwemi. Jest to piękny przykład (przydać daley) ale na hańbę ludzi przykład bardzo rzadki; iak wiele iest Panów możniejszych i bogatszych od WMPana, którzy są tylko ciężarem dla ludu. Nie oskarżam, ani omawiam wszystkich, odpowiedział Jmć Pan *de Laval*. Ażeby dobrze czynić, potrzeba mieć możność dobrze czynienia, a gdy ta iest, należy wiedzieć, iak sobie w tym postąpić. Nie rozumiey WPan, iż rzeczą łatwą iest dobrze ludziom uczynić. Nie dosyć iest w tey mierze na zdolności, potrzeba jeszcze mieć szczęście do tego. Potrzeba użyć wiele obrotów i ciera-

pliwości, aby lud z natury niedufny i boiaźliwy naprowadzić na to, co dla niego z pożytkiem bydź może. Zaiste, odpowie *Alcest*, taką wymówkę zawsze daią, ale czy sądzisz WMPan, iż iest gruntowna; a czy te zawady, któreś WMPan uprzątnął, nie można równie uprzątnąć? Zdarzenia, odpowie Jmć Pan *de Laval*, wezwaty mię, a okoliczności mi dopomogły. Ten lud nowo nabyty, rozumiał, iż był zniszczony bez nadziei, i skorom ku niemu wyciągnął ręce; ślepo mi się przez rozpacz poruczył. Na wspomnienie samo nałożenia arbitralnych danin, takim był napętiony strachem, iż wołał cierpieć naywiększe uciemżenie, niżeli naymniejszy pokazać dostatek. Płacenie Exaktorom pomnażało daninę, przytłoczeni niecznośnym ciężarem, w nędzy szukali schronienia. Gdym tu przybył, znalazłem wkorzenioną tę nieszczęśliwą i niszczącą wieśniaków maxymę; im więcey będziemy pracować, tym bardziey będziemy uciśnieni. Męszczyźni nie śmie-

li byź pracowitemi, a kobiety, lękały się iak nieszczęścia płodności.

Doszedłem do źródła tego złego. Udałem się do człowieka przełożonego nad wybieraniem podatków. Mości Panie, rzekłem do niego, moi poddani ięczą pod ciężarem uciemiężenia. Nie chcę dłużej słuchać ich skwierku. Obacz WMPan, wiele się ieszcze od nich należy kontrybucyi roczney. Przyszedłem za nich zapłacić. Za nich zapłacić! odpowie mi Exaktor, Mci Panie to byź nie może. A dla czegoż to byź nie może, spytam go się — iest przeciwko regule — iako przeciwko regule, Królowi płacić podatek, którego chce, a płacić go bez najmnieyszey expensy, i zwłoki? — Królowi dosyć na tym, gdy mu się tak płaci, ale ia nie wychodzę na swoje. Na cóżby mi się zdało, gdyby każdy gotowizną płacił? kwitowe, exekucyjne, i inne opłatki są to akcydensa mego urzędu. Na tak dobrą racyą, nie miałem co odpowiedzieć, i nie upierając się dłużej z nim,

poszedłem do *Intendenta*. O dwie łaski WMPana proszę, rzekłem do niego: pierwsza, aby mi wolno było, co rok za ludzi moich płacić podatek; druga, aby dyspartyment podatkovania na nich nie podlegał inney odmianie, tylko tey, która podług taxy publiczney czyniona będzie. Otrzymałem o com prosił.

Przybywszy do domu, zgromadziłem poddanych moich. Moie dzieci, rzekłem do nich, donoszę wam, że na przyszły czas na ręce moie będziecie składali podatek sprawiedliwy, który Królowi płacić winniście. Zadnych iuż na potym nie będziecie doznawać przykrości. Co niedziela żony wasze przyniosą do skarbonki parafialney oszczędzony zarobek, i tak nieznacznie się wypłacicie; uprawiajcie role, miejcie z nich stokrotne zyski; bogaczcie się z pracy waszey, nie będziecie prze-to więcey doznawali ciężaru. Ja ręczę za to, ia, który waszym oycem iestem. Którzyście podupadli, będę was wspomagał, odrobicie mi to, gdy nie bę-

dziecie mieli co do czynienia koło waszej roli.

Takowe rozporządzenie było przyjęte, i wykonane. Nasze gospodynie przynoszą mi regularnie swoją małą ofiarę. Przyjmując zachęcam je, mówię z niemi o dobrym Królu, tak że odchodzą odemnie do też rozrzewnione; tym sposobem uczynilem akt miłości z tego, co przedtem mieli za czynność niewolniczą.

Na robociznę około dróg przyszła kolej, *Intendent*, który iey cierpieć nie mógł, a który nie wiedział iak temu zapobiedz, niewymownie był ucieszony, widząc sposób, którym przedsięwziął do uwolnienia od niey mey małości.

Nakoniec gdym widział, że i wiele czasu i wiele ludzi do roboty zbywa, ustanowiłem warsztat, któryś widział.

Jest to dobro całej gromady, którym pod moim dozorem rozporządza, każdy ma sobie wyznaczoną robotę, ale ta robota nie jest dosyć płatna, aby odwrócić ludzi od prac rolniczych; rolnik

ten tylko czas na nie obraca, który byłby stracony. Pożytki zaś z tych robót idą na kontrybucye, na wojsko, i na utrzymanie robót publicznych. Lecz naykosztowniejszy zysk, który z takowego ustanowienia wypływa, jest pomnożenie ludzi. Gdy dzieci stają się ciężarem dla rodziców; ci nie dbają aby ich więcej mieli; dosyć im na tych, które wyżywić mogą. Lecz skoro dzieci wychodząc z kolebki, mogą się same żywić, wtenczas natura idzie za pętlą swoją, bez wstrzymania się i niespokojności. Wysilają się próżnie na wynadywaniu sposobów rozkrzewienia ludzi. Jeden tylko jest sposób, a ten jest obmyślić im żywność, i umieć ich zażyć. Jako tym końcem się rodzą, aby żyli, potrzeba im upewnić, z czegoby żyć mieli rodząc się.

Nie mędrszego nad WMPana początki, nie cnotliwszego nad WMPana starania, ale przyznać mi WMPan musisz, rzekł Misanthrop, że ta dobroczynność choć tak ważna jest, nie ma w sobie tyle trudności, aby mogła odrazić tych,

którzy się w niey kochają; i że gdyby tacy ludzie byli, iak WMPan... Mów raczey, gdyby mieli tę zręczność, co ja. Mnie sprzyjały okoliczności, od których wszystko zawisło. Widziemy dobre, kochamy ie, ale za każdym krokiem przeszkody stawiają. Dostę na jedney, aby człowieka zatrzymać, a tu zamiast jedney tysiąc ich wynika. Mnie się wszystko pomyślnie wiodło: żaden człowiek mający kredyt, nie miał interesu bronienia tego złego, które uprzętnąć miałem; o małą tylko szło, aby mię uczynić nieposobnym do zapobieżenia temu. Gdybym naprzykład zamiast z *Intendentem* człowiekiem rozczczonym, miał do czynienia z człowiekiem absolutnym, zazdrośnym swojej powagi, zaciętym w swym zdaniu, albo dającym się powodować radami subalternów; gdyby mi tedy przyszło takiego człowieka namawiać, zniewalać, nieby mi się nie było udało; radziłby mi, abym się do niczego nie mieszał, i aby się wszystko działo iak dawniey. Bogu dzięki, przecię się tak

nie stało. Widzisz WMPan, iakim sposobem często gęsto dobra wola staie się nieskuteczna w ludziach dobroczynnych. Wiem, że temu nie wierzysz, ale w WMPana uprzedzeniach jest daleko więcej złego humoru, niżeli sam myślisz.

Alceste do żywego tknięty tym zarzutem, pochodzącym od człowieka, którego szacunek sobie wielce ważył, starał się usprawiedliwić zdanie swoje przed nim. Powiedział mu o przegranej sprawie, o kochance, która go oszukiwała, i o innych przyczynach skarg swoich przeciwko ludziom.

W samey rzeczy; odpowiedział *Jmé Pan de Laval*, jest tu o co się gniewać! wybierasz sobie między tysiącem kobietę pustą, która się bawi i ciebie oszukuje: i słusznie; tę miłość, którą ona ma za zabawkę, za naysłowniejszą masz rzecz na świecie; i czyjaż tu wina? a nareszcie niechże będzie iey wina, czy wszystkie kobiety na świecie są do niey podobne? Jako! dla tego, iż się znaydują oszuści między męszczy-

znami, czy WMPan i ja iesteśmy mniej pocziwemi ludźmi? Jeden WMPanu szkodzi, a WMPan cały naród ludzki nienawidzisz! zły humor, Panie sąsiadzie, zły humor, przyznaj mi się, to wszystko sprawuie.

Przegrałeś sprawę, którą sądziłeś być dobrą; ale któryż z prawujących się nie jest pewien o sprawiedliwości prawa swojego? Czy sądzisz się być więcej bezinteresownym, bardziej nieomylnym, niż byli twoi sędziowie? Jeżeli nie mieli dosyć oświecenia, nie można ich nazwać zbrodniami. Ja Mci Panie, gdy widzę ludzi poświęcających się stanowi, który ma wiele trudów, a bardzo mało przyjemności, który nakazuje obyczajom zupełny przymus najsurowszych przystałości, który chce ciągłej aplikacyi, zastanowienia się bez rozrywki, gdzie praca jest bez nagrody, cnota nawet prawie bez żadnego blasku; gdy widzę tych ludzi otoczonych zbytkiem i uciechami bogatego miasta, żyjących na ustroniu, osobnych, w wstrzemięźliwości, w prostot-

cie i w skromności pierwszych wieków; wierzay mi WMPan, mam za świętokradztwo, obelgę uczynioną ich słuszności. Otóż takowe jest życie większej części tych sędziów, których tak nierozmyślnie oskarżasz. Nie ci to trzpiotowie, których widzisz latających po świecie, którzy utrzymują wagę praw. Nim dojdą wieku mądrości, mają tę skromność milczeć w obecności udoskonalonych mędrców. Ci mogą się czasem omylić, nie są bowiem aniołami, ale są mniej ludźmi niżeli my. Ale nigdy przeświadczyć cię nie potrafię, aby ci poważni starcowie, którzy od poranku drżącym krokiem idą na sądy, mieli tam iść na popełnienie niesprawiedliwości.

Co się tycze dworu, tam się tak wiele znayduje interessów tak powiązanych, tak potężnych, które się przeryniają i walczą z sobą, iż staie się rzeczą naturalną, że się tam znayduje więcej ludzi namiętnych i złych, niżeli gdzieindziej. Ale ani WMPan, ani ja nie doznaliśmy tych wielkich do-

świadceń pychy i zazdrości; któż to wie, jeżeli tu tylko o małą rzecz nie szło, żeśmy nie zostali iak drudzy obłudni przyjaciółmi, i podłemi podchlebcami. Wierzaj mi WMPan, mało ludzi na świecie ma prawo naganiać obyczaje świata.

Wszyscy poczciwi ludzie, odpowie *Alcest*, mają to prawo, a gdyby uczynili między sobą ligę, ludzie zli nie nie liby na świecie tyle kredytu i zuchwalstwa. Jak się ta liga uformuje, powiedziać Jmć Pan *de Laval* odchodząc, to my się obaw w nią wpisujemy. Tymczasem mój sąsiedzie radzę ci, w twym małym kąciuku, bez hałasu, tyle dobrego ludziom czynić ile możesz, biorąc za regułę miłość bliźniego, a zachowując nienawiść dla smutnych excepcyów.

Szkoda, rzekł *Alcest*, po wyjściu Jmci Pana *de Laval*, że dobroć jest zawsze złączona z krewkością, wtedy gdy złe ma tak wiele siły i potęgi.

Szkoda, mówił z swojej strony Jmć Pan *de Laval*, że ten poczciwy czło-

wiek udał się na bezdroże, co go czyni nieużytecznym, i sobie i innym. Ma prosto-szczerść, kocha cnotę; ale cóż mi jest cnota, jeżeli nie istną chimera bez miłości ludzi? Tym sposobem szacując się zobopolnie, nie byli kontenci ieden z drugiego.

Osobliwszy przypadek jeszcze bardziej *Alcesta* markotność pomnożył względem Jmci Pana *de Laval*.

Baron *de Blonzak*, istny Gaskończyk, człowiek pełen punkt honoru, dobrze o sobie myślący, ale Misanthrop w swoim sposobie, pojął za żonę Kanoniczkę *de Remiremont*, krewną Jmci Pana *de Laval*, przyjechał odwiedzić swego krewnego. Regiment jego stał w Lotaryngii.

Jmć Pan *de Laval* bądź to dla zabawki, bądź też, iż chciał poprawić dwóch Misanthropów, jednego przez drugiego, przedsięwziął dopuścić im zetrzeć się z sobą. Wezwał na obiad *Alcesta*.

Miedzy męszczyznami dyskurs przy stole zwyczajnie o polityce bywa. Gaskończyk zaraz przy pierwszy potra-

wie zaczął rozprawiać i pić. Ja się z tym nie taig, rzekł, cały świat mi obmierzył zupełnie. Chciałbym być o dwa tysiące mil od mego kraju, o dwa tysiące lat od mego wieku.

Teraz tylko intryga i fawor panią, podzielili się między sobą, a o zastugach zapomniano. Kto się łasi, kłania u dworu, pozyska wszystkie łaski, a kto tylko powinność swoją czyni, nie ma nic. Mnie naprzykład, którym nigdy więccy nie umiał, iak marszerować tam, gdzie mię honor wzywał, bić się po kawalersku, mnie tylko nieprzyjaciel zna; ale niech mię diabli wezmą, jeżeli Ministerium, albo Dwór wie, iż jestem na świecie. Gdyby słyszeli mówiących o mnie, rozumieliby, iż o pradiadzie moim mówią; a gdyby im powiedziano, iż kula armatna łeb mi urwała; założyłbym się, iżby się pytali, czy byli *Blonzakowie* jeszcze w Francyi. Dla czego się WMPan nie pokazuje, rzecze do niego Jmć Pan *de Laval*? Trzeba się koniecznie przypominać. — Ja Meci Panie, ia się pokazuję podczas pos

tyczki. Alboż tu w Paryżu są nasze chorągwie?

Gdy tak rozprawiał, przynoszą listy Jmci Panu *de Laval* z Paryża. Prosi, aby mu pozwolono je przeczytać dla dowiedzenia się iakich nowości. W jednym liście doczytał się, iż na zalecenie jego, które bez wiedzy *Blonzaka* uczynił, dwór temuż urząd Kommendanta fortecy konferował. Czytaj WMPan, rzecze do niego Jmć Pan *de Laval*, ten interes do WMPana ściąga się. Jmć Pan *de Blonzak*, przeczytawszy z radością, uściskał Jmci Pana *de Laval*, ale po tej uczynionej na dwór wycieczce, nie śmiał opowiedzieć, co od niego otrzymał. *Alcest* rozumiejąc, iż w nim znalazł sekundanta, pobudzał go do kończenia zaczętej na ludzi satyry. Otóż jest, rzekł, oczywisty przykład niesprawiedliwości, która obrusza. Człowiek dobrego urodzenia, dobry żołnierz, służąc tak długo gorliwie krajowi, zostać zapomniany, bez nadgrody; niech mi teraz kto powie, iż wszystko się dobrze dzieje na świecie. Ale,

odpowie *Blonzak*, trzeba byź cokolwiek sprawiedliwym, nie wszystko się złe dzieje, iak powiadają. Prawda, iż trzeba cokolwiek czekać na nadgrody, ale i te się z czasem znajdą.

Nie jest w tym wina Ministrów, iż więcej jest przystąg uczynionych, aniżeli nadgrad do rozdania; a szczerze mówiąc, Ministrowie czynią, co mogą. Ta nagła odmiana, i dalszy dyskurs Jmci Pana *de Blonzak* broniący dwór i ludzi zadziwiły cokolwiek *Alcesta*.

Mci Panowie, rzekł Jmć Pan *de Laval*, aby was pogodzić, piymy za zdrowie Jmci Pana Kommendanta; i w tym rozgłosił odebraną w tey mierze nowinę. Przepraszam WMPana, rzekł *Alcest* do *Blonzaka*, żem nadto wspierał WMPana zażalenia, nie wiedziałem bowiem o przyczynie, którą miałaś cofnienia słów swoich. Ja? Mci Panie, odpowie *Blonzak*, nie mam żadney niechęci, iak dziecię przestaje się gniewać. Wiedzisz WMPan, tu rzecze Jmć Pan *de Laval*, iż Misanthrop może się pomiarować. Może, odpowie *Alcest* z żywością,

ścią, gdy interes osobisty kieruje sentymentami iego. Oh Mci Panie, rzecz na to *Blonzak*, czy znasz WMPan kogo, któryby się uymował za tym, co go ani z bliska, ani z daleka nie dotyka? To wszystko co interessuje ludzkość, odpowie *Alcest*, powinno z bliska dotykać człowieka cnotliwego; nie chcey wątpić, aby się znajdowali przyjaciele porządku, którzyby nienawidzili złe, za to że złe, bez najmniejszego względu na siebie. Uwierzę temu, rzekł na to Gaskończyk, iak obaczę człowieka niepokojnego nad powodzeniem Chińczyków, ale póty, póki kogo zasmucać będzie to złe, które on czuje, albo które czuć może, zawsze powiem, że myśli o sobie wtenczas, gdy udaie, iż o drugich myśli. Co ia to iestem szczerzy, nigdym ieszcze nie był obrońcą mal-kontentów. Niech każdy swojej sprawy broni. Zaliłem się, gdym miał się na co żalić, godzę się z światem, skorom z niego kontent.

Jak bardzo scena *Blonzaka* przykrzyta się *Alcestowi*, tak bardzo bawiła Jmci

Pana *de Laval* i jego córkę. Otóż dobra nauka, mówili, którą odebrał nasz Miśantrop.

Przez kilka dni bądź to przez wstyd, bądź też przez względność nie był u nich *Alcest*. Nawiedził ich przecię dnia pewnego: Jmci Pańa *de Laval* nie zastał, córka jego go przyjęła; widząc się sam na sam z nią, uczuł wielkie poruszenie, którego utaić nie mógł.

Nie mieliśmy honoru, rzecze do niego, widzenia WMPana od czasu wizyty Jmci Pana *Blonzak*; cóż się WMPanu zdaie ten człowiek? — jest taki człowiek, iak i drugi, — że nie ze wszystkim iak i drugi: mówi z otworzystością; powiada to, co drudzy tają, a ta szczerość zdaie mi się bydz charakterem dosyć osobliwym. — Nieinaczey Mcia Panno, szczerość iest rzeczą rzadką, i bardzo mię to cieszy, iż w tym wieku iestes przeświadczona o tym. Ostrzegam WMPannę, będziesz w potrzebie często to sobie przypominać. Ach! między iakich ludzi się dostaniesz? Jmć Pan *de Laval* ekkuzuje ich iak naley-

piey, dusza jego piękna czyni im honor, iż podług siebie o nich sądzi: ale gdybyś wiedziała, iak niebezpieczni, iak nienawiśni są po wielkiey części! WMPan naprzykład, rzekła *Ursula* z uśmiechem, masz wiele przyczyn żalenia się na nich; wszak prawda? — Proszę mię ochraniać, a nie przypisywać mi osobistości Jmci Pana *de Blonzak*. W niektórych okolicznościach nasze myśli się zgadzają, ale pobudki nasze są różne. — Wierzę temu; ale proszę mi wytłómaczyć, czego pojąć nie mogę. Powiadano mi, że występki dla tego się nazywają występkiem, iż szkodzi ludziom; a cnota ztąd iest cnotą, iż im dobrze czyni. — Nieinaczey — Nienawidzić występki, kochać cnotę, iest właśnie interesować się za ludźmi, a ażeby się za nimi interesować, potrzeba ich kochać. Jakże WMPan możesz razem, i interesować się do nich, i ich nienawidzić? — Interesuję się za ludźmi dobremi, a ztemi się brzydzę, którzy szkodzą ludziom dobrym. Ale liczba dobrych ludzi małeńka iest, a świat na-

pełniony złoczyncami — przynajmniej że WMPana nienawiść nie rozciąga się na wszystkich ludzi. Ale czy jesteś tylko pewien, aby ci ludzie których kochasz, w tak małej liczbie byli? Uczyńmy razem podróż w myśli. Podo-
baż się WMPanu? — i owszem. — Naj-
przód stawajmy na wsiach; czy WMPan
rozumiesz, iż tam nie masz obyczajów,
a jeżeli nie cnoty, to są przynajmniej
prostota, dobroć i niewinność, — i po-
wszechnie niedufność, chytrność. — Te-
raz poymię co mi mój oyciec tyle ra-
zy powiadał, iż niedufność i chytrność
są wydziałem słabości. Znajdują się te
w wieśniakach iak w kobietach i dzie-
ciach. Mają się do obawiania wszy-
stkiego; uciekają, bronią się iak mogą,
i to jest ten sam instynkt, który mo-
żna uważać w niektórych zwierzętach.
— Prawda, rzecze *Alcest*, i to właśnie
czyni saryrę zwierząt okrutnych i dra-
pieżnych, i od których się chronić mu-
szą, — rozumiem WMPana, ale nie mó-
wmy tu tylko o pospolstwie po wsiach
mieszkającym, przyznasz WMPan ra-

zem zemną, iż bardziey godne polito-
wania, niż nienawiści. — Oh zgadzam
się na to; — chodźmyż teraz do miast,
i bierzmy za przykład Paryż. — Prze-
bóg! iakiś przykład wybrała! — widzisz
WMPan, że nawet i w Paryżu lud po-
spolity jest dobry. Mój oyciec widuje
się z nim. Często bywa w pomieszka-
niach zakątnych, gdzie ubogie familie,
jedna na drugiej, ięczą w nędzy i nie-
dostatku; oyciec mój powiada, iż znay-
duie między niemi wstydlivość, cier-
pliwość, poczciwość, i czasem szlache-
tność sentymentów, co go rozrzewnia.
— Otóż właśnie to powinno obruszyć
człowieka cnotliwego, przeciwko te-
mu światu niemiłosiernemu, który opu-
szcza cierpiącą cnotę, a otacza z posza-
nowaniem szczęśliwą i zuchwałą zbro-
dnią. — Nie śpieszmy się: dopierośmy
przy pospolstwie stanęli. Przyznasz mi
WMPan, iż lud pospolity w ogólności,
jest dobry, powolny, usługny, poczci-
wy, i że iego dobra wiara, wzbudza w
nim zaufanie, którego często na złe za-
żywają. — Oy i bardzo często! — Ko-

chasz więc pospolstwo? a wszędzie pospolstwo największą liczbę składa. — Ale nie wszędzie pospolstwo równe jest — o naszej tu tylko mówimy oyczynie, z nią tymczasem WMPana pojednać chcę. Teraz zbliżamy się do wielkiego świata. Powiesz mi WMPan, czy mię mój oyciec nie chciał omylać, gdy mi malował obyczaje kobiet: ponieważ się ich obyczaje, mówił, zamykają wewnątrz życia prywatnego, ich cnoty wcale się nie wydawaia; same tylko ich bezdroże widziane są; a upadek jedney bardziey się rozgłasza, niż statek tysięcy innych. Tym sposobem ich złe czynności są oczywiste, dobre zaś zostają zagrzebane. Mój oyciec przydał, iż moment krewkości, jedna nierostropność gubi kobietę, a ta plama zaciera czasem tysięcy pięknych przymiotów. Powiedział mi nakoniec, iż ten występki, który się naybardziey zarzuca kobietom, i który im naywięcey czyni krzywdy, onym samym tylko szkodzi, a zatym nie masz ich za co nienawidzić, nakoniec coś nam za-

rzucacie? cokolwiek obłudy, ale ta obłuda miła a nie szkodliwa jest.

Nauczone z dzieciństwa, abyśmy się starały wam podobać; to tylko usiłujemy ukryć, co wam się nie podoba. I jeżeli się pod jakim ukrywamy kształtem, tę na się bierzemy postać, którą bardziey lubicie, niżeli naszą własną. A wieszże WMPan, że nad to nic więcej nam przykrości i upodlenia nie przynosi? jestem młoda, ale czuję to, iż nayprzyjemniejszym **uczynkiem** naszej wolności by było, pokazać się iakimi jesteśmy; zdradzać zdanie swoje, i wyprzedzić go się, że tak rzekę, jest czynnością niewolniczą naybardziey upadlaia; i że potrzeba przykry gwałt miłości własney uczynić, aby się poniżyć do kłamstwa i zmyślenia. Otóż w tym ja uważam, iż kobieta jest niewolnicą, i że iarżmo na nas włożono. — Gdyby wszystkie kobiety tak wspaniałe myśli miały iak WMPanna, nadobna *Ursulo*, nie zdradzałyby nas tak płochy i z taką wesołością serca. — Jeżeli was oszukują, w tym waszą jest winą. Jeste-

ście niby naszymi Królami. Przekonajcie nas, iż nie bardziej nie lubicie, iak szczerść, iak prawdę; że wam się ta podoba, że was uymnie, a my się będziemy starały zawsze wam je pokazywać. Jakaż jest ambicya kobiety? bydź miłą i bydź kochaną. Napiszcie więc na jabłku, *nayszczerszey*; a wszystkie się będą o nie ubiegać, starając się o prosto-szczerść i wrodzoność, ale gdy adresuiecie *dla naybardziejzay zwodzacey*, iaka taka na wyścigi was oszukaie. Co się tycze naszych zawiści, niechęci, plotek, swarów, to was tylko bawi; a wasze zatargi, przyznay mi, daleko ważniejsze za sobą prowadzą konsekwencye. O nic więcej tu nie chodzi, tylko o lekkomyślność w naszych upodobaniach i humorach; ale gdy wam się będzie podobało, będziemy gruntowniejsze, i może już są takie kobiety, co ukradkiem nabyły światła i początków, których im zwyczaj zazdrości! — WMPanna jesteś tego dowodem, której dusza jest nad wiek i nad płec icy. Jestem młoda, odpowie *Ur-*

sula, spodziewać się mogę, iż mi wszystko wybaczyć zechcesz. Lecz tu nie o mnie mowa, idzie tu o świat, przed którym WMPan uciekasz, którego nie-nawidzisz, sam dobrze niewiedząc dla czego. Bronięm ilem mogła kobiety; zostawuję oycu memu staranie, kończyć obronę męszczyzn. Uprzedzam zaś WMPana, iż oyciec mój malując mi obraz ich społeczeństwa, często mi powiadał, iż ledwie nierównie mało jest między niemi serc przewrotnych, iako i dusz heroiczych, i że naywiększa część się składa z ludzi stąbnych, z *dobrych dusz*, którzy niczego nie pragną tylko pokoju i wygody. — Tak jest, pokoiu i wygody każdy dla siebie, a z krzywdą tego, do którego należeć będzie. Świat Meia Panno składa się tylko z oszustów i oszukanych: a tam nikt nie chce bydź oszukanym, i abym tylko o tym mówił, co WMPannę dotyka, upewniam ią, że wszystko, co tylko jest w Paryżu ludzi próżniących i w wieku podobania się, tym się tylko zatrudnia, aby siadła na kobiety stawiać.

Dobrze! rzecze *Ursula*, one wiedzą o tym, a oyciec mój twierdzi, że ta walka gaszkowania z iedney, a umizgów z drugiey strony, jest igraszką umowioną. Kto chce, to gra, kto w tym nie ma upodobania, może bezpiecznie zostać w swoim kąciuku. Nic mniey, upewniam mój oyciec, niebezpieczeństwu nie podlega jak cnota gdy jest szczerą. — I WMPanna temu wierzysz — wierzę, i tak bardzo wierzę, iż gdybym kiedy mogła przestać być stateczną, zawczasu WMPana upewniam, iżby się to z moją własną wolą stało. — Zapewne z własną wolą. Ale miałybyś wolą, gdybyś była omamiona czarodzieystwem zwodziciela, któryby wzbudził w WMPannie własną wolą? — Jest to wymowka, którey dziś nie przyjmuję; nie wierzę bowiem w żadne czary.

W tym Jmć Pan *de Laval* powrócił z przechadzki. Mości oycze Dobrodzieiu, rzekła do niego *Ursula*. Cóż WMPan Dobrodziey sądzisz o *Alceście*, koniecznie chce, abym się bała być wystawioną na światcie podeyściu męszczyzn.

— Nie trzeba im moja córko dowierzać, nie trzymam, żeś jest nieomylną. — Ale ja trzymam, że WMPan Dobrodziey jesteś dla mnie nieomylnym; a jeżeli mię spuścisz z oka, pamiętasz zapewne coś mi przyobiecąć raczył. — Będę się starał dotrzymać ci słowa. — Czy mogęż i ja wiedzieć, pytał się *Alcest* z ułożeniem bojaźliwym? — nie masz tu żadney tajemnicy, odpowie *Ursula*. Oyciec mój raczył mię nauczyć moich powinności, i gdyby mógł bydz ustawnie moim przewodnikiem, pewnąbym była, iż nie zbłądzę nigdy, a gdybym się sama zapomniała, onby mię nigdy nie zapomniał. Znając dobrze duszę moją, i co się w niej dzieie, kierowałby wszystkie iey skłonności, ale że nie będzie mnie zawsze miał na oku, obiecał mi dać inszego przewodnika; małżonka, któryby był iego i moim przyjacielem, i któryby mi zastępował mieysce oycia. — Przyłoż jeszcze i amanta moja córko; bo młodey kobiecie koniecznie miłości potrzeba. Chcę, abyś była stateczną, ale i tego pragnę, abyś była

szczęśliwą, i gdybym popełnił nierostropność wybierając ci męża, któryby cię nie kochał, albo któryby ci się nie podobał, nie miałbym prawa mieć ci za złe, żeby ci chęć szukania większego dobra, to jest kochania i bydl kochaną, wybiła z pamięci nauki moie.

Alcest odszedł nięty mądrością dobrego oycy, daleko bardziey otwartością i uczciwością córki. Czyniono różnice, mówił, między wiekiem niewinności i wiekiem rozumu, ale w tym szczęśliwym tego anioła charakterze, niewinność i rozum się łączą. Nabierając oświecenia dusza iey się wyczyszcza. Ach! gdyby się znalazł jeszcze człowiek godzien, aby udoskonalał tak kosztowne duszy iey dary, iakaby ztąd miał dla siebie roskosz? Od świata zewsząd napelnionego szkopałami, potrzeba ią pilnie oddalać. Lecz ten świat niczymby był dla niey, gdyby kochała. Małżonek cnotliwy i kochający, wystarczyłby iey za wszystko, i mieysceby u niey zastępował wszystkiego. Smiem sobie podchlebiać, żem w dwudziestym

piątym roku! właśnie się zdał dla niey ... w dwudziestym piątym roku ... a cóż ja umiał wtenczas! bawić się, i błędzić; czym był w stanie wykonania powinności, mądrego i czuynego oycy? Byłbym ią kochał, iak szalony, ale iakież zaufanie mogłbym wzbudzić w iey sercu. Piętnastoletne doświadczenie jeszcze nie nie jest nadto. Ale od ośmnastu lat do czterdziestu, odległość jest dla niey okropna. Nie trzeba więcej o tym myśleć. Tymczasem całą noc o tym myślał, nazajutrz to samo czynił, następnego dnia gdy się obudził, naypierwsza myśl mu się wystawiła, o naymilszey *Ursuli*. Ach! rzekł, iak wielkie byłoby nieszczęście, gdyby iey się chwycić miały występki świata, tego. Dusza iey tak jest czysta, iak piękność iey postawy. Jakaż łagodność w iey charakterze! iakież uymuiąca prostota w obyczajach i w mowie! chwałą moc krasomowstwa; a czy może bydl prawdziwsza? Nie mogła nię przeświadczyć, ale mię namówiła. Zadałem mieć równe z nią myśli, chciałbym, aby to

omamienie, które wemnie sprawiła, nie zakończyło się nigdy. Za cóż ja nie mam nad iey umysłem, albo raczey nad umysłem oycy iey, tę słodką władzę, którą ona ma nad moim. Nakłoniłbym ich, aby tu mieszkali w prostocie obyczajów przyrodzenia. A na cóżby nam się zdał świat? Ach! troje serc dobrze z sobą zgodnych, dway amanci i oyciec, czy nie mają w ścisłości zobopólney przyjaźni z czego się uszczęśliwić wzajemnie.

Wieczorem po przechadzce nie myśląc o tym, udał się ku ogrodowi Jmci Pana *de Laval*, trafił go między szpalarami obcinającego drzewka. Przyznał mi WMPan, rzecze do niego, iż te uciechy spokoyne daleko lepsze są nad te szumne, które doznają, albo rozumieją, iż doznają w Paryżu. Każda rzecz ma swój czas, odpowiedział Jmć Pan *de Laval*. Lubię bydlę na wsi, gdy się natura odradza, wtenczas na nie się nie zdam w Paryżu, a na wsi jestem potrzebny. Sam sobą się cieszę, i tym dobrem, które sprawuję. Córka moja ma

upodobanie w życiu wiejskim; i tu się dobrze bawi. Otóż to, co mię tu przyciąga, i zatrzymuje. Nie sądź WMPan, abym tu sam tylko żył, nasze miasteczko *Brugeres* jest napełnione ludźmi uczciwymi, którzy kochają nauki i w nich się ćwiczą. Nie znaydziesz nigdzie obyczajów łagodniejszych. Są grzeczni z otwartością, mają prostoszczerość, ale przytym dobrze są wychowani. Wesołość, otwartość, prostoszczerość, składają charakter tego miłego ludu. Gościnność jest u nich cnotą z oycy na syna spadającą. Są towarzyscy, ludzcy, i dobroczynni. Kobiety mają dowcip i cnotę, a społeczeństwo, które one zdobią, do powabów przyzwoitości, łączy przyjemności swobody. Jednakże używając tak słodkiego obcowania, nie mogę zapomnieć o Paryżu, i gdyby mię tam przyjaźń, miłość nauk, i znajomości miłe nie wzywały, sama ponęta odmiany, co rokby mię tam pociągała. Nayżywsze uciechy w końcu słabieją, a najsłodsze stają się niesmacznymi, dla nieumiejące-

go ie odmieniać. Jednakże zdaie mi się, rzekł Misanthrop, iż społeczeństwo nieliczne, iak naysciśley ziednoczone przy wygodach i cnocie mogłoby sobie zastąpić mieysce wszystkiego, i gdyby naprzykład partya iaka dla Jmci Panny *de Laval*, nie miała inszey nieprzyzwoitości, tylko zatrzymania ią na wsi, iestem przeświadczony, że WMPan sam ... Oh zapewne, rzekł Jmć Pan *de Laval*, gdyby moja córka tu mogła być szczęśliwą, byłoby to i dla mnie uszczęśliwieniem. O tym wątpić nie można. Już pięćdziesiąt lat żyłem dla siebie, czas iest, ahym też żył dla niey. Lecz nie masz tego potrzeby. Córka moja lubi Paryż, a ia dosyć bogaty iestem, że mogę ią w nim przystoynie postanowić.

Dosyć było powiedziane dla *Alcesty*, który bojąc się, aby nie wydał, obrócił mowę na rzeczy ogrodnicze, pytając się Jmci Pana *de Laval*, ieżeli miał upodobanie w kwiatach? zbyt prędko okwitają, odpowie Jmć Pan *de Laval*; ukontentowanie i żal blisko siebie chodzą, a myśl o prędkim zwiędnięciu ich,
mie.

miesza coś smutnego, do pociechy, którą mam zapatrywając się na nie. Słowem, z większym umartwieniem widzę okwitły krzak różowy, aniżeli pociechy mam zapatrując się nań, gdy kwitnie; utrzymywanie rzeczy ogrodowych ma w sobie korzyść ciągleyszą i trwalszą, a ieżeli można powiedzieć bardziej zaspokoiającą, ponieważ się kończy na pożytku. Gdy przemysł się wysila na odmienianiu scen ogrodu kwiecistego, natura sama odmienia ozdoby ogrodowych produktów. Widzisz WMPan, iak wiele te brzoskwinie doznały przeobrażeń, zacząwszy od pąków, aż do zupełney dojrzałości ich owoców. Mów zemną sąsiedzie o ukontentowaniu, które się oszczędza i przedłuża. To które kwiaty dają, nad dzień trwałości nie ma, a wiele kosztuie odnowienie ich.

Poznawszy zamysły oycy, chciał się ieszcze dowiedzieć, iakieby było wtey mierze ułożenie córki. Łatwo mu było mieć z nią partykularną rozmowę. Im bardziej przenikam, rzekł do niey, ser-

ce oycy WMPanny, tym bardziey go poważam i kocham. Tym lepiej, odpowie mu Jmć Panna *de Laval*: przykład iego utęgodzi obyczaje WMPana i pojedna go z podobnemi sobie; — z podobnemi sobie! ach iak mało ich iest! Jest to nieomylnie osobliwszym dla niego darem niebios, że ma tak godną i naydoskonalszemi przymiotami ozdobioną córkę. Ale i dla WMPanny iest rzadkim szczęściem, iż masz tak mądrego i dobrego oycę! dałby Pan Bóg, aby małżonek, który WMPannie iest przeznaczony, był godzien mieć go za oycę, a ciebie za żonę! Chciey mi jeszcze życzyć, rzecze Jmć Panna *de Laval* z uśmiechem, aby nie był Misanthropem. Tobys WMPanna wolata, odpowie *Alcest*, męża z gatunku ludzi oziębłych i płochych, których wszystko bawi! a nie uymnie; ludzi słabych i łatwych, których moda ukształca i nagina do woli; którzy są woskiem dla obyczajów niniejszych czasów, a dla których zwyczaj iest naywyższym prawem? Misanthrop mało ludzi kocha, ale

gdy kocha, to dobrze kocha. — Prawda, ja znam to, że nabycie takiego serca iest podchlebne dla próżności, ale ja iestem dobra, lecz próżności nie mam. Żądam, aby w tym sercu, które mi się zupełnie odda, nie było ani goryczy, ani zakwaszenia. Chcę mu udzielić łagodność mego charakteru, i wlać w niego sentyment dobrotliwości powszechney, która mi pokazuje ludzi i rzeczy, z strony naybardziey pocieszającej. Nie mogłabym przepędzić życia mego na kochaniu człowieka, któryby swoje trawił w nienawiści. — To, co mi WMPanna powiadasz, nie bardzo mi podchlebia, oskarżają mię bowiem, iż iestem Misanthropem. — Dla tego też z WMPana, a z WMPana samego tylko, czynię sobie wyobrażenie tego charakteru, ponieważ w Jmci Panu *de Blonzak*, przemieniając tylko widziałem markotność; uważałeś sam iak mało potrzeba było, aby go naprowadzić. Ale nienawiść ludzi dobrze rozważona, i ugruntowana na początkach, iest rzeczą arcy okropną. A to się właśnie w

WMPanu pokazuje. Jestem przeświadczona, iż ta niechęć, którą masz ku ludziom, jest tylko bezdrożem, jest zbytkiem cnoty: nie jesteś złym, jesteś trudny, i mniemam, że tak mało jesteś wybaczącym względem siebie, jak względem innych. Ale ta cnota zbyt surowa, zbyt niecierpliwa, czyni WMPanna nie towarzyskim, a sam mi WMPan przyznasz, iż mąż takowego humoru nie ma z czego być zabawnym. — WMPanna więc chcesz, aby ią mąż bawił? — Tak jest, i aby się sam bawił temi rzeczami co i ja; bo jeżeli małżeństwo, jest społeczeństwem trosków; potrzeba, aby wzajem było i społeczeństwem uciech.

Nic jaśniejszego, nie dobitniejszego nad to, mówił sam do siebie *Alcest*, skończywszy rozmowę: nie byłaby mi jaśniejszą myśl swoją wyłuszczyła, gdyby była moją zgadła. Otóż dla mnie i dla podobnych mnie, zawczasu wygotowana odprawa. A w samej rzeczy na cóż się odważałem? Mam czterdzieści lat, jestem wolny, i spokojny, odemnie

szczególne zawisło, abym był i szczęśliwym .. Szczęśliwy! ach! czy mogę nim być, mając duszę tak czułą? uciekam przed ludźmi! ach przed kobietami, przed pięknymi kobietami trzeba mi było uciekać! rozumiałem, że ie dosyć znam, abym nie miał przyczyny obawiania ich się; ale któżby się spodziewał tego, co mi się przytrafia? W środku prowincyi, na moje nieszczęście, potrzeba mi znaleźć, piękność, młodość, wdzięki, statek, i cnotę nawet, w jedney połączone osobie. Zdać mi się, iż miłość mię prześladowa, iż umyślnie to dziecko utworzyła, aby mię zawstydić i umartwić. Ale jakimże sposobem moją miesza spokojność! brzydzę się przysadami; w niej sama prostota: cierpieć nie mogę umizgów; ona ani myśli mnie się podobać: kocham, wielbię otworzystość; iey dusza się wylewa: w oczy mi powiada, jak najszybszą prawdę. Czyby mogła co więcej uczynić, gdyby postanowiła zawrócić mi głowę? Jeszcze zbyt młoda; odmieni się z wiekiem: bawiąc się na

świecie, który lubi, nabędzie iego obyczaje; i trzeba wierzyć! ach! ia nie wierzę temu, a gdybym wierzył, byłbym zbyt niesprawiedliwym. Sprawi ona szczęście i sławę mężowi swojemu, jeżeli iey wart będzie. A ia, ia żyć będę samotny, oderwany od wszystkiego, w sieroctwie i niktzemności; trzeba bowiem przyznać się, iż dusza zostaje w zniszczeniu, skoro więcej nie kocha. Cożem powiedział! niestety! gdybym nie kochał, ten spoczynek, ta cisza duszy moiej, czy miała w sobie co okropnego! podchlebne wyobrażenie przyszłego większego dobra; ty, ty szczególnie daiesz mi uczuć czczość i tęsknotę serca mego. Ach! aby mieć upodobanie w osobności, nie trzebaby było na krok z niey wychodzić.

Te uwagi, i walki wewnętrzne pograżyły go w głęboki smutek; który utaić, osądził za rzecz potrzebną.

Jmé Pan *de Laval* był wielce zdziwiony, nie widząc go cały tydzień u siebie; posłał dowiedzieć się, jeżeli nie choruje, *Alcest* kazał odpowiedzieć, iż

w samey rzeczy nie najlepiej się ma od niejakiego czasu. Serce czułe *Ursuli*, było tknięte tą odpowiedzią. Od czasu niebywania iego, miała iakieś domysły o prawdzie, bardziey tą wiadomością była o tym przeświadczone, i żałowała mocno, iż go zasmuciła. Chodźmy nawiedzić go, rzekł do niey Jmé Pan *de Laval*, mocno ubolewam nad stanem iego. Ach! moja córko, iakie smutne i przykre przedsięwzięcie żyć samotnie, i sobie samemu wystarczać. Człowiek jest zbyt słaby, aby się mógł przy nim utrzymać.

Alcest, gdy pierwszy raz do siebie wchodzącą obaczył Jmé Pannę *de Laval*, zdawało mu się, iż pomieszkane iego odmieniło się w świątynią. Wskroś był przejęty radością i poszanowaniem, ale wyraz wielkiego smutku pokrywał się na twarzy iego. Cóż się to dzieie, rzekł do niego Jmé Pan *de Laval*; widzę WMPana wielce smutnego, a właśnie ten czas upatrzyłeś sobie, abyś odemnie unikał! Czy WMPan nas masza za tych ludzi, którzy smutnych postaci

nie lubią, i do których się trzeba zbliżać z wesołym obliczem? Jak będziesz spokojny i kontent, baw się u siebie, iak ci się podoba; lecz gdy masz iakie troski, do mnie trzeba przyjść żalić się i odebrać pocieszenie. *Alceste* rozrzuwiony z zadziwieniem, słuchał go w milczeniu. Prawda, odezwał się nakoniec, iestem przerażony myślą, która mię przesładuje i zasmuca. Niebo mi jest świadkiem, iż rzekłszy się świata, żadnego nie czułem żalu, nim *WMPana* poznałem. Od tego czasu widzę, iż sobie umilam słodkie obcowanie z *WMPanem*, dusza moja przywiązując się do niego związkiem przyjaźni i szacunku, i gdy będzie potrzeba ie zerwać, niestetyż! podobno, na zawsze ta osobność, w którejbym był sobie upodobał, stanie mi się okropnym grobem. Uczyniłem więc przedsięwzięcie, nie czekać na to, aż powab słodkiego przywiązania, zupełnie mi uczyni nienawistnym to osobne pomieszkanie, w którym żyć mam, a szanując was, kochając was iako dwie istoty, które czy-

nią zaszczyt przyrodzeniu, a których świat nie godzien, upraszam abyście pozwolili, ostatnie uczynić pożegnanie. Wtym wzięwszy ręce *Jmci Pana de Laval* całował ie, i łzami oblewał. Więc *WMPana* nie obaczę, mówił dalej, ale kochać go będę nieskończenie.

Czyś oszalał, rzecze do niego *Jmci Pan de Laval*! a któż nam zabroni żyć w społeczeństwie, jeżeli ci się moia kompania podoba? masz świat w nienawiści: iest to wyrok, który ci przebaczam: nie iestem przeto mniej pewien o dobrym sercu twoim, a chociaż nasze charaktery się różnią, nic nie mają w sobie, dla czego by się zgadzać nie miały; a nareszcie kto wie, jeżeli sobie nie są podobne. Dla czego takie powzięteś przedsięwzięcie, które ciebie zasmuca, i mnieby zasmuciło! z bóleścią przewidujesz chwilę naszego rozstania; od ciebie samego zawisło, abyś z nami pojechał. Nic łatwiejszego, iak żyć w Paryżu w wolności, w osobności, i oddaleniu się od świata. Moie społeczeństwo, nie iest liczne, będzie two-

im; a ja przyrzekam WMPanu, że go z takimi tylko ludźmi poznam, którzy będą warci twego szacunku. WMPana dobroć mię wskroś przenika, odpowie *Alcest*; znam to, iak wiem mu winien, za współlitujące starania. Nie w tym nadzwyczajnego nie masz, rzeczy Jmć Pan *de Laval*, taki, taki jesteś, podobasz mi się; szacuję WMPana, i ubolewam nad jego dolą, a gdybym go zostawił tej melancholii, która ciebie pożera, byłbyś człowiekiem straconym. Szkoda by cię było, a stan twój nie pozwala mi, abym cię opuścił. Za miesiąc wyjeżdżam do Paryża, będzie mieysce dla WMPana, ofiaruję ci go, a proszę się nie wymowić, bądź to przez przyjaźń, bądź też przez wdzięczność. Ach! rzekł *Alcest*, za cóż mi nie wolno przyjąć ten słowod łaski WMPana! Czy masz iaką przeszkodę, spytał się Jmć Pan *de Laval*, która WMPana zatrzymuje? Jeżeli interessa masz powiktane, spodziewam się, iż nie będziesz się wstydził poufać mi się zupełnie.— Nie, interessa moje dobrze idą, jestem dosyć boga-

ty. Mam dziesięć tysięcy talarów intraty, a nikomu nie winienem. Ale pobudka daleko ważniejsza mię tu zatrzymuje. Sam WMPan będziesz się dzią.— Chodź z nami na wieczerzę; rozpędzimy, jeżeli będzie można, te chmury z umystu twego.

Uczyniłeś sobie hydrę, mówił Jmć Pan *de Laval* po drodze, z tego, coś widział złego, lub występnego na świecie. Chceszli wiedzieć, na czym się kończy ta liczba ludzi, których cierpieć nie możesz? Uczyni dziś wieczorem zemną ich popis, a ja z WMPanem idę o zakład, że mi nie potrafisz mianować sto osób, którychbyś mógł sprawiedliwie nienawidzić.— O mój Boże! wymieniłbym ich i tysiąc.— Obaczemy. Miey tylko na pamięci, abys był sprawiedliwym, i dobrze wytaczał swe zażalenia.— Nie sądzę ja ludzi przez wzgląd, na szczególne ich czynności, ale biorąc ich obyczaje w powszechności. Naprzykład potępiam pychę w jednych, a podłość w drugich. Zarzucam im zły użył bogactw, kredytu, i po-

wagi; a chociaż te występki całego życia, nie mają w sobie wyrazu dosyć oczywistego, aby wyłaczyć człowieka z liczby pocziwych ludzi, upoważniają mię jednak do wymazania ich z liczby tych, których szacuję i kocham. Gdy się kto zapędzi, odpowie Jmć Pan *de Laval*, mówi tyle, ile mu się podoba, ale wystawia się przypadkowi, stać się niesprawiedliwym. Szacunek nasz jest to dobro, którego tylko jesteśmy stróżami, a które sprawiedliwie należy się temu, który na nie sobie zasłużył; wzgarda jest ukaranie, które nam wolno komu dać uczuć, ale nie podług naszego widzi mi się. Każdy z nas sądząc podobnego sobie, powinien uczynić rozstrząśnienie, którego by sam żądał dla siebie, gdyby był sądzonym: bo co się tyczy obyczajów, censura publiczna, jest Trybunałem, gdzie każdy z nas zasiada, ale też i każdy z nas jest zapoznany. A którzy z nas na to przystał, aby go oskarżono, na fundamencie niepewnych domniemań, i potępiono bez dowodu? wniydz WMPan sam w siebie,

a poznay, jeżeli ściśle wykonywasz najpierwsze prawo.

Alcest szedł mając oczy spuszczone, i wzdychał głęboko: masz WMPan, rzekł Jmć Pan *de Laval*, jakąś ranę w sercu, którey odkryć nie mogę. Staram się przełamać zdanie WMPana, a tu podobno sentymenta leczyć potrzeba.

Na te słowa, przybywają do zamku. Jmć Panna *de Laval*, bądź to przez przenikłość, bądź przez wzgląd oddaliła się, i zostawiła ich samych.

Mei Dobrodzieiu, rzecze *Alcest* do Jmci Pana *de Laval*, będę z WMPanem mówił, iak z dwudziestoletnim przyjacielem: WMPana dobroć mię zachęca, a moja powinność mię obowiązuje do tego.

Rzeczą jest arcypotrzebną, iż muszę rzec się ukontentowania, i obcowania z WMPanem, tego jedynego ukontentowania, które było pociechą i powabem życia mego. Kto inszy z ogrodkaby mówił, i wstydziłby się zerwać milczenie, lecz ja w moim nieszczęściu, nic nie upatruję, cobym tać miał. Nie

mógłbym widzieć z obojętnością naydoskonalsze natry dzieło: oycu *Ursuli* to czynię wyznanie, i upraszam go, aby zapomniał o tym po pożegnaniu moim. Jako? rzecze *Jmé Pan de Laval*, i taż to wielka tajemnica! o cóż tu chodzi, kochasz się: czy iest tu czego się martwić? bądź dobrej myśli, staray się abyś się podobał, bądź grzecznym, uprzejmym, w tym wieku można bydz jeszcze miłym; któż wie, może że będziesz ukochanym. — Ach! nie zrozumiałeś mię *WMPan*; przepraszam, zdaie mi się, że zrozumiał; wszakże w moiej *Ursuli* się pokochałeś? — tak iest *Mci Dobrodzieiu*, — i któż ci zabrania przynajmniej doświadczyć, iezeli twoiemi sentymentami iey serce nięte bydz nie może? — Jako! *Mci Dobrodzieiu*! pozwalasz mi *WMPan*? — dla czego nie? masz mię za zbyt trudnego. Jesteś dobrego urodzenia, masz uczciwą fortunę, a iezeli moja córka na to przystanie, nie widzę, co by mi się lepszego przytrafić miało.

Zawstydzony *Alcest*, upadł do nóg *Jmci Panu de Laval*, dobroć *WMPana*, rzecz do niego, obarcza serce moje, ale ja z niey korzystać nie mogę. *Jmé Panna de Laval* oświadczyła mi, że *Misanthrop* cierpieć nie może, a właśnie takie ma wyobrażenie o moim charakterze. — To fraszka, *WMPan* się odmienisz — nie potrafię tak dalece się upodlić, abym miał zmyślać, — nie będziesz zmyślał, ale w samey istocie, pojednasz się z ludźmi, nie pierwszym będziesz niedźwiedziem, którego kobiety ugłaskały.

Zastawiono wieczerzą, siedli do stołu; *Jmé Pan de Laval* nadzwyczaj był w dobrym humorze. Bądź dobrej myśli *Panie sąsiedzie*, rzekł, bądź wesół, nie bardziey człowieka nie umila nad radość. *Alcest* zachęcony przykładem *Jmci Pana de Laval*, niezmiernie był wesół: zaczął chwalić uymniącemi wyrazami ścisłe obcowanie dwóch dusz, które skłonność do dobrego, miłość prawdy, i uczucie rzeczy sprawiedliwych i uczciwych łączy. Jakż ztąd powab, rze-

cze, z iedney dla drugiey wypływa; z jakim wylewem słodkim iedna drugiey się udziela! iakąż zgodność i harmonią czynią, iednocząc się z sobą! tu tylko dwoie podobnych mi znajduję; a to jest w oczach moich całym światem. Dusza moja jest napełniona, i życzytbym sobie mocy utrzymania iestności moiey, w tym rokosznym stanie, albo aby życie moje ciągnęło się pasmem tych słodkich chwil, które teraz właśnie doznaję. Szedłbym o zakład, rzekł Jmć Pan *de Laval*, iż gdyby Pan Bóg ninieysze wypełnił życzenia, martwiłbyś się, żeś o co więcey nie prosił, — prawda iest; i gdybym był godzien czynić iedno życzenie... — Nie mówitże ia? Oto istny człowiek, ma zawsze co do żądania. Jest nas tu trzech, a każdy z nas sobie życzy cożkolwiek. Cóż ci się zdaie moja córko? co ia przyznam się, proszę gorąco Pana Boga, aby ci dał męża, któregoabyś kochała, a któryby ciebie szczęśliwą uczynił, — ia zaś z moiey strony proszę także o męża, któryby mi pomagał uszczęśliwiać WMPana Dobro-

brodzieia; — a WMPan co, *Alcest*? — ia gdybym śmiał, prosiłbym, abym był tym mężem. — Otóż trzy życzenia, rzeczy Jmć Pan *de Laval*, któreby się mogły na iedno złożyć.

Datem iuż do zrozumienia, że Jmć Panna *de Laval*, powzięła ku *Alcestowi* sentyment szacunku i życzliwości, czego było dowodem usiłowanie, z którym starała ułagodzać ostrość humoru iego; ale naybardziej w tym momencie uczuła, iak wielce ia uymował ten charakter, który albo kochać, albo nie wiedzieć potrzeba.

Cóż to znaczy, rzecz oyciec po długim milczeniu, wszyscyśmy zaniemieli? że *Alcest* w czterdziestym roku uczyniwszy oświadczenie miłości ośmnastoletniey Paniencie, pomieszany iest, nie nie iest niezwyčajnego; że *Ursula* zarumieniła się, że spuszcza oczy, i zachowuje skromne milczenie, i to się naturalnie dzieie, ale ia, który iestem tylko świadkiem tego wszystkiego, dla czego zamilkł, wcale nie poymuję? ta.

Tom III.

Aa

scena mię bardzo bawi.—Racz mię ochronić oycze Dobrodzieiu. *Alcest* daje mi dowód szacunku swego, na który jestem czuła, byłoby rzeczą żalosną dla niego, gdyby to w żart obrocono. — Jak uważam, to ty rozumiesz, iż on szczerze mówi? — jestem przeświadczona o tym, i mam mu tyle wdzięczności, ilem powinna. — Ale *Ursulo*, czy tylko się zastanawiasz? Czy masz na myśli jego charakter? — charakter jego powinien mu odradzać wchodzić w jakiekolwiek obowiązki; jużem mu w tej mierze moje przełożyła zdanie; — już ma czterdzieści lat, — to wcale co innego. Proszę WMPana Dobrodzieia, abys zapomniał o wieku, gdy mi męża będziesz obierał; — moje dziewczę, tyś bardzo młoda, — właśnie dla tego potrzebuje nie młodego męża. — Więc tylko jeszcze ta nieszczęśliwa *Misantropia* jest na zawadzie, i ja sam to widzę, iż wcale nie zgadza się z twoim humorem. — I jeszcze bardziey z tym ułożeniem, które sobie uczyniłam. — A jakie to u-

łożenie? — bardzo naturalne: żyć dobrze z mężem moim, poświęcać mu moje upodobania, gdybym przez nieszczęście miała takowe, któreby mu się nie zdały, rzec się raczey wszystkiego spoteczeństwa, aniżeli się ogołocić z towarzystwa męża mego, ani kroku na świat nie uczynić, bez jego woli i wiedzy. Można ztąd sobie wnieść, iż mi wiele na tym zależy, aby mądrość męża moiego, nie w sobie dzikiego nie miała, i aby lubił ten świat, w którym się spodziewam z nim żyć. Niech będzie iaki chce, rzecze *Alcest*, śmieie WMPannę upewnić mogę, że wszystkie miejsca mu będą miłe, gdzie tylko się WMPanna znajdować będziesz. Mój oyciec, mówiła daley *Ursula*, mój oyciec mieszka u siebie na wieczerzach kompanią, ludzi zacnych tak odedworu, jak z miasta, chciałabym, aby mój mąż na tych się znajdował wieczerzach, a nade wszystko, aby był wesotym i zabawnym. — Wzbudzony chęcią podobania się WMPannie, zapewne wszystko

uczyni iak naylepiey. — Ułożyłam sobie bywać na widowiskach, na przechadzkach. — Ach! iedyne to były moje uciechy, nie masz nad te niewinniejszych. — Ba! także lubię, chciałabym, aby mię mój mąż na nie prowadził, — w masce nie łatwiejszego. — W masce albo bez maski, tak iak mi się podobać będzie. — Prawda, to jest jedno, iak prędko kto z żoną swoją się znajduie. — Życzyłabym sobie nad to, aby mąż mój tańcował na balach. — Ach! Mcia Dobrodzieyko, będę i tańcował, rzekł *Alcest*, rzucając się do nóg iey; przebóg! zawołał Jmć Pan *de Laval*, iuż tu nie można wytrzymać; a ponieważ obiecuie tańcować na balu, nie podobne nawet rzeczy z nim zrobisz. Jegomość mię ma za człowieka śmiesznego, rzecze *Alcest*, trzeba nim bydź do końca.

Widzisz WMPanna u nóg swoich przyjaciela amanta, a ponieważ tak ci się podoba drugiego oycia, człowieka nakoniec, który żyć nie chce, jeżeli mu nie pozwolisz żyć dla siebie. *Ursu-*

la zbierała pożytki tryumfu swojego, ale w to próżność wcale nie wchodziła. Przywracała światu i onemu samemu człowieka cnotliwego, obywatela pożytecznego, który bez nięy byłby stracony. Ta szczególnie uwaga cieszyła ją niezmiernie, milczeniem tylko dała swoje zezwolenie. Oczy iey z boiżnią spuszczone nie śmiały weyrzec na *Alcesta*, iedną tylko rękę spuściła na iego rękę, a rumieniec żywy iey pięknych iagód, wyrażał wewnętrzne ujęcie i poruszenie serca.

Stoisz iak skamieniała i słowa nie mówisz, rzecze do nięy oyciec! cóż mu odpowiesz? — co się WMPanu Dobrodzieiowi podobać będzie. — Mnieby się podobało, żeby był szczęśliwym, byleby córkę moją uszczęśliwił. — Uczyni to; jest cnotliwy, szanuię WMPana Dobrodzieia, a WMPan Dobrodziey go kochasz. — Uściskaymy się więc dzieci moje. Mań dobrą wróżbę o takim małżeństwie, które się dzieie iak za dawnych dobrych czasów. Wierzay mi mój przyjacielu,

bądź człowiekiem, i żyj z ludźmi. Takowy jest zamiar przyrodzenia: wszystkim nam wydzieliło wady, aby się żaden z nas nie uwalniał od wybaczenia im, w drugich.

*Koniec Tomu Trzeciego
i Ostatniego.*

R E G E S T R

materyi zawartych
w POWIESCIACH MORALNYCH.

TOM III.

karta

<i>W</i> szystkowiedz	3
Syls małżonek	50
Lauretta	111
Zona iakich mało.	183
Przyjaźń na doświadczeniu	241
Misanthrop poprawiony	321



N^o 1661

III

